Damon Galgut

Obietnica

The 2021 Booker Prize

Przekład Dariusz Żukowski

POWIEŚĆ

Damon Galgut

Obietnica

Przełożył Dariusz Żukowski

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2022

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Tytuł oryginału angielskiego *The Promise*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Copyright © by Damon Galgut, 2021
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2022
Copyright © for the Polish translation by Dariusz Żukowski, 2022

Opieka redakcyjna Tomasz Zając
Redakcja Magdalena Błędowska
Korekta Kinga Kosiba, Aleksandra Brambor-Rutkowska / d2d.pl
Skład pismem Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-517-5

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Motto
Dedykacja

Ma
Pa
Astrid
Anton

Od tłumacza
Przypisy
Kolofon

Dziś rano spotkałem kobietę ze złotym nosem. Jechała cadillakiem z małpką w ramionach. Jej kierowca się zatrzymał, a ona mnie spytała: „Pan jest Fellini?”. Po czym dodała tym swoim metalicznym głosem: „Dlaczego w pana filmach nie ma chociaż jednej normalnej osoby?”.

Federico Fellini

Dla Antonia i Petruchia
za całe to agentowanie,
kucharzenie i podróżowanie

M A

Gdy tylko metalowa skrzynka wypowiada jej imię, Amor wie, że to się stało. Przez cały dzień była spięta i pobolewała ją głowa, tak jakby we śnie dostała ostrzeżenie, którego potem nie potrafiła sobie przypomnieć. Jakiś znak czy obraz tuż pod powierzchnią. Kłopoty tam na dole. Pożar w podziemiach.

Kiedy jednak słyszy te słowa wypowiedziane na głos, nie wierzy. Zamyka oczy, kręci głową. Nie, nie. Ciotka na pewno nie mówi prawdy. Nikt nie zmarł. To tylko słowo, nic więcej. Wpatruje się w nie, leży przed nią na biurku jak przewrócony na grzbiet owad, bez żadnego wyjaśnienia.

Amor siedzi w gabinecie pani Starkey, dokąd skierował ją głos z radiowęzła. Czekała na tę chwilę tak długo i wyobrażała ją sobie tyle razy, że prawie uznała ją za fakt. Ale teraz, gdy wreszcie nadeszła, wydaje się odległa jak sen. Nie, to się nie stało. A na pewno nie przytrafiło się Ma, która zawsze, zawsze będzie żyć.

Przykro mi, powtarza pani Starkey i chowa wielkie zęby pod wąskimi, zaciśniętymi ustami. Niektóre dziewczyny mówią, że to lesbijka, ale trudno sobie wyobrazić, jak robi coś erotycznego z kimkolwiek. A może kiedyś zrobiła i ogarnął ją trwały niesmak. Wszyscy musimy żyć z takim bólem, dodaje poważnym tonem, a Tannie Marina, drżąc, osusza oczy chusteczką, mimo że zawsze patrzyła z góry na Ma i wcale się nie przejmuje, że zmarła, chociaż nie zmarła.

Ciotka schodzi z nią na dół i czeka na zewnątrz, gdy Amor wraca do hostelu, żeby się spakować. Mieszkała tu przez ostatnie siedem miesięcy i czekała, aż wydarzy się to, co się nie wydarzyło, w każdej sekundzie nienawidząc tych podłużnych zimnych pokojów z linoleum na podłodze. Teraz jednak, gdy musi wyjechać, nie ma na to ochoty. Chce się tylko położyć na łóżku i nigdy więcej nie obudzić. Tak jak Ma? Nie, nie tak jak Ma, bo Ma nie śpi.

Powoli pakuje ubrania do walizki i znosi ją na dół przed główny budynek szkoły, gdzie ciotka wpatruje się w staw z rybami. Ale ogromna, mówi, wskazując coś w wodzie, widziałaś kiedyś taką wielką złotą rybkę? Amor odpowiada, że nie, chociaż nie widzi tej, którą pokazuje ciotka, a zresztą to wszystko i tak nie jest realne.

Wsiada do toyoty cressidy, choć to też nierzeczywiste, a gdy powoli przemierzają wijącą się szkolną aleję dojazdową, widok za oknami to sen. Jakarandy kwitną na fioletowo, ich kwiaty są jaskrawe i dziwaczne. Kiedy docierają do bramy i skręcają w prawo zamiast w lewo, Amor pyta, dokąd jadą, a jej własny głos brzmi jak echo, jakby to nie ona mówiła.

Do mnie, odpowiada ciotka. Po wujka Ockiego. Wczoraj wieczorem bardzo się spieszyłam, kiedy, no wiesz, kiedy to się stało.

(To się nie stało).

Tannie Marina zerka małymi, obwiedzionymi tuszem oczami na dziewczynę, ale ta ciągle milczy. Rozczarowanie starszej pani jest prawie wyczuwalne, jak potajemnie puszczony bąk. Mogła wysłać po Amor Lexingtona, ale wolała przyjechać sama, bo w kryzysowych sytuacjach lubi pokazywać, że pomaga, o czym każdy wie. Za okrągłą twarzą z makijażem rodem z teatru kabuki kryje się głód dramatów, plotek i tanich widowisk. Krew i zdrada w telewizji to jedno, ale teraz samo życie dało jej prawdziwą emocjonującą okazję. Straszna wiadomość przekazana osobiście na oczach dyrektorki! Lecz jej bratanica, beznadziejna pulchna buła, prawie się dotąd nie odezwała. Z tym dzieckiem jest coś nie tak, co Marina zauważyła już wcześniej. To pewnie przez ten piorun. Ech, szkoda, dziewczyna przestała być sobą po tamtym wydarzeniu.

Weź sobie herbatnika, mówi ciotka poirytowanym głosem. Są na tylnym siedzeniu.

Ale Amor nie ma ochoty na herbatniki. Nie jest głodna. Tannie Marina ciągle coś piecze i próbuje karmić ludzi. Astrid, siostra Amor, mówi, że Tannie chce mieć towarzystwo w swojej tuszy, i faktycznie, ich ciotka wydała dwie książki kucharskie z przepisami na ciasteczka do herbatki, chętnie kupowane przez pewien typ białych starszych pań, których sporo się widuje w dzisiejszych czasach.

Przynajmniej łatwo się z nią rozmawia, myśli Tannie Marina. Nie przerywa, nie sprzecza się i sprawia wrażenie, że słucha, tyle wystarczy. Ze szkoły do domu Laubscherów w Menlo Park nie jest daleko, ale tego dnia wszystko dłuży się w nieskończoność i Tannie Marina przez całą drogę gada w afrikaans niskim, pełnym emocji głosem, używając mnóstwa zdrobnień, chociaż temat nie jest niewinny. Mówi to, co zawsze, że Ma zdradziła całą rodzinę, zmieniając religię. Czy raczej wracając do starej. Do żydostwa! Przez ostatnie pół roku, odkąd Ma zachorowała, ciotka wciąż głośno poruszała tę kwestię, ale jak niby Amor miałaby pomóc? Jest tylko dzieckiem, nic nie może, a zresztą co jest złego w powrocie do własnej religii, jeśli ktoś zechce?

Próbuje nie słuchać, tylko skupić się na czymś innym. Jej ciotka prowadzi w cienkich białych rękawiczkach do golfa, pewnie gdzieś wypatrzyła ten pretensjonalny drobiazg, a może po prostu boi się zarazków, i Amor wbija spojrzenie w blade kształty jej dłoni poruszających się na kierownicy. Jeśli tylko skupi się na dłoniach, na ich zarysie, na krótkich, tępych palcach, nie będzie musiała słuchać słów wypowiadanych przez usta i wtedy okażą się nieprawdziwe. Jedyna realna rzecz to ręce i ja, która na nie patrzę.

…A tak naprawdę twoja matka wyszła z Kościoła Reformowanego i wróciła do żydostwa tylko po to, żeby rozeźlić mojego młodszego brata… Żeby nie pochowali jej na farmie obok męża, tylko o to jej chodziło… Można postąpić właściwie albo niewłaściwie, i przykro mi to mówić, ale twoja mama postąpiła niewłaściwie… No cóż, Tannie Marina wzdycha, kiedy zbliżają się do domu, miejmy nadzieję, że Bóg jej wybaczy i będzie spoczywać w spokoju.

Parkują na podjeździe pod wiatą w piękne zielone, fioletowe i pomarańczowe pasy. Za nią panorama białej Południowej Afryki, podmiejski bungalow z ochrowej cegły, kryty blaszanym dachem, otoczony wyblakłym ogrodem jak fosą. Na obszernym zbrązowiałym trawniku stoi samotny miniaturowy plac zabaw. Betonowe poidło dla ptaków, domek dla dzieci i huśtawka z połówki opony. Gdzie być może i ty dorastałaś. Gdzie to wszystko się zaczęło.

Amor podąża za ciotką do kuchni, nie stawia stóp na podłodze, płynie kilka centymetrów nad nią, od wszystkiego oddziela ją dziwna drobna przerwa. W środku Oom Ockie przyrządza sobie brandy z colą, już drugą tego ranka. Niedawno odszedł na emeryturę ze stanowiska kreślarza w wydziale gospodarki wodnej i teraz całymi dniami się snuje. Zaskoczony przez żonę, szybko się prostuje i z poczuciem winy skubie zębami pożółkły od nikotyny wąs. Miał kilka godzin, żeby się porządnie ubrać, ale nadal chodzi w spodniach od dresu, podkoszulku i klapkach. Krępy mężczyzna o przerzedzonych, zaczesanych na bok włosach, które trzyma warstwa żelu. Wilgotny od potu obejmuje Amor, czym wprawia i ją, i siebie w zakłopotanie.

Przykro mi z powodu twojej matki, mówi.

Nic się nie stało, odpowiada Amor i od razu zaczyna płakać. Czy teraz ludziom przez cały dzień będzie przykro, bo stan jej matki opisuje to słowo? Wie, że kiedy płacze, robi się brzydka jak pękający pomidor, i myśli, że musi uciec, uciec z tego strasznego pokoiku z parkietem, od rozszczekanego maltańczyka, od spojrzeń ciotki i wujka przeszywających ją jak gwoździe.

Przemyka obok zarośniętego akwarium Oom Ockiego do korytarza, którego ściany kryje nakrapiany tynk, teraz modny w tych stronach, po czym wchodzi do łazienki. Nie trzeba opisywać, jak zmywa łzy, warto tylko wspomnieć, że wciąż chlipiąc, otwiera szafkę na leki, co robi w każdym odwiedzanym domu. Czasem można znaleźć coś ciekawego, ale tutaj jest pełno przygnębiających rzeczy, takich jak klej do mocowania sztucznej szczęki czy czopki na hemoroidy. Ogarnia ją poczucie winy, że tam zajrzała, więc w ramach zadośćuczynienia postanawia policzyć wszystkie przedmioty na półkach i poustawiać je w miłym dla oka porządku. Wtedy przychodzi jej na myśl, że ciotka zobaczy, co zrobiła, więc układa wszystko tak, jak było.

W drodze powrotnej korytarzem Amor przystaje w otwartych drzwiach pokoju Wessela, jej kuzyna, najmłodszego i największego potomka Tannie Mariny, jedynego, który wciąż się jeszcze nie wyprowadził. Ma już dwadzieścia cztery lata, ale od powrotu z wojska tylko szwenda się po domu albo przegląda swoje zbiory znaczków. Chyba trudno mu wyjść do

ludzi. Jego ojciec twierdzi, że chłopak ma depresję, a matka, że stara się znaleźć sobie miejsce. Ale Pa powiedział, że jego siostrzeniec to rozpuszczony leniuch i trzeba go zmusić, żeby wziął się do roboty.

Amor nie lubi kuzyna, zwłaszcza w obecnej formie, z wielkimi pulchnymi dłońmi, włosami przystrzyżonymi jak od garnka i dziwnie wymawiającego s. Nigdy nie patrzy jej w oczy i teraz też ledwie ją dostrzega, bo na kolanach ma otwarty klaser i przez lupę wpatruje się w perłę swojej kolekcji, zestaw trzech znaczków upamiętniających doktora Verwoerda, wydanych kilka miesięcy po tym, jak go zamordowano.

Co ty tu robisz?

Twoja matka odebrała mnie ze szkoły. Potem przyjechała zabrać twojego ojca i zakupy.

Aha. A teraz wracasz do domu?

Tak.

Szkoda twojej mamy, mówi i w końcu na nią spogląda. Amor nie potrafi powstrzymać łez, znowu zaczyna płakać i musi otrzeć oczy rękawem. Ale on już na powrót wpatruje się w znaczki.

Jest ci bardzo smutno? pyta nieobecnym głosem, wciąż na nią nie patrząc.

Amor kręci głową. W tej chwili to prawda, niczego nie czuje, jedynie pustkę.

Kochałaś ją?

Oczywiście, odpowiada. Jednak gdy wymawia te słowa, nie czuje żadnego poruszenia we własnym wnętrzu. Może to jednak nieprawda.

Pół godziny później siedzi na tylnej kanapie starego plymoutha valianta należącego do jej wujka Ockiego. Wuj, wystrojony już do kościoła w brązowe spodnie, żółtą koszulę i lśniące buty, siedzi przed nią z odstającymi uszami, a dym z jego papierosa snuje się przed przednią szybą. Obok jego małżonka, odświeżona i popsikana wodą Je T’aime. Zabrała z kuchni torbę pełną sprzętów do pieczenia. Mijają cmentarz na zachodnim krańcu miasta, gdzie wokół dziury w ziemi stoi grupa ludzi, niedaleko znajduje się cmentarz żydowski i tam wkrótce, nie, nie myśl o tym, nie patrz na groby, jednak mimowolnie wpada ci w oko tabliczka

Aleja Bohaterów, ale kim są ci bohaterowie, nikt jej nigdy nie wyjaśnił, czy Ma jest teraz bohaterką, o tym też nie myśl, i chwilę potem jedziecie przez okropną okolicę pełną betonu, myjni samochodowych i brudnych bloków. Jeśli będziecie się trzymać typowej trasy, za chwilę opuścicie miasto, ale dzisiaj nie możecie się jej trzymać, bo przebiega obok Atteridgeville, a tam trwają jakieś zamieszki. Wieść niesie, że zamieszki wybuchły we wszystkich czarnych osiedlach. Chociaż stan wyjątkowy wisi nad krajem jak ciemna chmura, wiadomości podlegają cenzurze, a atmosfera jest napięta, nie da się uciszyć głosów rozbrzmiewających wszędzie wokół jak niewyraźny szum odbiornika. Ale do kogo te głosy należą, dlaczego ich teraz nie słyszymy? Ćśśś, usłyszysz je, jeśli będziesz uważać, jeśli tylko się wsłuchasz.

…Jesteśmy na tym kontynencie ostatnim przyczółkiem… Jeśli Południowa Afryka upadnie, w Moskwie strzelą korki od szampana… Powiedzmy sobie jasno, rządy większości to komunizm…

Ockie wyłącza radio. Nie ma nastroju na polityczne przemowy, woli podziwiać krajobraz. Wyobraża sobie siebie w roli jednego z własnych przodków, Voortrekkera, który powoli jedzie w głąb interioru na wozie ciągniętym przez woły. Tak, marzenia niektórych są przewidywalne. Ockie, dzielny pionier przemierzający równinę. Wokół przesuwa się brązowożółty wiejski pejzaż, zupełnie suchy, z wyjątkiem koryta przecinającej go rzeki, okryty ogromną kopułą nieba Wysokiego Weldu. Farma, jak ją nazywają, chociaż co to za farma, jeden koń, parę krów, kilka kur i owiec, leży wśród niskich wzgórz i dolin w pół drogi do tamy Hartbeespoort.

Za przydrożnym ogrodzeniem Ockie dostrzega grupę ludzi z wykrywaczem metalu, którzy się przyglądają, jak czarni chłopcy kopią dziury w ziemi. Cała ta dolina należała dawniej do Paula Krugera i wciąż żyje plotka, że gdzieś w tej kamienistej glebie leżą zagrzebane dwa miliony funtów złota z wojny burskiej. Kopią tu i tam, polują na bogactwa przeszłości. Kieruje nimi chciwość, ale on i tak patrzy na nich przez mgiełkę nostalgii. Moi ludzie są odważni i niezłomni, przetrwali Brytyjczyków i kafirów też przeżyją. Afrykanerzy to wyjątkowa nacja, naprawdę w to wierzy. Nie rozumie, dlaczego Manie musiał poślubić

Rachel. Olej nie miesza się z wodą. Co widać po ich dzieciach, gromadzie popaprańców.

Przynajmniej na tę sprawę on i jego żona zapatrują się tak samo. Marina nigdy nie lubiła bratowej. Ten związek był bezsensowny. Czemu jej brat nie mógł się ożenić z kimś ze swoich? Popełniłem błąd, powiedział, a za błędy trzeba płacić. Manie zawsze był uparty jak osioł. Żeby postawić się własnej rodzinie dla takiej jak ona, próżnej i dumnej. A na koniec oczywiście i tak go zostawiła. To przez seks. Bo nie potrafił trzymać łap przy sobie. Marina nigdy zbytnio nie interesowała się seksem, tylko raz, wtedy w Sun City, z mechanikiem, ale sza, teraz nie ma sensu o tym myśleć. To dlatego mój brat pakował się w tarapaty. Od kiedy zaczął się golić, stał się małym satyrem, same imprezy i kłopoty, aż popełnił błąd i wszystko się zmieniło. Teraz ten błąd służy w wojsku. Rankiem wysłali mu wiadomość, ale przyjedzie dopiero jutro.

Anton przyjedzie dopiero jutro, mówi do Amor, po czym poprawia sobie usta w lusterku zamocowanym w opuszczanej osłonie.

Docierają do zjazdu od złej strony i Amor musi wysiąść, żeby otworzyć bramę, a potem zamknąć ją za samochodem. Tłuką się po szutrówce, a co większe kamienie wystające tu i tam drapią podwozie. Ten metaliczny dźwięk drażni Amor, wbija się jej w mózg. Coraz mocniej boli ją głowa. Dopóki jechali szosą, prawie mogła udawać, że zmierza donikąd, dryfuje. Teraz jednak wszystkie zmysły podpowiadają jej, że zaraz dotrą na miejsce. Nie chce wchodzić do domu, bo gdy to zrobi, stanie się zupełnie oczywiste, że coś się wydarzyło, coś się w jej życiu zmieniło i nigdy nie będzie tak jak dawniej. Nie chce, żeby dróżka prowadziła tam, dokąd prowadzi, pod słupami elektrycznymi w stronę pagórka, nie chce, żeby wiodła w górę stoku, nie chce widzieć domu w dolince po drugiej stronie. Ale on tam stoi, a ona go widzi.

Nigdy go zbytnio nie lubiła. Był dziwny i mały już w czasach, gdy kupił go dziadek. Kto buduje w taki sposób w buszu? Ale gdy Oupa utonął pod tamą, Pa odziedziczył dom i zaczął dodawać pokoje i przybudówki zupełnie pozbawione stylu, choć sam twierdził, że to styl wernakularny. Działał bez żadnej logiki, choć Ma uważała, że chce zmazać ślady art déco, które uważał za zniewieściałe. Ech, co za brednie, odpowiadał Pa, ja po prostu

myślę praktycznie. To ma być farma, a nie domek z bajki. I spójrzcie tylko, co z tego wyszło. Kompletny miszmasz, dwadzieścioro czworo drzwi prowadzących na zewnątrz, które trzeba co wieczór zamykać, jeden styl wciśnięty w drugi. Tkwi ten dom pośrodku weldu jak pijak, który założył przypadkowe ubrania.

Tak czy inaczej, myśli Tannie Marina, należy do nas. Co tam dom, liczy się ziemia. Kamienisty, nienadający się do niczego ugór. Ale należy tylko i wyłącznie do naszej rodziny. Jest w tym jakaś siła.

Przynajmniej żona wreszcie się usunęła z widoku, mówi do Ockiego.

Mój Boże, nagle sobie przypomina, że przecież dziewczynka siedzi z tyłu. Uważaj na słowa, Marina, zwłaszcza przez parę następnych dni aż do pogrzebu. Mów po angielsku, będzie ci łatwiej nad sobą panować.

Nie zrozum mnie źle, odzywa się do Amor. Szanowałam twoją matkę.

(Nie, nie szanowałaś). Ale Amor nie mówi tego na głos. Siedzi na tylnej kanapie całkiem zesztywniała, gdy samochód zwalnia i się zatrzymuje. Ockie musi zaparkować kawałek dalej na podjeździe, bo przed domem stoi już mnóstwo pojazdów. Większości nie zna, co one tu robią? Już czuje zasysanie ludzi i zdarzeń przez ziejącą dziurę o kształcie matki w centrum tego wszystkiego. Kiedy wysiada i zamyka drzwi, jej uwagę zwraca zwłaszcza jeden długi, ciemny samochód, a wówczas ciężar świata przydusza ją jeszcze mocniej. Kto nim przyjechał? Czemu stoi pod moim domem?

Powiedziałam tym Żydom, żeby jeszcze jej nie zabierali, oznajmia Tannie Marina. Żebyś mogła się pożegnać z matką.

W pierwszej chwili Amor nie rozumie. Chrzęst, chrzęst, chrzęst, kroki na żwirze. Przez frontowe okno widzi tłumek w salonie, gęstą ludzką mgłę, pośrodku której jej ojciec siedzi pochylony na krześle. Płacze, myśli, po czym stwierdza, że chyba jednak się modli. Pa płacze albo się modli, ostatnio trudno powiedzieć.

W końcu pojmuje, co miała na myśli Tannie, i nie może wejść do środka. Kierowca tego ciemnego samochodu czeka tam na mnie, żebym pożegnała się z matką, a ja nie potrafię przekroczyć progu. Jeśli wejdę, to okaże się prawdą i moje życie nigdy nie będzie już takie samo. Czeka więc na

zewnątrz, podczas gdy Marina z pełnymi torbami i ważną miną drobi naprzód wraz ze snującym się za nią Ockiem, po czym stawia walizkę na schodach, przemyka wzdłuż bocznej ściany domu, mija piorunochron i stojące w ściennej niszy kanistry z benzyną, idzie w stronę tylnego patio, gdzie w słońcu śpi Tojo, owczarek alzacki, któremu między nogami widać fioletowe jądra, przemierza trawnik, mija fontanienkę z poidłem dla ptaków i drzewo kapokowe, stajnię, chatę dla pracowników, aż w końcu biegiem dociera na pagórek.

A ona gdzie? Była tuż za nami.

Marina nie może uwierzyć, co ta głupia dziewucha wyczynia.

Ja, gorliwie potwierdza Ockie, pragnąc okazać zaangażowanie. *Ja!*

Ech, wróci. Marina nie ma nastroju, żeby się nad nią roztkliwiać. Niech już zabiorą tę biedną kobietę. Dziewczyna miała szansę i ją zmarnowała.

Kierowca długiego auta, Mervyn Glass, od dwóch godzin siedzi w kuchni w jarmułce na głowie i czeka na polecenia od władczej pani, siostry pogrążonego w smutku męża. Wreszcie mówi mu, żeby brał się do rzeczy. To bardzo trudna rodzina, Mervyn nie potrafi określić, co, kto i dlaczego, ale mało go to obchodzi. Oczekiwanie w pełnej szacunku ciszy to ważna część jego pracy i nauczył się symulować głęboki spokój, nawet gdy go nie odczuwa. W głębi ducha Mervynem Glassem targają bowiem emocje.

Szybko wstaje. Wraz z pomocnikiem idzie zabrać doczesne szczątki zmarłej z sypialni na piętrze. Nosze, worek na zwłoki, ostatni wybuch rozpaczy męża, który uczepił się martwej żony i błaga, żeby nie odchodziła, jak gdyby można ją było jeszcze przekonać do zmiany zdania. Mervyn, gdyby go spytać, powiedziałby, że to się zdarza. Widział takie i inne sceny wiele razy. Obserwował też działanie intrygującej siły, która sprawia, że ludzie lgną do zwłok. Jutro wszystko się zmieni, ciała już nie będzie, jego trwałą nieobecność zamaskują plany, uzgodnienia, wspominki i czas. Tak, już jutro. Znikanie zaczyna się od razu i w pewnym sensie nigdy się nie kończy.

Tymczasem jednak ciało spoczywa tutaj, w pełni swojej strasznej, niezaprzeczalnej cielesności, przypominając każdemu, nawet ludziom, których nieboszczka nie obchodziła, a zawsze znajdzie się paru takich, że

pewnego dnia i oni będą tak leżeć, opróżnieni ze wszystkiego, sprowadzeni jedynie do formy, niezdolni nawet na siebie popatrzeć. Umysł ucieka od myśli o własnej nieobecności, nie potrafi myśleć o sobie niemyślącym, o tej najzimniejszej próżni.

Na szczęście nie jest ciężka, choroba ją wydrążyła, łatwo się ją niesie schodami na dół, przez trudny zakręt na parterze, a potem korytarzykiem do kuchni. Na tyły, rozkazuje im władcza siostra, tędy, z boku domu, nie przenoście jej między gośćmi. Jeśli zebrani w ogóle wiedzą, że zmarła wyruszyła w ostatnią podróż, informuje ich o tym jedynie dźwięk zapalanego silnika długiego samochodu, a potem jego niknący warkot.

I w ten sposób Rachel znika, naprawdę odchodzi. Przyjechała dwadzieścia lat wcześniej jako ciężarna panna młoda i została na dobre, ale już nigdy więcej nie przejdzie na powrót przez frontowe drzwi.

W domu pogrzebowym, to znaczy w domu czekającym na pogrzeb, zalęgł się jakiś niewypowiedziany lęk, choć nikt właściwie nie wie, skąd się wziął, ani go nie komentuje. A przecież lęk najczęściej odpędza się właśnie słowami: Podać ci jeszcze herbaty? Spróbujesz mojego biszkopcika?

Marina oczywiście mówi, leje oleiste zdania na wzburzone tonie, zdolne w każdej chwili wystąpić z brzegów. W palcach obraca paciorki naszyjnika.

Nie, nie jestem głodny.

To Manie, jej znacznie młodszy brat, przypominający małą sowę, którą przygarnęła w dzieciństwie.

No chodź, napij się chociaż herbaty. Odwodniłeś się od płaczu.

Och, daj spokój, odzywa się ni to z uporem, ni to z gniewem, choć chyba niewymierzonym w nią.

Co się stało z tamtą sową? Chyba coś niedobrego, ale Marina nie potrafi sobie dokładnie przypomnieć.

Nigdy więcej nie będę pił herbaty, mówi Manie.

Co za gadanie, odpowiada poirytowana, nie opowiadaj bzdur.

Nie pojmuje, dlaczego tak bardzo się przejął śmiercią żony, przecież umierała już od pół roku, miał całe wieki, żeby się przygotować. Ale Manie całkiem się rozkleił, pruje się jak brzeg jego bluzy, za której nitki znowu pociąga.

Przestań, mówi mu. Zdejmij to i daj, zszyję.

Spełnia jej polecenie z nieobecnym wyrazem twarzy. Marina zabiera bluzę i idzie poszukać przyborów do szycia. Jeśli Rachel w ogóle ma takie rzeczy. Jeśli miała. Ta myślowa korekta wprawia ją w zadowolenie niczym strzyknięcie zesztywniałego stawu, który wskakuje na miejsce. Odtąd Rachel będzie już zawsze w czasie przeszłym.

Manie dygoce bez bluzy, chociaż wiosenny dzień jest ciepły. Czy jeszcze kiedyś zdoła się rozgrzać? Nigdy nie potrzebował Rachel tak bardzo jak teraz, jej nieobecność tkwi w nim głęboko niczym zimna stal. Potrafiła dobrać mi się do samych trzewi i wbijać w nie te swoje małe ostrza. Żyliśmy ze sobą tak blisko, że nie dało się odróżnić nienawiści od miłości. Dwa splecione drzewa, korzenie połączone na dobre i na złe. Kto by nie chciał uciec? Ale tylko Bóg może mnie osądzać, tylko On wie! Przebacz mi, Boże, znaczy się, przebacz mi, Rachel, ciało mam słabsze niż większość ludzi.

Znowu płacze. Marina patrzy na niego z drugiego końca pokoju. Wreszcie znalazła przybory do szycia w szufladzie i usiadła w rogu, skąd obserwuje ruch w domu, a jednocześnie publicznie demonstruje, że pomaga. Szycie, pieczenie, praktyczne zajęcia. Mimo to widok jej męża z kolejnym drinkiem w dłoni tak ją rozprasza, że wbija sobie igłę w palec.

I nagle znienacka przypomina sobie, co się stało z sową. Ech, szkoda. Białe piórka całe we krwi.

Ej, mam cię na oku, woła do Ockiego.

Ale on już podryfował w dal z wąsem o posmaku brandy. Przymknij się, myśli, niby kim ty jesteś? Na moment zapomniał, czemu się tu znalazł, i mówi do jakiegoś mężczyzny w salonie: Dobrze się pan bawi?

Co takiego? pyta tamten.

Ockie już się ocknął i teraz buja się w przód i w tył na stopach. No wie pan, jak na te okoliczności.

Człowiek, z którym rozmawia, to wikariusz z Holenderskiego Kościoła Reformowanego. Wysoki i nerwowy, z wydatnym jabłkiem Adama, przez ostatni rok prawie zupełnie stracił wiarę, o czym nikt nie wie. Ma wrażenie, jakby się przedzierał przez busz pełen ciernistych krzewów, w związku

z czym dużo się uśmiecha. Akurat rozważał problem kryzysu wiary we wszelkie wartości, uśmiechając się sam do siebie, i na dźwięk słów Ockiego podskoczył z poczuciem winy.

Amor patrzy na swojego wuja oraz wątpiącego wikariusza przez rozsuwane drzwi salonu. Ze szczytu pagórka widzi cały front domu, w tym wszystkie okna, dlatego lubi tam siadać, choć nie powinna tego robić samotnie. Na dole nigdy nie było tak tłoczno, mnóstwo postaci porusza się jak ludziki w zabawkowym domku. Ale to nie na nich skupia uwagę. Wpatruje się tylko w jedno okno, to na piętrze, trzecie od lewej, i myśli: Ona tam jest. Wystarczy, że ruszę na dół i wejdę po schodach, a ona będzie czekać na mnie w swoim pokoju. Jak zawsze.

Dostrzega tam jakiś ruch. Krzątającą się kobiecą postać. Gdy mruży oczy, może sobie wyobrazić, że to jej matka, znów silna i zdrowa, zbiera leki z szafki przy łóżku. Już ich nie potrzebuje. Czuje się lepiej, czas się cofnął, świat wrócił na właściwe tory. Proste.

Wie jednak, że to tylko fantazje, a postać w pokoju nie jest jej matką. To oczywiście Salome, która żyje na farmie od niepamiętnych czasów, a przynajmniej takie można odnieść wrażenie. Mój dziadek mawiał: A, tę Salome to dostałem razem z ziemią.

Przez chwilę przypatruje się, jak Salome zdejmuje pościel z łóżka. To krępa, mocno zbudowana kobieta w znoszonej sukience, którą dostała od Ma lata temu. Włosy przewiązała chustą. Chodzi boso, podeszwy stóp ma brudne i spękane, a dłonie poznaczone otarciami i bliznami po niezliczonych drobnych wypadkach. Jest chyba w wieku Ma, koło czterdziestki, chociaż wygląda starzej. Trudno dokładnie określić, ile ma lat. Po twarzy tego nie widać, nosi życie jak maskę albo wyryty obraz.

Ale Amor wie o niej to i owo, bo była świadkiem wielu wydarzeń. Z taką samą niewzruszoną postawą, z jaką zamiata i sprząta dom lub pierze ubrania mieszkańców, Salome doglądała matki podczas jej ostatniej choroby, ubierała ją i rozbierała, pomagała się myć przy użyciu wiadra wody i szmatki, pomagała przy wypróżnieniach, a nawet podcierała jej tyłek, zmywała krew, gówno, ropę i siki, bo nikt z rodziny nie chciał wykonywać tych zbyt brudnych lub zbyt intymnych czynności, Niech Salome się tym zajmie, w końcu za to jej płacimy, prawda? Była przy Ma

w chwili jej śmierci, siedziała przy jej łóżku, ale nikt jej nie zauważa, jakby była niewidzialna. Uczucia Salome także są niewidzialne. Wydaje się jej polecenia: Posprzątaj tu, wypierz pościel, a ona słucha, sprząta, pierze.

Lecz Amor widzi ją przez okno, więc Salome wcale nie jest niewidzialna. Nachodzi ją wspomnienie pewnego popołudnia sprzed zaledwie dwóch tygodni, którego znaczenia aż do tej chwili nie rozumiała. Byłam w pokoju z Ma i Pa. Zapomnieli, że siedzę w rogu. Nie widzieli mnie, jakbym była dla nich czarną kobietą.

(Obiecujesz, Manie?

Trzyma go w kurczowym uścisku wychudłymi rękami rodem z horroru.

Ja, zrobię to.

Bo naprawdę mi zależy, żeby coś dostała. Tyle zrobiła.

Rozumiem, mówi Manie.

Obiecaj mi, że to zrobisz. Powiedz to.

Obiecuję, mówi Pa przez ściśnięte gardło).

Wciąż ma przed oczami obraz swoich rodziców splecionych niczym Jezus i Jego matka w straszny, zalany łzami węzeł. Dźwięk płynął gdzieś z góry, z oddali, słowa dotarły do niej dopiero teraz. Wreszcie zrozumiała, o kim rozmawiali. Oczywiście. No jasne. Przecież.

Siedzi w ulubionym miejscu między głazami pod pniem spalonego drzewa. To tu uderzył piorun, tu prawie zginęłam. Bam, biały ogień spada z nieba. Jakby Bóg wskazał cię palcem, mawia Pa, ale skąd on może wiedzieć, przecież go przy tym nie było. Boży gniew jest jak płomień zemsty. Ale ja się nie spaliłam, tylko drzewo. No i stopy.

Dwa miesiące rekonwalescencji w szpitalu. Jej stopy nadal są boleśnie wrażliwe i straciła mały palec. Dotyka tego miejsca, wymacuje bliznę. Pewnego dnia, mówi głośno. Pewnego dnia. Lecz myśl rozprasza się w połowie i nie wiadomo, co zrobi pewnego dnia.

A teraz ktoś jeszcze wchodzi na pagórek od drugiej strony. Ludzka postać, zbliżająca się z wolna, przyobleka się w wiek, płeć i rasę niczym w części garderoby i w końcu Amor widzi czarnego chłopca w wieku może trzynastu lat, ubranego w poszarpane szorty, T-shirt i zniszczone tenisówki.

Pot przylepia ci ubranie do skóry. Odklejasz je palcami.

Cześć, Lukas, mówi ona.

Jak tam, Amor.

Najpierw musi trochę podziabać ziemię kijkiem. Potem siada na kamieniu. Łatwo im się rozmawia. Nie pierwszy raz się tu spotykają. Dwoje dzieci na chwilę przed końcem dzieciństwa.

Przykro mi z powodu twojej mamy, mówi Lukas.

Amor znowu prawie wybucha płaczem, ale się powstrzymuje. Jemu wolno to mówić, bo sam stracił ojca w kopalni złota blisko Johannesburga, kiedy był mały. Coś ich łączy. Buzuje w niej odzyskane wspomnienie i chce mu o nim opowiedzieć.

Dom teraz jest wasz, mówi.

Spogląda na nią nierozumiejącym wzrokiem.

Moja matka powiedziała mojemu ojcu, żeby dał go twojej matce. Chrześcijanin zawsze dotrzymuje słowa.

Lukas spogląda w dół na mały, chwiejący się domek, w którym mieszka. Domek Lombardów. Każdy tak go nazywa, choć stara pani Lombard zmarła wiele lat temu, jeszcze zanim dziadek Amor kupił budynek, by zapobiec wprowadzeniu się indyjskiej rodziny, i pozwolił tam zamieszkać Salome. Niektóre nazwy się przyjmują, inne nie.

Nasz dom?

Teraz będzie wasz.

Mruga, nadal zmieszany. To zawsze był jego dom. Tam się urodził, tam śpi, o czym ta biała dziewczyna opowiada? Zaczyna się nudzić, spluwa i wstaje. Amor zauważa, że nogi zrobiły mu się długie i silne, a na udach ma szorstkie włoski. Czuje też jego zapach, odór potu. Wszystko to jest nowe, a może dopiero teraz to zauważyła, i jeszcze zanim spostrzega, że on na nią patrzy, ogarnia ją wstyd.

Co? pyta, otaczając kolana ramionami.

Nic.

Lukas przeskakuje na jej kamień i kuca obok. Gdy zbliża nagą nogę do jej nogi, Amor czuje ciepło i kłucie. Szybko cofa kolano.

Uch, mówi. Musisz się wykąpać.

Chłopak szybko wstaje i przeskakuje na inny kamień. Robi się jej przykro, że go tak przegoniła, ale nie wie, co powiedzieć. Lukas znowu uderza kijkiem w ziemię.

To narka, mówi.

Okej.

Rusza zboczem wzgórza tą samą drogą, którą przyszedł, siekąc kijkiem białe wiechcie traw i dźgając kopce termitów. Oznajmia światu swoją obecność.

Amor patrzy w ślad za nim, aż traci go z oczu. Czuje teraz mniejszy ciężar, bo wielki czarny samochód odjechał, a wraz z nim zniknęła dławiąca ją wielka czerń. Następnie wstaje i idzie w dół pagórka ku własnemu domowi, czy raczej domowi, o którym myśli jak o własnym, przystając tu i ówdzie, żeby popatrzeć na kamień czy liść. Po stu trzydziestu trzech minutach i dwudziestu dwóch sekundach od chwili, gdy uciekła, wchodzi przez tylne drzwi. Odjechały cztery auta, w tym to długie i ciemne, a jedno przybyło. Telefon zadzwonił osiemnaście razy, a dzwonek do drzwi dwukrotnie, z czego raz, bo ktoś przysłał kwiaty, które, trudno uwierzyć, dotarły aż tutaj. Wypito dwadzieścia dwie filiżanki herbaty, sześć kubków kawy, trzy szklanki chłodnych napojów i sześć szklaneczek brandy z colą. Trzy toalety na parterze, nienawykłe do takiego ruchu, zostały spłukane ogółem dwadzieścia siedem razy i odprowadziły dziewięć i osiem dziesiątych litra moczu, pięć i dwie dziesiąte litra gówna, zwrócone jedzenie o objętości jednego żołądka i pięć mililitrów spermy. Można liczyć i liczyć, ale w czym pomoże matematyka? W życiu każdego człowieka wszystkiego jest tak naprawdę tylko po jednym.

Gdy Amor zakrada się do kuchni, słyszy odległe głosy z innej części domu. Wchodzi schodami na piętro i rusza korytarzem do swojego pokoju. Po drodze mija drzwi pustego pokoju Ma, Salome poszła wrzucić pościel do prania, i chociaż Amor wie, że to, co się nie stało, nie stało się właśnie tutaj, musi wejść do środka.

Mała dziewczynka oglądająca rzeczy mamy. Zna to miejsce na pamięć, wie, ile kroków dzieli drzwi od łóżka i gdzie jest włącznik lampy, zna spiralny pomarańczowy wzór na dywanie, który wygląda jak zapowiedź bólu głowy, itp., itd. Wydaje się jej, że kątem oka dostrzega twarz matki

w lustrze, ale gdy kieruje tam wzrok, niczego nie widzi. Wyczuwa jednak jej zapach, a raczej mieszaninę kojarzących się z nią woni z minionych dni. Wymiociny, kadzidełka, krew, leki, perfumy oraz jakaś wszechobecna mroczna nuta, być może zapach samej choroby. Wydzielają go ściany, unosi się w powietrzu.

Jej tu nie ma.

To słowa Astrid, siostry Amor, która dostrzegła ją i także weszła do pokoju.

Zabrali ją.

Wiem. Widziałam.

Z łóżka zdjęto pościel i na nagim materacu widać nieokreślone zacieki. Obie patrzą na wyraźny, ciemny kontur plamy, mapę nowego, fascynującego i przerażającego kontynentu.

Byłam przy niej, gdy zmarła, mówi w końcu Astrid głosem drżącym od kłamstwa. Wcale nie siedziała przy matce w chwili śmierci. Była za stajnią i gadała z Deanem de Wetem, chłopakiem z Rustenburga, który przychodzi czasem popracować na farmie i sprząta stajnię. Jego ojciec zmarł kilka lat wcześniej, a on sam pomagał Astrid poradzić sobie z umieraniem matki. To prosty, szczery chłopak i podoba się jej, że zwraca na nią uwagę, tak jak i inni mężczyźni, co niedawno dostrzegła. Kiedy więc nadszedł czas Rachel Swart, towarzyszyli jej tylko mąż, znany jako Pa lub Manie, oraz czarna dziewczyna, jak jej tam, Salome, która rzecz jasna się nie liczy.

Powinnam tam być. Tak myśli Astrid. To, że flirtowała wtedy z Deanem, wzmaga jej poczucie winy. Myli się, sądząc, że jej młodsza siostra o wszystkim wie. Nie tylko o tym, ale w ogóle o wszystkim. Na przykład że pół godziny temu zwymiotowała obiad, jak to zwykle robi, żeby nie utyć. Ma skłonność do takich paranoicznych myśli, czasem podejrzewa, że inni umieją potajemnie odczytać zawartość jej głowy lub że życie to występ, w którym każdy poza nią odgrywa jakąś rolę. Astrid przepełniają lęki. Boi się między innymi ciemności, biedy, burz, utycia, trzęsień ziemi, przypływów, krokodyli, czarnych, przyszłości, rozpadu uporządkowanych struktur społecznych. Tego, że nikt jej nie kocha. I że zawsze tak było.

Teraz jednak Amor znowu zaczyna płakać, bo Astrid wypowiedziała to słowo, jakby było prawdą, a przecież nie jest, nie jest, choć po domu kręci się pełno ludzi, których nie powinno tu być i normalnie nie ma, a przynajmniej nie wszystkich jednocześnie.

Powinnyśmy się szykować, mówi Astrid niecierpliwie. Zdejmij ten mundurek i się przebierz.

Szykować na co?

Astrid nie odpowiada, czym wprawia ją w irytację.

Gdzie ty poszłaś? Wszyscy cię szukaliśmy.

Wspięłam się na pagórek.

Wiesz, że nie wolno ci tam chodzić samej. A co tutaj robisz? Tu, w jej pokoju?

Tylko patrzyłam.

Na co?

Nie wiem.

Mówi prawdę, nie wie, tylko patrzyła i tyle.

Idź się przebrać, poleca jej Astrid, wypróbowując głos dorosłej osoby, skoro pojawił się wakat.

Nie będziesz mi rozkazywać, odpowiada Amor, ale faktycznie wychodzi, choćby po to, żeby uciec przed siostrą. Ta, gdy tylko zostaje sama, podnosi zauważoną na łóżku bransoletkę, ładny drobiazg złożony z niebieskich i białych paciorków. Widziała ją na ręku matki i przymierzała już wcześniej. Teraz znów wsuwa ją na nadgarstek i czuje, jak ciasno oplata jej puls. Astrid stwierdza, że zawsze do niej należała.

Nie jestem piękna. Tak myśli Amor, nie po raz pierwszy, gdy patrzy na własne odbicie w lustrze, zamocowanym po wewnętrznej stronie drzwi jej szafy. Stoi w samej bieliźnie i ma na sobie między innymi niedawno kupiony stanik. Rozkwit ciała wciąż wydaje się jej nowy i niepokojący. Zrobiła się szersza w biodrach i ten wzrost masy odbiera jako nadmierny, obsceniczny. Nie lubi swojego brzucha i ud, pochyłej linii barków. W ogóle nie lubi swojego ciała, podobnie zresztą jak wiele z was, lecz odczuwa to z nastoletnią intensywnością, szczególnie dziś nasiloną, gęstą i żarliwą.

W takich chwilach skupionego namysłu powietrze wokół niej wibruje mocą jasnowidzenia. Ostatnio kilka razy przewidziała na ułamek sekundy wcześniej, że obrazek spadnie ze ściany, wiatr otworzy okno albo ołówek potoczy się po blacie. Dziś sięga wzrokiem gdzieś w dal, poza swoje odbicie w lustrze, i ogarnia ją pewność, że poczerniała od ognia skorupa żółwia uniesie się w powietrze znad szafki nocnej. Patrzy, gdy to się dzieje. Przedmiot z wolna przemieszcza się na środek pokoju, jakby to ona nim kierowała siłą własnego spojrzenia. Wreszcie go puszcza, a raczej rzuca, bo skorupa z wielką siłą uderza w podłogę i pęka.

Skorupa należała do małej kolekcji rzeczy, które samodzielnie zebrała na weldzie. Kamień o dziwnym kształcie, malutka czaszka mangusty, długie białe pióro. Poza tym w pokoju brak typowych znaków czy śladów, są w nim tylko nakryte kocem łóżko, stolik nocny, lampka, szafa, komoda i drewniana podłoga bez dywanu. Ściany także są nagie. Kiedy lokatorki nie ma w pokoju, jest on jak pusta kartka, niemal pozbawiona jakichkolwiek wskazówek, które mogłyby coś powiedzieć o dziewczynie, i może już samo to coś o niej mówi.

Nieco później Amor schodzi na dół z kawałkiem żółwiej skorupy w ręku. Wciąż kręci się tam trochę ludzi, więc patrząc przed siebie, podchodzi wprost do ojca, który nadal siedzi pochylony na krześle.

Gdzie ty byłaś? pyta. Bardzo się martwiliśmy.

Na pagórku.

Amor. Wiesz, że nie powinnaś tam chodzić sama. Dlaczego ciągle tam wracasz?

Nie chciałam jej oglądać. Uciekłam.

Co tam trzymasz?

Podaje mu chropowaty odłamek, choć w stanie oszołomienia, w jakim tkwi, nie pamięta zbyt dobrze, co to jest ani skąd się wzięło. Wygląda jak ogromny stary paznokieć u nogi, ohyda, fuj. Jedna z tych rzeczy, które znajduje w plenerze. Ciągle znosi jakieś przyrodnicze śmieci i drobiazgi. Pa ma ochotę odrzucić to coś, ale pierwszy impuls mija i nadal trzyma skorupę w wiotkiej dłoni.

Podejdź tu.

Zalewa go fala wielkiej, głębokiej czułości. Jest taką bezbronną, prostą duszyczką. Moje dziecko, moja mała dziecina. Przyciąga ją do siebie i nagle oboje gładko powracają do podobnej onirycznej chwili sprzed siedmiu lat, pośród bieli zaraz po uderzeniu pioruna. Znosił Amor z pagórka. Ocal ją. Ocal ją, Panie, a będę Twój na zawsze. Manie poczuł się jak zstępujący z góry Mojżesz i tamtego popołudnia swoim dotykiem Duch Święty odmienił jego życie. Amor pamięta te wydarzenia inaczej, zapamiętała ostrą woń spalonego mięsa, jakby grilla, smród ofiary złożonej pośrodku świata.

Pagórek. Lukas. Rozmowa. Właśnie o tym chciała pomówić, po to zeszła na dół, więc odsuwa się od koszuli ojca, która pachnie potem, żałobą i dezodorantem Brut.

Dotrzymasz obietnicy, mówi. Żadne z nich nie ma pewności, czy to zdanie oznajmujące, czy pytanie.

Jakiej obietnicy?

Wiesz jakiej. Tej, którą złożyłeś Ma.

Pa jest znużony, prawie sypki, wkrótce mogą z niego wypaść ostatnie ziarenka piasku. *Ja*, mówi niewyraźnie, skoro złożyłem obietnicę, to jej dotrzymam.

Na pewno?

Przecież mówię. Z kieszeni kurtki wyjmuje chustkę, wyciera nos, po czym patrzy, co wysmarkał. Chowa chustkę. O co właściwie chodzi? pyta.

(O dom Salome). Ale Amor także kończy się energia, więc znów opada na jego pierś. Kiedy się odzywa, ojciec jej nie słyszy.

Co powiedziałaś?

Nie chcę wracać do hostelu. Nie znoszę tego miejsca.

Pa myśli o tym. Nie musisz wracać, mówi. To było tylko na trochę, aż Ma… na czas choroby Ma.

Więc nie wracam?

Nie.

Nigdy?

Nigdy. Obiecuję.

Nagle ogarnia ją wrażenie, jakby zapadła się gdzieś w głąb, daleko, do ciepłej, cichej, podziemnej groty. Lekkomyślne jest serce. Popołudnie gaśnie, zmierzając ku długiemu żółtemu schyłkowi. Dziś rano zmarła moja matka. Niedługo będzie jutro.

Manie zaczyna się męczyć pod ciężarem obejmującej go córki i musi powstrzymać niestosowną chęć, by ją odepchnąć. Choć nie ma ku temu żadnych konkretnych powodów, zawsze się obawiał, że Amor nie jest tak naprawdę jego dzieckiem. Była najmłodsza, nieplanowana i poczęli ją w najtrudniejszym momencie małżeństwa, w samym jego środku, kiedy sypiali w oddzielnych pokojach. Dużo kochania między nimi nie było, a jednak właśnie wtedy przyszła na świat Amor.

Ale nieważne, skąd się wzięła, stanowi część Bożego planu. Była przecież narzędziem nawrócenia, bo gdy Pan prawie mu ją odebrał, Manie otworzył się wreszcie na Ducha Świętego. Niedługo potem, w trakcie głębokiej modlitwy, zrozumiał, co należy zrobić, żeby się oczyścić. Oto on, Herman Albertus Swart, musi wyznać żonie każdy grzech i błagać o przebaczenie. Dlatego opowiedział Rachel o wszystkim, nawet o hazardzie i prostytutkach, obnażył się i ukorzył, lecz ich małżeństwo zamiast jasności wypełnił mrok, Rachel zaś, zamiast mu przebaczyć, osądziła go, dostrzegła, jaki jest niedoskonały, i nie podążyła za nim w dolinę światła, lecz zwróciła się w przeciwnym kierunku, z powrotem ku swojemu dawnemu ludowi. Niezbadane są wyroki Boskie!

Manie przesuwa się na krześle, ujmuje twarz Amor w dłonie i zwraca ją ku sobie. Wpatruje się w nią, szukając jakiejś cechy, która mogłaby pochodzić wyłącznie z jego ciała, jego komórek. Robi to nie po raz pierwszy. Córka odpowiada zalęknionym spojrzeniem z głębi swych ciemnych konstelacji.

Pewnie by jej coś powiedział, ale na szczęście zapobiega temu przybycie pastora Simmersa. Dobry duchowny spędził z nim większość dnia, służąc modlitwą i radą ważnemu członkowi swojej kongregacji. Gdy Maniego objął Boży ogień, latami zadawał pytania i poszukiwał, a Alwyn Simmers służył mu za przewodnika i pasterza. Zasady Kościoła to podpory, dzięki którym stoję wyprostowany.

Obawiam się, że muszę już iść, mówi duchowny. Ale jutro wrócę.

Widzi Maniego jako rozmytą mozaikę plam, bo traci wzrok, oczy ma ukryte za grubymi ciemnymi soczewkami, a gdy się porusza, potrzebuje czyjegoś oparcia. Jezus w tych okolicznościach pozostaje tylko metaforą. Dlatego na miejscu obecny jest wikariusz, ten, który stracił wiarę, a teraz próbuje odpowiednio obrócić pastora, by ten wypowiadał słowa we właściwą stronę.

Manie wreszcie zyskuje pretekst, by ostrożnie odsunąć córkę na bok, tak jak przestawia się kruchy mebel, po czym natychmiast o niej zapomina. Odprowadzę pastora do samochodu, mówi. Kierując obu mężczyzn do głównych drzwi domu, mija stojącą na kredensie, oprawioną w ramkę fotografię wykonaną dwadzieścia lat temu w Mieście Łusek, jego gadzim parku, zaraz po otwarciu. Pieniądze spływają już od pierwszego dnia, o czym świadczy szeroki uśmiech młodego mężczyzny na zdjęciu. Manie, lat dwadzieścia siedem. W swoim czasie uważany za dobrą partię. Zabawny, skory do wygłupów, a do tego przystojny, popatrzcie na fotkę, jeśli nie wierzycie. Długa miękka grzywka, zęby wyszczerzone w buńczucznym uśmiechu. Taki trochę rozrabiaka. Na zdjęciu trzyma w dłoniach wściekłe, zabójcze węże, w lewej czarną mambę, w prawej zieloną, i emanuje młodością, zdrowiem oraz pewnością siebie. Nosi oczywiście okulary przeciwsłoneczne w wielkich lśniących oprawkach, a jego twarz okalają miedziane bokobrody o tej samej barwie co gęsty zarost na nagiej piersi. Jurny, nieujarzmiony, każdy by go chciał i nic dziwnego, że Rachel wszystko dla niego rzuciła. A potem on się zmienił i jej się odmieniło.

Przed domem zdyszany pastor zamyka Maniego w niezgrabnym, ale męskim uścisku. Szukaj siły w Chrystusie, mówi mu do ucha. Zdanie pozbawione znaczenia, jeśli się zastanowić, lecz Manie odpowiada, że tak, będzie szukał siły w Chrystusie. Już od dawna to robi. Przyjedzie pan znowu jutro? pyta niespokojnym głosem, niepewny, czy sam Chrystus mu wystarczy, lecz pastor zapewnia, że przyjedzie.

Potem odjeżdżają, wikariusz siedzi za kółkiem, starszy człowiek na fotelu pasażera. Na wyboistym podjeździe do bramy nie rozmawiają, choć jabłko Adama kierowcy porusza się w górę i w dół niczym spławik, jakby chciał coś powiedzieć.

Dopiero gdy wydostają się na główną drogę, Alwyn Simmers zaczyna mówić.

Cudowna rodzina, oznajmia. Ten człowiek się nie załamie.

Kierowca słucha z zazdrością, uśmiechając się do siebie. Nie załamie się! Czy można mieć pewność w takiej sprawie? Ja nie mogę. Nie dzisiaj. Nawet przekonanie, że zdoła trzymać się szosy, ściskając kierownicę śliskimi od potu rękami, wymagałoby zbyt wielkiej wiary.

Stary pastor jest dużym, pulchnym mężczyzną ze sczesaną na bok falą kędzierzawych włosów. Sprawia wrażenie wymiętego, bo opiekująca się nim w domu Laetitia, jego siostra, nie jest mistrzynią żelazka. Skórę na dłoniach, szyi i twarzy ma wiotką i poznaczoną zmarszczkami. Reszty, ukrytej pod ubraniem, naprawdę nikt nie chciałby oglądać.

Ma naturalną skłonność do powagi, ale tego popołudnia jest szczególnie zamyślony, ponieważ śmierć Rachel, kobiety, która od samego początku występowała przeciwko niemu, tak jest, zatwardziałej, dumnej kobiety, uporczywie odwróconej plecami do Pana, przywiodła go o krok od osiągnięcia pewnego bardzo pożądanego celu. Nie pragnie tego dla siebie, o nie! Jedynie dla Kościoła, aby wesprzeć dzieło Niebios. Jestem tylko narzędziem. Lecz to narzędzie wyczuwa, że droga przed nim nareszcie się oczyściła i być może wkrótce pozyska upragniony kawałek ziemi.

Przyjedź po mnie jutro o czwartej po południu, poleca.

Wracamy do… do tych ludzi?

Ja, wracamy do rodziny Swartów. Moja praca nie dobiegła tam jeszcze końca.

Zachodzi słońce, szczególnie barwnie w tych okolicach, i wszyscy goście już pojechali. Została tylko rodzina. Oom Ockie przechyla się trochę w prawo, być może pod ciężarem niesymetrycznego uśmiechu. Razem z Pa siedzi w salonie i ogląda telewizję przynoszącą złowieszcze wieści z całego kraju. Wybuch miny w Johannesburgu, żołnierze w czarnych osiedlach. Co jakiś czas Pa traci nad sobą panowanie i zaczyna łkać, jakby bardzo poruszyły go południowoafrykańskie problemy. Ockie tylko popija ze szklanki i się uśmiecha.

W kuchni Marina nadzoruje czarną dziewczynę, która ma do umycia stertę talerzy i kubków. Służąca porusza się tak ociężale i powoli, że można by pomyśleć, że to ona właśnie straciła bliską osobę. Lenistwo w taki dzień jest niewybaczalne, trzeba ją przepychać niczym głaz, a ciągłe wydawanie poleceń męczy. Poirytowana Marina robi ostatni obchód domu, szukając pozostawionych naczyń i resztek. W jadalni napotyka Amor, której jeszcze nie miała okazji objechać. Dokąd uciekłaś? pyta. Nie zdaje sobie sprawy, jak ostro to zabrzmiało, i zanim udaje się jej powstrzymać, szczypie bratanicę w ramię, zaciskając na moment paznokcie z prawdziwym okrucieństwem.

Au, mówi Amor, ale nie odpowiada na pytanie i Marina z ponurą satysfakcją rusza dalej na piętro. Wchodzi do pokoju Rachel, gdzie po chwili wahania zamyka okna i zasuwa zasłony. W powietrzu wyczuwa ślad jakiegoś nieprzyjemnego chemicznego zapachu. Na zewnątrz panuje ciemność.

Tej samej nocy, lecz później, gwiazdy nikną i tylko skrawek księżyca rzuca delikatną metaliczną poświatę na ten krajobraz pełen kamieni i wzgórz, zamienia go w morze płynnej rtęci. Od tego tła raz na jakiś czas odcina się tylko kreska drogi, rozjaśniana wolno sunącymi światłami samochodu, który z jednego miejsca w drugie wiezie ludzkie istnienia.

Dom jest ciemny z wyjątkiem dziobu i rufy (morskie terminy nieprzypadkowe), gdzie podjazd i trawnik oświetlają reflektory, oraz położonego po lewej salonu, w którym błyszczy pojedyncza lampa. W licznych pokojach parteru zasadniczo panuje spokój, czasem tylko przebiegnie jakiś owad czy może gryzoń, a meble wciąż odrobinkę rozprężają się i kurczą. Stuk, puk, cyk, skrzyp.

Na górze w sypialniach migocze jednak życie. Materac Pa jest rozkołysaną tratwą w nurcie niespokojnych snów. Zażył przepisany przez doktora Raaffa środek nasenny, który utrzymuje go tuż pod powierzchnią. Patrzy w górę i w lustrzanej tafli wody widzi obrazy. Wiele z nich przedstawia jego żonę, ale jakby zmienioną, udziwnioną. Przebija z niej ślad zupełnie innej, nieznanej mu osoby. Jak to możliwe? woła do niej, przecież nie żyjesz. Co za niewybaczalne słowa, Manie, odpowiada, bardzo mnie zabolały. Serce ściska mu żal. Przepraszam, przepraszam.

Za ścianą, na odległość wyciągniętego ramienia, we śnie faluje Astrid. Niedawno straciła dziewictwo z poznanym na lodowisku chłopakiem i seks przenika ją jak złoty wiatr. Zapomniała o bólu, chociaż ból to składnik lśnienia wokół twarzy młodych mężczyzn o szczeciniastych bródkach, a w tym śnie zwłaszcza wokół twarzy Deana de Weta, który usta ma bardziej różowe niż w rzeczywistości i z nerwowym podnieceniem wnika głęboko w jej wnętrze, gdzie wszystko się łączy.

W sypialni dla gości Tannie Marina na zmianę przysypia i się budzi. Udaje się jej dotrzeć tylko do początku snu, jest na pikniku w jakimś starym forcie z prezydentem Pieterem Bothą, który grubymi białymi palcami podaje jej do ust truskawki, a wtedy Marina budzi się z drgnięciem. W swoim domu przy Menlo Park nie sypia w jednym łóżku z Ockiem, który teraz leży obok niej, targany skurczami jak ofiara wypadku oczekująca na przyjazd karetki. Co za myśl, Marina, wstydź się, ale przecież nic nie poradzisz, że takie myśli przychodzą ci do głowy, to ludzka rzecz, zresztą już wyobrażałaś sobie znacznie, znacznie gorsze sceny. Marina cofa stopę, gdy dotyka jej stopa męża. To okropne, tak się brzydzić kogoś, kogo się dawniej przez chwilę kochało, przynajmniej takie miało się wrażenie, a może chciało się je mieć. Tak czy inaczej, są do siebie przykuci na resztę życia.

Na drugim końcu łańcucha Ockie podryguje jak tańczący niedźwiedź. Nie ma snów, chyba że uznać za nie płycizny, przez które brnie. Nic się jednak nie dzieje, nieustannie zmieniają się tylko kolory. Z morskiego dna unosi się bąbel, uderza powiewem w falochron żony, a ona sztywnieje i marszczy nos w geście protestu.

A w sypialni na końcu korytarza godzinami leży bezsenna Amor. Wierzcie mi, to dla niej nic niezwykłego, każdej nocy, zanim odpłynie, jej umysł musi najpierw opuścić bazę leżącego na wznak ciała, a następnie dotknąć różnych przedmiotów w ściśle ustalonej kolejności. Dopiero wtedy Amor może się odprężyć i pozwolić sobie na sen. Jednak tej nocy to nie działa, obrazy dnia są zbyt intensywne, napierają na nią, zaciśnięte usta pani Starkey, dźgający ziemię patyk Lukasa, tkliwy punkt na ramieniu, gdzie tak zajadle uszczypnęła ją ciotka, ślący w kosmos delikatne pulsy bólu, tu jestem, Amor Swart, rok 1986. Oby jutro nie nadeszło.

Kto wie, może wszystkie te sny łączą się w jeden wielki sen śniony przez całą rodzinę, ale kogoś brakuje. W tej chwili, w brązowym mundurze i z karabinem w ręku, wychodzi z transportera Buffel w bazie wojskowej na południe od Johannesburga. Z tego karabinu wczoraj rano zastrzelił kobietę w Katlehong. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że zrobi coś takiego, i teraz nieustannie rozpamiętuje tamtą chwilę, zdumiony i zrozpaczony.

Swart.

Ja, kapralu?

Kapelan chce z wami mówić.

Kapelan?

Nigdy nie rozmawiał z kapelanem. Ten człowiek na pewno dowiedział się, co zaszło, i chce z nim o tym pomówić. Jakimś sposobem grzech wyszedł poza niego, odebrał życie, musi zapłacić. Nie chciałem. Ale to zrobiłeś.

Zamierzała rzucić kamieniem, schyliła się, by go podnieść, a jego w okamgnieniu opanowała wściekłość podobna do tej, którą czuła ta kobieta. Nie myślał, nienawidził jej, wymazał ją ze świata. Kilka sekund, jedna chwila i koniec, załatwione. Nigdy nie będzie końca, nic nie jest załatwione.

Kiedy więc ten człowiek go w końcu powiadomił, uwierzył, że to jego wina. Moja matka nie żyje, ja ją zabiłem. Zastrzeliłem ją wczoraj rano.

Próbowaliśmy się z tobą skontaktować, mówi kapelan. Wysłaliśmy wiadomość przez radio. Sądziliśmy, że ją dostałeś.

Siedzi przed biurkiem w gabinecie kapelana. Na ścianie wisi chrześcijański plakat, Jam jest Drogą i Życiem, poza tym jednak pomieszczenie jest ponure i zwyczajne, zbyt zwyczajne, by pomieścić buzujące w Antonie emocje.

Byłem w Katlehong, mówi. Mieliśmy problemy.

Ja, *ja*, oczywiście. Kapelan jest drobny i nerwowy, z uszu wyrastają mu włoski. Ma rangę pułkownika, ale w tej chwili jest w dresie, z twarzą niewyraźną od snu. Wypełnił przykry obowiązek i chciałby wrócić do łóżka, zegar pokazuje trzecią w nocy.

Masz tu przepustkę na siedem dni, mówi poborowemu. Przykro mi z powodu śmierci twojej matki, ale jestem pewien, że spoczywa w pokoju.

Młody mężczyzna chyba go nie słyszy. Patrzy w ciemność za oknem. Musieliśmy zapanować nad sytuacją, mówi powoli.

Ja, oczywiście, po to tu jesteście. Do tego służy armia. Kapelan nigdy nie mierzył się z tego rodzaju pytaniami, odpowiedzi zawsze wydawały mu się oczywiste. Zastanawia się teraz, czy ten chłopak to typ wywrotowca. Może chciałbyś dłuższą przepustkę? pyta. Dziesięć dni?

Nie, mówi chłopak. Nie, nie sądzę.

No dobrze.

Widzi pan, moja matka zmieniła wiarę na żydowską, a raczej do niej wróciła, a oni mają w zwyczaju szybko chować zmarłych. Najlepiej tego samego dnia. Ale poczekają na mój powrót i zrobią to jutro.

Rozumiem.

Wszystko zaplanowali. Ona umierała od miesięcy. Wszyscy chcą mieć to już za sobą.

No dobrze, powtarza kapelan z zakłopotaniem.

Młody człowiek w końcu wstaje. Moi rodzice nie powinni byli się pobrać, mówi. W ogóle do siebie nie pasowali.

Wraca do swojego namiotu ciemnymi dróżkami obozu. Pod płótnem setki takich jak on leżą w rzędach. Moja matka nie żyje. Brama, przez którą wyszedłem na świat. Nie ma powrotu, zresztą nigdy nie było. Wczoraj ją zastrzeliłem. Ale ja nie chciałem. Ale tego nie zrobiłeś, nie zabiłeś własnej matki. Tylko czyjąś. I dlatego moja musi umrzeć.

Jest bardzo zmęczony. Nie spał od czterdziestu godzin i raczej nie zaśnie aż do powrotu do domu. Trzaski i płomienie. Lont już się pali. Nozdrza nieustannie drażni smród topionej gumy, który wydobywa się gdzieś z jego wnętrza. Zbliża się do namiotu, gdzie czeka na niego łóżko, lecz idzie dalej, bo podoba mu się chrzęst butów na drodze. Wy śpicie, mali żołnierze, a Minotaur przechodzi obok. Wlecze się do Bethlehem w Wolnym Państwie.

Na skraju obozu stoi wartownik. Piechociarz taki jak on. Czego chcesz? pyta z przestrachem w głosie.

Chcę twojego złota i kobiet, odpowiada Anton. Nie wiedzieć czemu, odzywa się w afrikaans, chociaż tamten zadał pytanie po angielsku. Język mojego ojca, zawsze mi obcy. Nie, zmieniłem zdanie, przybywam w pokoju. Zabierz mnie do swojego przywódcy.

Nie powinieneś tu być.

Wiem. Wiem o tym, odkąd się urodziłem. Zaciska palce na siatce ogrodzenia i ciężko się na niej uwiesza. Żółte reflektory rzucają na asfalt dziwne cienie. Po drugiej stronie płotu jest parking wojskowych maszyn, wiele z nich to buffele takie same jak ten, w którym siedział, kiedy to się stało. Wczoraj, ledwie wczoraj. Jeszcze tyle życia do przebrnięcia.

Straciłem matkę, mówi.

Straciłeś?

Zastrzeliłem ją z karabinu, broniąc kraju.

Zastrzeliłeś matkę?

Jak się nazywasz?

Payne[1].

O, cudownie. Przerzuca się na angielski. Już się spotkaliśmy. Jesteś alegorią? Istniejesz naprawdę? Masz jakieś imię?

Imię? A na co ci ono?

Unosi ręce. Poddaję się, szeregowy Payne.

Dobrze się czujesz?

A wyglądam, jakbym się dobrze czuł? Nie, nie czuję się dobrze. Moja matka nie żyje. Dzięki za towarzystwo, Payne. Do zobaczenia kiedyś.

Rusza tam, skąd przyszedł, a rozmowa, jak większość rozmów, rozpływa się w powietrzu albo wsiąka w ziemię, opada lub się unosi i nigdy nie wróci. Cztery godziny później szeregowy Anton Swart, lat dziewiętnaście, stoi przy drodze nieopodal Alberton w strefie transportu wojskowego, licząc na to, że złapie podwózkę do domu. Jest zmarniały, blady. Przystojny młodzian o brązowych oczach i włosach, z twarzą, która nigdy nie będzie wyrażać spokoju.

Dzwoni na farmę z budki telefonicznej w Pretorii. Ósma trzydzieści rano. Odbiera otumaniony Pa. Nie rozpoznaje Antona po głosie. Kto mówi?

To ja, twój potomek i dziedzic. Wyślesz po mnie Lexingtona?

Kręci się pod Teatrem Narodowym przy popiersiu Strijdoma, aż podjeżdża samochód. Triumf znaczy twe przybycie, mówi, wsiadając. To jego stary dowcip odnoszący się do marki samochodu, jedynego, jaki rodzina powierza Lexingtonowi, choć regularnie wysyła go do miasta, by załatwił różne sprawy. Lexington, pojedź do sklepu. Odbierz moje zasłony. Zawieź to pani Marinie. Lexington, pojedź po Antona do Pretorii.

Proszę przyjąć moje kondolencje.

Dziękuję, Lexington. Patrzy przez okno na biały tłum na chodniku. Miasto wąsów i mundurów, burskich pomników i wielkich betonowych placów. Nieco później pyta: Czy twoja matka żyje?

Tak, tak, mieszka w Soweto.

A ojciec?

Pracuje w kopalni w Cullinan.

Niepoznawalne żywoty. Sam Lexington jest hieroglifem, w tej swojej czapce i marynarce szofera. Musi je nosić, mówi Pa, by policja wiedziała, że to nie przestępca, tylko mój kierowca. Z tego samego powodu Anton jedzie na tylnym siedzeniu, trzeba bowiem podkreślić hierarchię.

Czemu tędy jedziesz, Lexington?

Bo na osiedlu są kłopoty. Pański ojciec kazał mi jechać dłuższą drogą.

A ja ci mówię inaczej.

Lexington się waha, którego polecenia posłuchać.

Zobacz, mówi Anton, mam karabin, i pokazuje go. Kładzie broń na kolanach. Umundurowanych kolanach.

Nie dodaje, że w karabinie nie ma amunicji. Bez nabojów mój karabin jest nic niewart, to pusta skorupa. Służy tylko do wystrzeliwania pocisków takich jak ten, który wczoraj bez namysłu w nią wpakowałem. Gdy tylko zaczęła się osuwać na ziemię, moje życie pękło na pół.

Pan chce, żebym zawrócił?

Tak, Lexington, proszę, żebyś zawrócił.

Nic się nie stanie. W dodatku jest tak zmęczony, że nie zniósłby jazdy dłuższą drogą. Mam już dość długich dróg. Nawet ta krótka go męczy, męczy go to, że ją dobrze zna, męczy go żółta trawa przerastająca brązowe

kamienie. Ależ ja nie znoszę tego kraju, tego szorstkiego, brzydkiego kraju. Nie mogę się doczekać, kiedy wyjadę.

Nim docierają do zjazdu na Atteridgeville, wreszcie zaczyna odpływać, smakuje snu po raz pierwszy od dwóch dni. Grupa ludzi przy drodze wygląda jak obraz z sennej wizji. Czekają na autobus? Nie, oni biegną, pokrzykują, coś gdzieś się dzieje, ale to wszystko jest zupełnie nieważkie.

Wagę ma natomiast kamień rzucony ręką człowieka o przekrwionych oczach, który wyszedł z tła i utkwił spojrzenie wprost we mnie. W jednej chwili świat nabiera realności. Boczne okno się rozsypuje, cios na moment go oszałamia, a gdy przychodzi do siebie, widzi uciekającą wstęgę drogi, po której pędzi Lexington.

Co za wstyd, master Anton, hayi.

(Nigdy wcześniej mnie tak nie nazwał). Jedź, Lexington, po prostu jedź.

Oczy zalewa mu wilgoć, która czerwienieje na palcach. Dopiero teraz pojmuje, co zaszło. Dopiero teraz to czuje. Dotkliwy wykwit bólu z jakiegoś zakamarka rzeczywistości.

Chryste, szlag by to.

Chce pan do lekarza?

Lekarza? Wybucha śmiechem, który przeradza się w konwulsje. Nie wie, co go bawi, nie ma w tym nic śmiesznego, ale może właśnie na tym polega dowcip. Często śmieje się do łez, rozbawienie i płacz zlewają się w jedno. Osusza oczy i mówi: Nie, dziękuję, Lexington, zawieź mnie do domu, proszę.

Jego ojciec z ciotką i wujem obradują nad czymś w salonie. Gdy wchodzi, zrywają się zaskoczeni na widok krwi, o której zapomniał, a która wciąż ścieka mu po twarzy i kapie na mundur oraz karabin, bezużyteczny, pusty karabin.

To nic takiego, mówi, tylko kamień, nie jestem mocno ranny.

Zadzwonię po doktora Raaffa, mówi Tannie Marina. Trzeba to zszyć.

Proszę, nie róbcie zamieszania.

Cholera, kazałem mu jechać dookoła, mówi Pa. Dlaczego nie posłuchał?

Bo tak mu powiedziałem.

Czemu? Czemu zawsze musisz się sprzeciwiać moim poleceniom?

Sądziłem, że nic się nie stanie, mówi Anton i znowu wybucha śmiechem. Ale nawet tutaj krewcy tubylcy walczą z ciemiężcami.

Człowieku, nie gadaj bzdur, mówi Ockie, co jego bratanka rozśmiesza jeszcze bardziej.

Żadnej wzmianki o celu jego przyjazdu, tylko zamieszanie i poruszenie, a ostatecznie wizyta doktora Raaffa, który pewnie obrał dłuższą drogę. Marina ma rację, trzeba szyć, i zabieg odbywa się w kuchni, z dala od oczu wrażliwych osób. W ranie tkwią okruchy rozbitej szyby, które trzeba wydobyć szczypcami.

Doktor Raaff posługuje się nimi z większą niż zazwyczaj zręcznością, narzędzie dobrze leży mu w ręce. Jego ruchy są proste i precyzyjne, jego ubranie nieskazitelnie czyste. Pacjenci lubią skrupulatność doktora Wally'ego Raaffa, ale gdyby poznali jego marzenia na jawie, pewnie mało który zdecydowałby się poddać badaniu.

Dwa cale niżej i dostałbyś w oko, mówi z nutą satysfakcji w głosie.

Przeszliśmy na system metryczny w 1971 roku, odpowiada Anton.

Doktor Raaff spogląda na niego zimno, z ustami zaciśniętymi tak jak jego szwy. Ostatnio ma już dość Swartów i nie miałby nic przeciw rozpuszczeniu tego młodziana w kąpieli z kwasu siarkowego. Niestety wśród ludzi trzeba przestrzegać konwenansów.

Sytuacja uspokaja się dopiero wtedy, gdy samochód dobrego doktora oddala się podjazdem. Nastaje późny ranek wiosennego, nietypowo gorącego dnia i w domu rozbrzmiewa bzyczenie owadów.

Upiekłam tartę mleczną, mówi Tannie Marina bratankowi. Chciałbyś trochę? Szczypie go w bok i dodaje kokieteryjnym tonem: Jesteś taki chudy.

Później.

Musimy teraz jechać do tego żydowskiego domu pogrzebowego, żeby ustalić kilka spraw. Chcesz się z nami zabrać?

Muszę się przespać, mówi Anton.

Musi się przespać. Schody w górę są jak biały tunel, po drodze do pokoju głosy rozmów cichną, zamieniając się w szmery. Rozbiera się powoli i rzuca na krzesło kolejne części garderoby jak kawałki siebie.

Bierze prysznic, zmywa ostatnie dni, ale ledwie może ustać na nogach. Kładzie się jeszcze mokry w łóżku i zasypia tak szybko, jakby ktoś wyłączył lampę.

Dopiero teraz, gdy nikt inny już nie śpi, dodaje swój sen do pozostałych. Jego macki spoza czasu, zagubione, wysuwają mu się z głowy i rysują obrazy w dymie. Leży w jednym z wielu identycznych łóżek przypominających jego własne, które stoją w podłużnej sali, i przez odległe drzwi wchodzi jego matka. Zbliża się powoli, klucząc między łóżkami, nachyla się i składa mu na czole chłodny pocałunek. Tak we snach wracają do nas zmarli.

Duch Rachel Swart, née Cohn, snuje się po domu zdezorientowany. Czasem, przy odpowiednim oświetleniu albo nastroju, Rachel staje się prawie widzialna, ale tylko dla tych, którzy chcą ją zobaczyć, i nawet wtedy dostrzegają ją jedynie kątem oka, na krawędzi rzeczy. Niedawno zerknęła z lustra na Amor, choć przede wszystkim przyglądała się wówczas, jak po raz ostatni opuszcza dom, z czym trudno było się jej pogodzić. To nic niezwykłego, zmarli często nie potrafią zaakceptować własnego położenia, w czym zresztą przypominają żywych, ponieważ jednak w chwili przejścia na drugą stronę wiele się traci, sami już nie pamiętają, co takiego budzi ich tęsknotę, i kiedy na ciebie patrzą, wcale cię nie poznają.

Owczarek Tojo bez trudu obserwuje jej wędrówki, bo nie dowiedział się, że to niemożliwe.

Rachel unosi zasłonkę w kuchni, żeby zerknąć na Salome, jedna chwila, migotanie na skraju pola widzenia.

Astrid ma wrażenie, że w swoim pokoju na końcu korytarza słyszy jej wołanie, pewnie znów trzeba jej w czymś pomóc, ale to oczywiście tylko obluzowany zawias okienny na wietrze.

Rachel potrząsa drobniakami w torebce, jak to zwykła robić, ale gdy Manie woła ją z kąpieli, nie odpowiada.

Przyciska chłodne usta do czoła pogrążonego we śnie Antona.

W końcu dom zaczyna ją nużyć i można ją zobaczyć w różnych miejscach Pretorii, które lubiła. Brodzi w sadzawce w Magnolia Dell, pije herbatę w kawiarni przy Barclay Square. Przez ogrodzenie ptasiego

rezerwatu imienia Austina Robertsa ogląda smutnego żurawia rajskiego, który dziobie jakąś lśniącą rzecz na ziemi.

Już rozumiecie, na czym to polega. Rachel pojawia się w miejscach, w których jej duch się dawniej zagęszczał, ale utraciła materialną formę, jest kobietą akwarelową. W tłumie staje się jedną z wielu nierozpoznawalnych twarzy. Przemierza wielkie odległości, jakby przechodziła z pokoju do pokoju, w poszukiwaniu czegoś utraconego. Pojawia się w różnych ubraniach ze swojej szafy, na przykład w sukni wieczorowej, zwiewnej letniej sukience, a nawet szalu, który kupiła w Truworths i następnego dnia zwróciła. Wygląda jak prawdziwa osoba, to znaczy zwyczajnie. Czy można by rozpoznać, że jest duchem? Wielu żywych również wygląda niewyraźnie i daje się nieść światu, nie jest to przypadłość wyłącznie tych, którzy odeszli.

W końcu dociera tam, gdzie z pewnością nigdy wcześniej nie była, tyle że już tam jest. Leży naga na stalowym stole z odpływem, taka sama jak zawsze, ale szara i zimna jak nieboszczka.

Bo jest nieboszczką. Patrzy na siebie na stole i zaczyna pojmować.

Starsza kobieta, wolontariuszka, pracuje nad nią już od kilku godzin. Z uwagi na restrykcje w obrocie chemikaliami nie może zrobić wszystkiego, co by chciała, jednak najważniejsze jest oczyszczenie zwłok. Kąpie je w wodzie, potem suszy. Rytuał jest równie ważny jak efekt końcowy. Starsza pani o imieniu Sara, które widnieje na identyfikatorze, wykonuje kolejne czynności z szacunkiem i czułością, a praca napełnia ją spokojem. Pewnego dnia, niedługo, ktoś zrobi to dla mnie.

Prostota i czystość to zasady, którymi się kieruje. Ludzka postać sprowadzona do elementarnej formy. Odziała zwłoki w tachrichim i zawiązała awnet, ale węzeł nie leży idealnie. Powinien układać się w kształt szin oznaczający jedno z imion Boga, lecz dziś palcom Sary wyjątkowo mocno dokucza artretyzm.

Albo da sobie spokój, albo westchnie i poprawi. Znaczna część życia, zwłaszcza życia Sary, to wzdychanie i poprawianie. Materialny świat stawia opór. Cierpliwość jest formą medytacji. Gdy jej mąż zmarł dwadzieścia dwa lata temu, zgłosiła się na ochotnika do chewry kadiszy. Służba to

oddawanie czci. A poza tym sposób na spędzanie czasu. I poznawanie nowych ludzi.

Postanawia dać sobie spokój. Imię Boga będzie trochę krzywo, czy to ma znaczenie? Nikt nie zobaczy, wszystko skryje aron. To przecież tylko symbol. Czy to okropna decyzja? Ma większe zmartwienia, musi na przykład przygotować twarz. Nie lubi robić zmarłym makijażu, który po śmierci oszukuje bardziej niż za życia, ale ta kobieta jest w wyjątkowo złym stanie. Długo chorowała, biedactwo, na ramionach ma odleżyny, straciła prawie wszystkie włosy, poczerniały jej dziąsła, jest wychudzona. To byłby brak szacunku, gdyby nie poprawić wyglądu zmarłej, na polaroidowym zdjęciu, o które poprosiłaś, widać, że niegdyś była piękna. Ludzkie życie jest jak trawa na tej ziemi.

W innym, publicznym życiu Sara nie jest wolna od odrobiny próżności, czasem zakłada biżuterię, a policzki lubi musnąć różem. Dawno temu, nim się zestarzała, ona także emanowała przyciągającą mocą. Mężczyźni zwracali na mnie uwagę, o tak. Nachodzi ją nostalgiczny nastrój. Sięga po własny pojemnik z przyborami do makijażu, by naprawić nieco szkód. Proszę, kochana. Troszkę różu, odrobina pudru. Nie chce przesadzić, liczy się prawda, a w przypadku tej kobiety prawdą było cierpienie. Wreszcie się skończyło. Błogosławieństwo. Żegnaj, moja droga. Spoczywaj w spokoju.

Na koniec przeczesuje rzadkie włosy na głowie zmarłej. Robi to delikatnymi, rytmicznymi ruchami. Zwykle czerpie zadowolenie z tego rytuału, ale dziś wyczesuje kilka kosmyków. Są miękkie, prawie niewidzialne, jakby nierzeczywiste. Zbiera je w dłoni, by później włożyć do trumny. Wszystko ma znaczenie, każda kropla, każde włókno.

W końcu surowy wyraz twarzy łagodnieje, staje się przyjemniejszy, bardziej akceptujący. Nawet ducha Rachel intryguje to podobieństwo do niej samej. Staje obok leżącego na stole ciała, patrzy ze zdumieniem na twarz, którą nosi, i próbuje ją z czymś skojarzyć. Stara się nie wchodzić Sarze w drogę, chociaż w jej polu widzenia pozostaje tylko rozmazanym kształtem wśród wirujących plamek. Może to początek migreny. Sara czasem jej dostaje, gdy ciało, którym się zajmuje, sprawia wyjątkowe trudności. No i zobacz, co narobiłaś, mówi do kobiety na stole, ale cicho, w myślach. Wybiłaś mnie z pracy, z poszukiwania prawdy. Czy ta prawda,

pyta Rachel równie cicho, jest prawdą o tej kobiecie? Mam wrażenie, że skądś ją znam.

Tak, to zdecydowanie migrena, Sara się cofa, zdejmuje gumowe rękawiczki i szuka czopków. Jeśli zdąży je zastosować odpowiednio wcześnie, czasem pomagają. Nie ma potrzeby opisywać starej kobiety z opuszczonymi majtkami i palcem w centralnej części ciała. W takich momentach czuje się wyjątkowo odległa od Boga.

W sali obok, zaledwie dwie cegły dalej, na twardym krześle czeka szomer z Księgą Psalmów w dłoni. To wysoki, kościsty mężczyzna o bezpłciowym wyglądzie, z jarmułką na głowie, szalem modlitewnym na szyi i w źle dopasowanych ubraniach o staroświeckim kroju. Niedługo przystąpi do swych obowiązków, ale teraz, w tym przyjemnym okresie przygotowań, stara się oczyścić umysł, w którym panuje zwykle większy zgiełk niż w umysłach innych ludzi.

A za przeciwległą ścianą, w kolejnym pokoju, rodzina zmarłej rozmawia z rabinem Katzem, który jutro poprowadzi lewaję. Rabin służył Rachel duchowym przewodnictwem, gdy wracała do swego ludu, więc jest tu jak najbardziej na miejscu. Jednak dopiero teraz spotyka tych dwoje gojów, męża oraz siostrę, i choć Rachel wiele o nich opowiadała, to, wybaczcie brak tolerancji, nie spodziewał się, że będą tacy tępi.

Zaczyna się nieźle. Ruth, starsza siostra Rachel, która tego ranka przyleciała z Durbanu, ciepło wita Maniego.

Dzień dobry, Manie, mówi. Pamiętasz Clinta?

Niestety pamięta. Clint jest dużym, masywnym facetem, który kiedyś grał w rugby w Western Province, a teraz prowadzi bar ze stekami w Umhlanga Rocks. Jak leci, Mannie, mówi i niepotrzebnie mocno ściska mu rękę. Nieźle wyglądasz.

Manie, poprawia go żona znużonym tonem osoby nawykłej do częstego poprawiania. Dobrze cię widzieć.

Ja, ciebie też.

Wcale nie mija się z prawdą. Spośród wszystkich członków rodziny Rachel z Ruth najłatwiej się dogadać, bo i ona wyszła za człowieka innej

wiary i przez pewien czas była na wygnaniu. Wygląda na to, że już wróciła do stada.

Przyjechała też jednak Marcia, średnia siostra Rachel, wraz z mężem Benem, a z nimi relacje są znacznie bardziej napięte. Obie strony czują do siebie wrogość, jakąś zadawnioną ranę zadaną w okolicznościach, których szczegóły wszyscy zdążyli już zapomnieć. Nie pomaga to, że Ockie powiedział Gratulacje zamiast Kondolencje, gdy wpadł na nich przed budynkiem, ani że Manie ciągle obwinia ich o to, że jego żona wróciła do swojej religii.

Słuchajcie, zapewnił ich rabin już dwukrotnie przez ostatnie pół godziny, to nie była wina Levisów. Ona tego chciała. Rachel sama o to prosiła.

Chcesz powiedzieć, sama o to prosiła z wypranym mózgiem, stwierdza Manie.

Uspokój się, mówi siostra sziksa. Przypomnij sobie, co powiedział doktor Raaff.

Nikomu nie wyprałem mózgu, protestuje rabin Katz. Przyszła do mnie z własnej i nieprzymuszonej woli.

Bo tamci ją przerobili, upiera się Manie, wskazując Marcię i Bena, którzy wiercą się niespokojnie na krzesłach. Pierwszy raz od lat siedzą wszyscy razem w jednym pokoju. To oni zaaranżowali spotkanie, pewnie aby zniwelować napięcie przed jutrzejszym pochówkiem, lecz kiepsko to idzie.

Po co opowiadasz takie rzeczy, chłopie, mówi Ben, nie patrząc na Maniego.

Sama nie wiem, co my tu robimy, odzywa się Marcia. Sądziłam, że wszystkim nam zależy.

Levisowie należą do naszej gminy, wtrąca rabin Katz. To naturalne, że zwrócili się do mnie.

Z ręką na sercu, ciągnie Marcia, zapewniam cię, że to był pomysł Rachel. Przyszła z tym do mnie zupełnie znienacka. Nie rozmawiałyśmy od lat…

Przez ciebie, kolego. Więc bądź uprzejmy.

Wiesz, że tydzień żałobny wzięliśmy na siebie? pyta Marcia. Powinien się odbywać w jej własnym domu. Pozasłaniane lustra, zapalone świece…

Nasz dom też jest pogrążony w żałobie, odpowiada Manie. Ale opłakujemy po swojemu, a nie jak poganie. Nagle powietrze ulatuje z niego jak z przedziurawionego balonu. Wie, że mają rację, to Rachel odnalazła drogę do nich, oni jej nie szukali. Marina przez całą jazdę napominała go, że nie wolno mu się zezłościć na widok Levisów, a on się z nią zgodził. I nie zmienił zdania. Oni nic nie zawinili.

Błyskotliwy mały rabin też jest bez winy, ale Manie i tak ma ochotę mu dopiec. Cały buzuje na myśl, jakie to wszystko niesprawiedliwe, jednak tego ranka wścieka się zwłaszcza z powodu prostej sosnowej skrzynki, do której ci ludzie zamierzają włożyć jego żonę, a ona zasługuje na znacznie więcej, przecież latami opłacał polisę pogrzebową, a teraz się okazuje, że na marne.

Zrozum, proszę, mówi Marina kojącym głosem, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego. To trudny moment dla mojego brata.

Tak, na pewno, odpowiada Marcia. Wierzcie lub nie, ale dla nas to także trudne. Myślicie, że siedzimy tu z przyjemnością?

Marcia, odzywa się jej mąż ostrzegawczo.

Chciałbym tylko, szepcze Manie, żeby spoczęła obok mnie na rodzinnym cmentarzu. Czy dałoby się to jakoś załatwić? Gdybym złożył datek…

Rabin się prostuje. Obawiam się, że nie. Jeśli pogrzeb ma być żydowski, to niemożliwe. Nie można kupić naszych tradycji, panie Swart.

Ona tak naprawdę nie była Żydówką, mówi Manie. Nie w głębi ducha.

I pan to wie, tak?

Ja, właśnie że wiem. Moja żona potrafiła mnie dręczyć na różne sposoby, taki miała talent.

Może gdybyś lepiej ją traktował, nie zwróciłaby się przeciw tobie, mówi Marcia, wyjmując portmonetkę z torebki i chowając ją z powrotem bez wyraźnego powodu.

Marcia, odzywa się Ben.

Wiem, co mówię.

Nie zbliżamy się do żadnego rozwiązania, stwierdza rabin bliski łez. Jego poczucie sprawiedliwości nie zostało wystawione na tak ciężką próbę od czasu, gdy prowadził moralne rozważania o sprawie Izraela.

Manie, chodźmy, mówi jego siostra. Tylko się niepotrzebnie denerwujesz.

Ja, chodźmy, vámonos. Stało się jasne, że spotkanie to strata czasu. Rachel zostanie pochowana wśród swoich, tak jak pewnego dnia Manie. Swartowie postąpią lepiej, jeśli wrócą na farmę i przygotują się na jutrzejsze wydarzenia.

Kiedy odjeżdżają, ciało Rachel zostaje przełożone do jego ostatniego pojemnika i zamknięte pod mocowanym śrubami wiekiem. Na zawsze. Jest przy tym obecny szomer, a gdy inni asystenci wychodzą, on siada na swym samotnym krześle pod ścianą i recytuje Tehillim. Bo zmarłym należy towarzyszyć do samego końca. Psalmy zastępują cały naród żydowski, takie magiczne działanie mają słowa, lecz on jest teraz samotnym przedstawicielem całego rodzaju ludzkiego i swoją pracę, jak przystało na dobrego ambasadora, traktuje poważnie.

Niekiedy wyczuwa obecność zmarłych jako szum czy nacisk na krawędziach zmysłów. Recytuje wtedy bezpośrednio do nich, z serca do serca. Jednak dzisiaj, choć zatacza krąg myślą, nie wychwytuje żadnego sygnału. Sala wydaje mu się pusta. Mimo to kontynuuje recytację, bo kto wie, dokąd wędrują słowa?

Spójrzcie, jak lecą za drzwi, korytarzem i przez okno. Patrzcie, jak wznoszą się nad miasto i fruną psalmokształtnym stadkiem na farmę w poszukiwaniu kobiety, do której zostały skierowane. Okrążają pagórek, zniżają lot nad trawnikiem i tylnym wejściem wnikają do domu, po czym na tyczkowatych nogach przechodzą przez kuchnię jak drgnienie światła.

Siedzący przy stole Anton unosi wzrok. Co to było? pyta.

Hmmm? Salome jest tam, gdzie zawsze, przy zlewie, i jej odbicie zerka na niego z szyby okiennej.

Nic. Zdawało mi się… Wciąż jest ogłupiały od snu, popija mocną kawę z kubka i posila się kawałkiem mlecznej tarty upieczonej przez Tannie

Marinę. Cukier niedługo zacznie działać i da mu kopa. Dotyka szwów na czole, drażnią go swoją obcością i pulsującym bólem.

Cisza, która między nimi panuje, jest naturalna, pozbawiona napięcia. Salome patrzyła, jak dorastał, zmieniał się z raczkującego niemowlaka w złotego chłopca, a potem człowieka, którym jest teraz. Opiekowała się nim na każdym kroku tej drogi. Gdy był mały, nazywał ją Mamą i próbował ssać jej sutek, to typowa pomyłka w Południowej Afryce. Nie ma między nimi tajemnic.

Ogarnia go nagły spazm gniewu i gwałtownie odsuwa talerz z resztkami tarty.

(Wczoraj zabiłem kobietę bardzo podobną do ciebie). Jak skończę z wojskiem, to wynoszę się z tego kraju.

Ja?

Zetrę ten kraj z podeszew butów i nigdy nie wrócę.

Ja? Naczynia postukują i podzwaniają. Dokąd pojedziesz?

Ach, mówi, bo tej części planu nie jest zbyt pewny. Wszędzie.

Ja?

Będę studiował literaturę angielską. Nie tutaj, gdzieś za granicą. Przede wszystkim zamierzam napisać powieść. Później może pójdę na prawo, a może tylko zarobię dużo pieniędzy. Ale najpierw chcę zwiedzić świat. Nie chcesz zobaczyć świata, Salome?

Ja? A jak bym to miała zrobić? Wzdycha i zaczyna wycierać naczynia dużą szmatką. Czy to prawda, pyta, że dostanę dom?

Słucham?

Lukas spotkał wczoraj Amor na pagórku. Powiedziała mu, że wasz ojciec da mi mój dom.

Nic mi o tym nie wiadomo.

Okej, mówi. Nie okazuje żadnych emocji, choć odkąd się dowiedziała, nie myśli o niczym innym. Mieć własny dom, trzymać te papiery w ręku!

Lepiej spytaj mojego ojca, mówi.

Okej.

Patrzy na jej enigmatyczne plecy, które w dzieciństwie nosiły go nieskończenie wiele razy, poruszające się teraz przy kuchennym blacie, gdy

Salome przekłada sterty talerzy do szafki.

Tak, mówi Anton nieobecnym głosem. Najlepiej jego pytać.

Kwestia domu wędrowała od jego matki przez siostrę i Lukasa po Salome, a teraz została zasiana w nim jak ciemne kiełkujące nasionko. Przypomina mu się to kilka godzin później w innym pokoju po drugiej stronie miasta, w zupełnie nieoczekiwanej chwili, gdy zapina koszulę.

Wiesz, co moja młodsza siostra powiedziała Salome?

Kto to jest Salome?

Kobieta, która… Nasza pokojówka.

Rozmowa odbywa się w sypialni na piętrze dużego domu w zielonej podmiejskiej dzielnicy. Anton mówi do piersiastej blondynki, która kończy liceum, a z którą niedawno parzył się z gwałtowną, zwierzęcą werwą. Zobaczcie, skotłowana pościel, niedopięte ubrania, przyjemna poświata w podbrzuszu.

Co twoja siostra jej powiedziała?

Że mój ojciec obiecał oddać jej dom.

Naprawdę?

Co naprawdę?

Obiecał?

Nie wiem, mówi Anton, obciągając koszulę przed lustrem toaletki, dopinając ubrania i zacierając wszystkie ślady, aby nie dostrzegło ich podejrzliwe oko matki Desirée, która może lada moment wrócić od fryzjera. Nachyla się i przygląda swoim szwom, znów pod wrażeniem zadanej mu rany. W końcu wyglądam jak żołnierz.

Nie pozwól mu oddać domu pokojówce, mówi Desirée. Tylko go zrujnuje.

Chyba już jest w ruinie. Ale nie w tym rzecz.

Z zewnątrz dobiega jednoznaczny pomruk jaguara starszej pani, który wjeżdża na podjazd i hamuje, wyrzucając spod kół drobne kamyczki. Na szczęście są na piętrze, inaczej mogłaby zobaczyć, jak córka wkłada bluzkę, a jej chłopak zapina rozporek. Dość jednoznaczny obrazek.

Pospiesz się, przyjechała.

Ty zejdź i ją zagadaj! Powiedz, że jestem w łazience.

Okej. Szybkim ruchem poprawia kapę i zerka na dziewczynę, ale widzi tylko, jak ta w wirze blond włosów znika za drzwiami łazienki. Przegrywa w porównaniu z obrazem, który przez ostatnie miesiące nosił w sobie i zabierał we wszystkie samotne miejsca. Leon, brat Desirée, to przyjaciel Antona z liceum i dziewczyna przez ładnych parę lat była tylko tłem, irytującą młodszą siostrą, aż pewne zmiany hormonalne zmieniły jego postrzeganie. W ostatnich dniach ochota rżnięcia się jak pawiany wypiera wszystko inne i nie przyjechał do Desirée w żadnym szlachetniejszym celu. Odkąd dowiedziałem się o Ma, tylko jedno mi w głowie, zabawne, jak to działa, Eros walczy z Tanatosem, choć o seksie się nie myśli, tylko znosi jego udrękę. Głodna, drapiąca bestia w piwnicy. Cierpienie potępionych, pożar nie do ugaszenia. Ma jednak wrażenie, że poza cielesnym apetytem zmaga się jeszcze z jakąś inną emocją, której nie potrafi do końca nazwać. Może nawet z miłością, chociaż to by go zaskoczyło. Desirée bez wątpienia go dzisiaj pokrzepiła. Tak, poleżeć sobie dłużej pośród jej bujnych fal, to byłoby kojące doznanie.

Zamiast tego pełen niepokoju, podpuchnięty na twarzy brnie przez starannie wykończone korytarze piętra, zerkając do innych sypialni i łazienek po obu stronach. Dalej jest gabinet, widać fragment biurka, perski dywan, stojącą lampę. Czemu meble zawsze wyglądają tak niewinnie, nieważne, co się na nich działo?

Nie powinno go być na górze, to stanowczo zbyt prywatne miejsce. Stracił dziewictwo z Desirée i zawsze będzie o niej myśleć ze szczególnym ładunkiem emocji, ale nie tylko to podnieca go podczas tych wizyt. Jej ojciec to ważny minister, człowiek odpychający zarówno fizycznie, jak i moralnie, z krwią niewinnych ludzi na rękach, i choć Anton chciałby go szczerze nienawidzić, zewnętrzne przejawy władzy skrycie go uwodzą. Strażnicy o wrednych spojrzeniach w budce przy wejściu, popiersia i olejne portrety kolonialnych przestępców ze starannie wyselekcjonowanej historii, swobodne wzmianki o znanych, budzących grozę osobach, wszystko to jest straszne, lecz podniecające, a najbardziej pamiętny, piorunujący orgazm Anton przeżył na fotelu goszczącym tylko nieco wcześniej pośladki ministra sprawiedliwości.

Żona tego światowego i okropnego człowieka, matka Desirée, robi na nim zupełnie inne wrażenie. Jest jak stara aryjska lalka, ładna, lecz twarda, cała tak wypucowana, wypudrowana, wymalowana i zreperowana, że aż człowiek ma ochotę zarysować tę kruchą pozłotkę. Zbiega po schodach i wpada do kuchni tuż przed nią. Gdy kobieta wchodzi przez tylne drzwi, krzesząc szpilkami iskry na kafelkach, on stoi oparty o kredens.

Co za niespodzianka! Tak właśnie sądziłam, że ten uroczy mały samochodzik przed domem należy do ciebie. Pozwala mu się lekko cmoknąć w policzek. Co ci się stało w głowę?

Rany wojenne. To tylko rzucony kamień, nic poważnego.

Więc jesteś na urlopie zdrowotnym?

Nie. Wczoraj zmarła moja matka.

Och, Anton! W końcu się to stało… Bardzo mi przykro. Pozwala emalii lekko pęknąć, tylko na tyle, by zasymulować prawdziwe emocje. Jej fryzura wibruje z wysiłku. Przynajmniej przestała cierpieć.

Tak, przynajmniej tyle dobrego.

Kobieta kładzie mu rękę na policzku, a on prawie naprawdę zaczyna łkać. Skąd ten nagły przejaw słabości? Na szczęście przypływ wzruszenia zostaje przerwany przez pojawienie się Desirée, która wchodzi odświeżona, wyperfumowana i uszminkowana.

Maman! / Mein Schatz! Buzi-buzi! Od powrotu z wycieczki po Europie zwracają się do siebie w obcych językach. Są ulepione z jednej gliny i Anton przypomina sobie pewien wieczór w Johannesburgu przed rokiem, kiedy karmiły się nawzajem lodami, trzepotały rzęsami i gruchały jak gołąbki na gzymsie.

Tego popołudnia Maman czuje sympatię do Antona, a przynajmniej jest jej go żal. Miałaby ochotę rozmasować mu barki, lecz zadowala się zasypywaniem go różnymi propozycjami. Chciałbyś relanium na nerwy? Mam trochę w szufladzie. Zamierzałam też otworzyć wino. Wiem, że to dla ciebie smutny dzień, więc pewnie wolałbyś nie…

W sumie to wypiłbym lampkę, mówi.

Powinien siedzieć na farmie. Nikomu nie powiedział, dokąd jedzie, zabrał triumpha bez pytania i wie, że ojciec będzie wściekły, a to same

dobre powody, żeby jeszcze się nie spieszyć z powrotem, tylko wrzucić relanium i wypić lampkę wina, może dwie.

Tymczasem na farmie zaczyna się grillowanie. Po drodze z porannego spotkania z tymi ludźmi Pa poczuł ochotę, by zarżnąć coś żywego. Na dalszym skraju trawnika stoi teraz stół, a słońce tonie krwawo nad weldem, podobne trochę do macerujących się w miskach kawałków mięsa. Ockie podsyca żar na grillu. To jego robota! Kotlety na ruszcie, piwo w ręku i dopiero wtedy mężczyzna może poczuć spokój. Sałatki to zajęcie dla kobiet i jeśli nadstawić ucha, można usłyszeć głos Mariny wydającej w kuchni polecenia, Umyj to, Pokrój tamto. Kto ją postawił na czele świata?

Ktoś otworzył butelkę czerwonego wina i prawie wszyscy dorośli piją. Interesująca scena, to spokojne przyjęcie zaledwie dzień po śmierci Ma, ale ludzie w końcu muszą jeść, życie się toczy. Będą pić i rzucać rubaszne żarty także wkrótce po twojej śmierci.

Nie tylko rodzina się zjechała. Jest też kilkoro znajomych, w tym wielebny Simmers wraz z pomocnikiem. Pastor jest odprężony i rozgadany, uśmiecha się niepewnie, lecz szeroko, i na wszystkie strony rzuca bon motami. Każdemu podoba się takie osobiste podejście. Problem w tym, że prawie nikt poza Pa i Tannie Mariną nie lubi Alwyna Simmersa. Oskrzydlają go, gdy siedzi przy stole pod drzewem kapokowym, z oczami za zasłoną tych swoich kuloodpornych szkieł, wśród wszechobecnego zapachu skwierczącego mięsa.

Po drugiej stronie stołu Amor przygląda się i słucha, ale sama nie mówi zbyt wiele. Nadal dokucza jej głowa, jakby nosiła jakąś ciemną, zbyt ciasną czapkę. Obok niej Astrid odsuwa sobie skórki przy paznokciach i potrząsa nogą w sandale.

Pa rozmyśla o swoich dwóch córkach. A gdzie trzecie dziecko? Ten pierwszy, chłopak, na moment zapomina jego imienia. Powinni wszyscy tu być, potomkowie, usadowieni w jednym rzędzie jak ptaki na drucie. Wszyscy mają imiona na A, co też Rachel sobie myślała? Podobało nam się, jak brzmią, mówiła zawsze ludziom, choć teraz to brzmienie wydaje mu się wyjątkowo żenujące. Gdyby ten pierwszy nazywał się inaczej…

Gdzie Anton? pyta z nagłą irytacją.

Astrid dostrzega okazję, by narobić zamieszania. Wymknął się gdzieś triumphem. Sama widziałam.

Dokąd pojechał?

Astrid wymownie wzrusza ramionami, ale o wilku mowa, oto w dali, na szczycie wzgórza, widać reflektory auta. To musi się dziać wieczorem, bo wszyscy mają już jedzenie na talerzach, co wyraźnie widać, gdy jasne smugi zwracają się z wolna na dom i oświetlają na moment całe zgromadzenie. Potem gasną, silnik zamiera, drzwiczki otwierają się i zamykają, i Anton wystudiowanym, luźnym krokiem zmierza ku zebranym przez trawnik. Idzie miękko, nie prostując do końca kolan, a na twarzy ma nieco rozmazany uśmiech.

Podobnie wyglądają już twarze zebranych. Nałóż sobie mięsa, woła trochę zbyt głośno Ockie. Chodź, przyłącz się do reszty grzeszników! Tannie Marina poklepuje krzesło obok niej. Tutaj! Wie, że ten jej zwariowany bratanek, ten błąd, sam ostatnio popełnia własne błędy i być może tego wieczora przyda mu się pomocna dłoń.

Od chwili przyjazdu Antona Manie nieustannie się w niego wpatruje. Ponuro kiwa głową, dostrzegając w nim siebie sprzed lat, człowieka upadłego. No ładnie. *Ja*. Bardzo ładnie.

Co teraz? Anton rzuca kluczyki na stół.

Twoja matka zmarła wczoraj, ale znalazłeś czas na wino i rozwiązłe kobiety. Ładnie.

Rozwiązłe kobiety? pyta Ockie z nadzieją i zdumieniem w głosie, rozglądając się wokół. Wielebny Simmers mruczy pod nosem coś pobożnego, a Anton śmieje się cicho i wsuwa się za stół.

Ja, kpij sobie. Szydź ze mnie. Każdy grzech zostaje zapisany w księgach, a ostatniego dnia…

Twoje grzechy również, drogi Ojcze. Kobiety i wino.

To minione dni. Oczyściłem serce, poprosiłem o wybaczenie i zostawiłem to za sobą. A ty, spójrz na siebie!

Po drugiej stronie stołu pastor Simmers wzdycha niedosłyszalnie. Rozmawiał z Maniem tuż przed powrotem syna marnotrawnego i wszystko szło dobrze. Wyczuł odpowiedni nastrój i za krótką chwilę zamierzał

nakierować pogawędkę na najważniejszy temat, ale teraz wkradła się fałszywa nuta. W tym chłopaku, jak mu tam, nigdy nie potrafi zapamiętać, Andre, Albert, jest coś przekornego.

Twój ojciec jest dziś podenerwowany, wtrąca się uprzejmie. To przez ten żydowski pogrzeb.

Żebyś ty widział trumnę, zupełnie byle jaka, mówi Tannie Marina. Z drewnianymi uchwytami!

Chociaż płacił polisę, dodaje z podnieceniem Ockie. Przez dwadzieścia lat!

Jedyne, czego chcę, mówi Manie jękliwie, to spocząć na wieczność u boku żony. Czy to za wiele?

Ale położą ją na żydowskim cmentarzu, mówi Marina.

To bardzo niesprawiedliwe, zauważa pastor.

Dlaczego niesprawiedliwe?

Twój ojciec chciałby, żeby twoja ukochana matka leżała tu, na farmie. Razem z resztą rodziny, obok niego. Tu, gdzie jest jej miejsce.

Gdzie jest jej dom, dodaje Pa.

I by miała ceremonię z prawdziwym duchownym.

To znaczy z panem, wtrąca Anton.

Zapada cisza przerywana sykiem kapiącego na węgle tłuszczu.

Tego chciałby twój ojciec…

Ale ona chciała inaczej.

Martwi niczego nie chcą! mówi, a raczej krzyczy Pa, na moment zapominając o manierach. Rozmowa cichnie i w milczeniu, które zapadło, dźwięki przeżuwania brzmią niestosownie głośno. Zebranych ogarnia poczucie zażenowania i musi minąć dłuższa chwila, nim ktoś znów podejmie konwersację.

Manie już się nie odzywa. Siedzi oklapły i pozbawiony energii, chociaż trzeba pamiętać, że to on tego popołudnia poszedł do obory i zarżnął baranka, którego teraz jedzą. Tak, podciął mu gardło, drobny wykwit przemocy na przekór odczuwanej bezradności, och, jak dobrze się poczuł. Ludzie użalają się nad sobą, niepomni innych żali, których sami stali się

przyczyną. Żal owcy, matki baranka, co to takiego? A jednak naznacza powietrze tak jak ludzka rozpacz, nie da się go zmyć.

Amor odkłada widelec.

Nie będziesz jeść mięsa? docieka Astrid.

Kręci głową, czuje, że zbiera jej się na wymioty. Przez ostatnie dwa dni była podrażniona i miała nudności, tkwiła na skraju jakiejś nieokreślonej rebelii. Ciągle przypomina sobie scenę, którą niedawno widziała w gadzim parku ojca podczas karmienia krokodyli. Nie potrafi wymazać z pamięci obrazu miłego starego wujka, ubranego w stylu safari, który rzucił garść białych myszy unoszącym się w wodzie pierwotnym istotom. Chaps, chaps. Ogony zwisające z uśmiechniętych paszcz jak nitka dentystyczna. Czym my jesteśmy, że musimy pożerać cudze ciała, by żyć? Z obrzydzeniem przygląda się, jak Astrid sięga do jej talerza i napycha sobie żujące lśniące usta kawałkami mięsa i tłuszczu.

To bransoletka Ma, mówi.

Nie, moja.

Ma stale ją nosiła.

Twierdzisz, że kłamię?

Anton odkłada talerz i starannie wyciera palce w serwetkę. A swoją drogą, mówi, słyszałem, że oddajesz Salome domek Lombardów.

Co? pyta Pa, chociaż ma wrażenie, że coś już o tym słyszał.

Ha! prycha Tannie Marina. Niedoczekanie.

Anton zwraca się ku Amor, która porusza się na krześle.

Pa powiedział…

Co powiedziałem?

Że dasz jej dom. Obiecałeś.

Ta nowina wprawia jej ojca w osłupienie. Kiedy tak powiedziałem?

Służąca nie dostanie domu, mówi Tannie Marina. Nie, nie, nie. Przykro mi. Możecie o tym zapomnieć. Energicznie sprząta ze stołu, chociaż nie wszyscy jeszcze zjedli, dźwięki stukających naczyń przypominają zgrzytanie zębami.

Pa próbuje wyjaśnić. Już płacę za szkołę jej syna… Czy ja mam wszystko dla niej robić?

Amor ogarnia zwątpienie, a jej brat ciągle się uśmiecha. Szybkim ruchem nachyla się ku Alwynowi Simmersowi. Możemy przez chwilę szczerze porozmawiać?

Pastor rozkłada ręce. Oczywiście, Alan, odpowiada. Mów śmiało.

Moja matka bała się śmierci i jej nie akceptowała. Ale mimo to bardzo dobrze wiedziała, czego pragnie. Nie było tego dużo. Tylko kilka rzeczy. W tym to, żeby wrócić do dawnej religii i spocząć z własną rodziną. Powiedziała o tym bardzo konkretnie.

Uczciwość jest bardzo ważna, mówi duchowny chrypiącym głosem.

Maniemu robi się nagle bardzo gorąco. Co się z tobą dzieje?

Stale zadaję sobie to pytanie.

Nie boisz się, że pewnego dnia spłoniesz w piekle?

To najgorsze, co potrafi wymyślić, ale Anton, jak to on, reaguje rozbawieniem. Już tam jestem, odpowiada, ocierając łzy śmiechu. Nie czujesz smrodu dymu?

Jestem jej mężem! Znam ją lepiej niż ty. Wiem, w co wierzyła moja żona.

Naprawdę? Ja na ogół nie wiem, w co sam wierzę. Nie dążę do kłótni, staram się wszystko jak najprościej wyjaśnić. Powinieneś spełnić jej życzenia. Wszystkie. W tym to, żeby dać Salome dom, skoro obiecałeś.

Nieprawda, mówi Pa. Nigdy nic takiego nie obiecywałem!

Amor patrzy na niego i mruga oczami z autentycznym zdumieniem. Przecież obiecałeś, mówi. Sama słyszałam.

Co się z wami wszystkimi dzieje? krzyczy Pa, po czym wstaje, nie wiedzieć czemu z trudem, i na zesztywniałych nogach odchodzi w stronę ogrodu, wołając coś bez ładu i składu.

Tannie Marina skręca naszyjnik tak mocno, że gdy się odzywa, brzmi, jakby ją duszono. On płacze, mówi. Jesteście z siebie zadowoleni?

Zadowoleni? pyta Anton, jakby rozważał sens tego słowa. Nie, nie powiedziałbym. Ale może wszyscy zbliżymy się do tego stanu, jeśli już się pożegnam.

Oddala się od pogrążonego w nagłym chaosie towarzystwa ludzi zwróconych ku sobie pod różnymi kątami, pogrążonych w serii drobnych

sprzeczek. Ostatnio często zostawia za sobą podobne sceny. Wchodzi na górę do swojego pokoju zawalonego książkami i papierami, ściany pokrywają cytaty i notatki. Przez okno wychodzi na gzyms, a stamtąd sprytnym ruchem dostaje się na dach. Lubi siadać na samym szczycie, gdzie owiewany ciepłym wiatrem, ogląda pogrążoną w mroku okolicę, ponakłuwaną tu i ówdzie światłami.

Pod obluzowaną dachówką schował plastikowy woreczek, z którego wyjmuje teraz skręta i zapalniczkę. Zapala i się zaciąga, rozkoszując się doznaniem, jak jego umysł się odpręża i poszerza. O, tak. Dzięki Bogu. Jestem prawie kimś innym.

Anton pierworodny, jedyny syn. Został namaszczony. Do jakich zadań, nie wie, ale przyszłość należy do niego. Co chcesz robić? Podróżować, uczyć się, pisać wiersze i przewodzić narodom. Chce pożreć świat. Jednak choć jego życie jest czyste i łagodne jak mleko, w głębi gardła zawsze odczuwał jakby ćmiący ból. Skąd to zadrażnienie? W jądrze wszystkiego tkwi kłamstwo i ja to właśnie odkryłem. Wypluj. Co z tobą nie tak, człowieku? Wszystko ze mną w porządku. Nic nie jest w porządku.

W dole, wokół żaru, widzi wciąż gestykulujące i rozmawiające postaci. Ostatnie drobne fale poruszenia, jakie wzbudził, jeszcze nie wygasły. Jakże się człowiek wije i miota, gdy próbuje nie stracić równowagi.

W efekcie rodzinnej kłótni Alwyn Simmers zgubił okulary. Próbuje wstać w tym całym zamieszaniu i z przerażeniem słyszy pod butem trzask soczewek jak dźwięk pękającej kości. Bez tych szkieł jest ślepy jak kret, a faktura rzeczywistości rozmazuje się we mgle.

Siebritz, woła. Siebritz!

Wzywa swojego pomocnika, którego na dobrą sprawę nie znosi, ale ten nie odpowiada. Zdenerwowała go scena rozgrywająca się przy grillu, przypomniała mu o jego własnym życiu, tak bowiem w kryzysie, jak i harmonii wszystkie rzeczy się łączą, i teraz siedzi w swoim samochodzie w połowie drogi do miasta. Ma dość tej rodziny, ma dość Kościoła, a przede wszystkim ma dość pastora. Koniec tego!

Siebritz! Siebritz!

Zostałeś porzucony w trudnej godzinie, Alwyn, gdzie odsiecz? Tylko sprawiedliwi są poddawani próbom, pamiętaj! Pomoc nadejdzie, wystarczy poczekać.

Tuż obok siebie widzi tylko jedną sylwetkę, choć nie potrafi jej rozpoznać. Amor. Nie wstała ze swojego miejsca przy stole, kiedy wszyscy inni sobie poszli. Mało tego, przez kilka ostatnich minut nie ruszyła ręką ani nawet brwią, tak głęboko pogrążyła się w myślach.

Rozmyśla o swoim bracie Antonie, który z kolei obserwuje ją z dachu. Snuje wewnętrzny monolog. Zdumiewa się. Że potrafił mówić takim tonem. Powiedzieć takie rzeczy. Na pewno cudownie jest być mężczyzną! Nachodzi ją pragnienie, by wziąć go za rękę. Nie po to, by go dokądś poprowadzić, tylko potrzymać. Albo dać siebie poprowadzić.

Nawykła do tego, że traktują ją jak niewyraźną plamę, mętny kształt na skraju pola widzenia. Za młoda, za głupia, żeby brać ją poważnie. W dodatku dziwna, dziwne dziecko. Niezwykła, jakby tragiczna, łatwa do przeoczenia. Ale tego wieczora jej brat z wyżyn swojego moralnego uniesienia najwyraźniej mnie zobaczył.

Alwyna Simmersa ratuje w końcu Tannie Marina, która służy swoim pulchnym przedramieniem oraz dokładką domowej sałatki ziemniaczanej. Nie, dziękuję, gdzie mój kierowca? Zupełnie zniknął. Pastor, wzdęty i rozczarowany, chce już tylko jechać do domu, małego budyneczku, w którym mieszka z siostrą. Tak bardzo tego pragnie, że nawet tupie nogą w trawnik.

Wkrótce staje się jasne, że Siebritz pojechał. Lexington może pana zabrać, mówi Marina, klaszcząc w ręce. Jej bransoletki głośno klekoczą. Lexington! Lexington!

Lexington zbliża się pospiesznie od tylnej strony domu, nakładając czapkę. *Ja*, pani Marino? Zabierz pastora do domu. Duchowny oddala się z wyrazem triumfu i wkrótce we dwóch suną autostradą ku rozmigotanym żółtym światłom Pretorii, które widzi tylko kierowca.

Powiedz mi, odzywa się pastor, od jak dawna dla nich pracujesz?

Dwanaście lat, proszę pana.

Co myślisz o tej rodzinie?

Lexington się waha, uśmiecha szeroko z nerwów, lecz pastor wciąż czeka na odpowiedź. Są dla mnie dobrzy, proszę pana.

Są dla ciebie dobrzy, tak, tak. Ale co o nich myślisz?

Nic o nich nie myślę, proszę pana. Ja tylko robię, nie myślę.

To nieprawda, ale Lexington nie może udzielić prawdziwej odpowiedzi. Wyczuwa, że duchowny czegoś chce, lecz jeśli mu to da, może sobie zaszkodzić. Czasem nie da się zadowolić dwóch białych ludzi jednocześnie.

Bo ja mam o nich swoje zdanie, mówi pastor. Nie powiem jakie, ale mam. Zwłaszcza o tym synu, jak mu tam. O Adamie.

Tak, proszę pana, mówi Lexington, chcąc wyjść na człowieka ugodowego.

Coś jest z nim nie tak. Zapamiętaj moje słowa. To dziki osioł. Obraca się przeciwko wszystkim, a wszyscy przeciw niemu!

Pastor Simmers jest tego wieczora rozdrażniony, czuje w duszy jakąś zmarszczkę, a to kieruje jego myśl na biblijne tory. Doskonałość boskiego dzieła widać tym wyraźniej, im wznioślejszego języka użyje się do jego opisu.

Ten kraj! woła. Nie jest pewny, co kraj tu zawinił, ale i tak to powtarza. Ten kraj!

Tak, proszę pana, odpowiada Lexington i przez chwilę łączy ich całkowita zgoda, Republika Południowej Afryki doskwiera im obu, choć z różnych powodów. Alwyn Simmers czuje emocjonalną więź ze swym czarnym rodakiem i ma wrażenie, że są równi w oczach Boga, chociaż w aucie zawsze powinni siedzieć na osobnych miejscach. Bóg tak zadekretował i podobnie jak wyznaczył godzinę śmierci Rachel, i postanowił, że jej dom wypełnią żałobnicy, tak też zażyczył sobie, by w innych pokojach synowie i córki Chama trudzili się na rzecz swych panów i pań, rąbali drewno, czerpali wodę i ogólnie czynili życie znośnym dla tych, którzy dźwigają ciężkie jarzmo przywództwa. Jarzmo, które niektórzy woleliby zrzucić, Niech mnie ominie ten kielich, ale skoro ci się należy, musisz z niego pić, a nie wadzić się z Bogiem, choćby osad gorzko smakował.

Laetitia na wszelki wypadek trzyma zapasowe okulary dla brata i rankiem, z odzyskaną resztką wzroku, gdy miesza pierwszą filiżankę kawy, Alwyn Simmers ma już znacznie lepszy humor. Im dłużej rozważa wydarzenia minionego wieczoru, tym jaśniej jawią mu się jego perspektywy. Zamieszanie zadziałało na jego korzyść, możliwe, że Pan tak chciał, ponieważ Manie jeszcze bardziej oddalił się od swoich dzieci i może być teraz skłonny okazać szczodrość komuś innemu. Trzeba jednak działać szybko, zanim sytuacja się zmieni. Najlepiej dzisiaj! Tylko że na ten dzień przypada pogrzeb żony Maniego. A która to godzina, może właśnie ją chowają.

Tak, niezaprzeczalnie to się właśnie dzieje. Mała, wypełniona ludźmi salka jest pozbawiona wszelkiego wystroju i równie prosta jak trumna. Rachel była towarzyską osobą, miała wielu przyjaciół, lecz w ławkach siedzą głównie członkowie żydowskiej części jej rodziny. Krew to najmocniejsze spoiwo, pod tym względem przypominają Afrykanerów. Przez lata się z nimi nie spotykała ani nie rozmawiała, byli dla niej niewidoczni. Lecz oto przyszli, mnóstwo twarzy niewidzianych od lat, kilka, które wciąż pamiętasz z nazwiska, ciotki i wujowie, ich potomstwo i krewni. Matka Rachel, twój arcywróg, gwałtownie się odwraca na twój widok, bo nawet teraz nie zamierza ustąpić.

Manie garbi się naprzeciw tego tłumu. Wydarzyło się zbyt wiele, by stwierdzić, że wszystko w porządku. Zeszłej nocy modlił się żarliwie i długo, wierzy, że Pan przysłał go tutaj, by dawał przykład chrześcijańskiej wielkoduszności. Wierzyć znaczy zmagać się ze sobą, nie można ich po prostu znienawidzić i kropka. Jednak to dla niego trudne, znacznie trudniej, niż sobie wyobrażał, jest siedzieć wśród tych ludzi o dziwnych obyczajach, którzy mi ją odebrali. Po co rozdzierają ubrania, a mnie każą nosić czarną wstążkę na sercu i tę czapeczkę? Czemu wszyscy życzą mi długiego życia? Nie chce żyć długo, nie dzisiaj, chce żyć krótko, już się nażył. Chętnie oddałby zwłaszcza kilka najbliższych godzin z przeznaczonego mu czasu, bierzcie, weźcie sobie, ja ich nie chcę.

Jego plemię przyszło znacznie mniejszą grupką. Zjawili się Bruce Geldenhuys, jego partner z pracy, oraz kilkoro starych przyjaciół z kościoła. Plus, oczywiście, rodzina, choć Manie między sobą a dziećmi posadził

Marinę, bo woli trzymać syna na dystans. Nie może nawet patrzeć na Antona. Wydarzenia zeszłego wieczora nadal go męczą, jak bulgotanie w jelitach.

Po kilku hebrajskich modlitwach rabin Katz wygłasza mowę pogrzebową. Zdecydował się na hesped w dłuższej formie, by spróbować załagodzić rodzinne podziały. Rachel przyszła do mnie, mówi, sześć miesięcy temu, gdy już wiedziała, że umiera. Dawno oddaliła się od własnego ludu, własnej wiary. Lata temu. I nie zamierzała wracać. Ale życie toczy się dziwnymi drogami. Czasem dopiero wtedy, gdy zrozumiesz, że się kończy, odnajdujesz w nim znaczenie. Tak było w przypadku Rachel. Sądzę, że bardzo by się ucieszyła, widząc dziś tutaj was wszystkich, obie strony rodziny, żydowską i nieżydowską, mówiącą po angielsku i w afrikaans. Wasze wspólne przybycie uznałaby za słuszne. Świat jest niedoskonały, to prawda, lecz w takich chwilach może stać się jedną całością… itp., itd. Widzicie, do czego zmierza, Rachel dokonała krótkowzrocznych wyborów, cierpiała z tego powodu, lecz przynajmniej wróciła tam, skąd przyszła, i w ten sposób krąg jej życia się domknął. Rabina fascynuje matematyka, zwłaszcza formy geometryczne, i krąg wydaje mu się tak ewidentnie doskonały, że wobec niego wszystkie podziały powinny zblednąć.

Przemawiając, porusza nerwowo krótkimi, pękatymi dłońmi, lecz głos ma pokrzepiający i spokojny, jak dentysta lub stewardesa, a gdy się go słucha, łatwo zacząć śnić na jawie. Wielu zebranych dryfuje w myślach daleko od treści przemowy. Aby odeprzeć otaczające ją pogaństwo, Tannie Marina zaczęła po cichu recytować Modlitwę Pańską. Czuje, że wiara pęcznieje w niej niemal fizycznie, jak guz. Ach, wstyd. To właśnie guz zabił Rachel, Ockie często się zastanawiał, jak coś takiego wygląda po wyjęciu z ciała. Jak gumowato-krwawa masa, coś, co zatyka zlew, czy bardziej subtelnie? Obcy obiekt penetrujący twoje ciało, wspomnienie tak świeże, że przenika wszystkie komórki, i Astrid wierci się w twardej ławce, czuje się wilgotna i niespokojna. Wczoraj w jednym ze stajennych boksów uprawiała seks z Deanem de Wetem i było pięknie, mimo że pachniało świeżym łajnem. W sąsiednim boksie koń tupał, prychał i rozgarniał słomę kopytami. Otóż to, cholera, myśli Anton, wszystko, co mówisz, to właśnie końskie

łajno, ani słowa prawdy. Zabiłem ją. Zastrzeliłem w Katlehong. To nie Bóg zabrał ją przed czasem. Myślisz, że istnieje jakiś ład, że twoje czyny mają znaczenie, że będą zważone i osądzone na sądzie ostatecznym. Ale żadnego sądu nie ma. Dla każdego z nas śmierć to ostatni dzień.

I tak też dla Rachel świadomość nadchodzącej śmierci, podsumowuje rabin, była początkiem nowego życia.

Na końcu rzędu, wciśnięta między brata i siostrę, siedzi osamotniona Amor. Tak się właśnie czuje. Nigdy nie była bardziej samotna niż w tym ludzkim lesie. Nic wokół niej nie ma, nic i nikogo poza tą drewnianą skrzynią, a w niej, ale o tym nie myśl, nie myśl, co w środku. Skrzynia jest pusta i ma cztery ściany, nie, sześć, nie, jeszcze więcej, ale jakie to ma znaczenie, skoro i tak idzie do ziemi?

A prawda jest taka, że moja matka nie żyje i leży w tej skrzyni. Na tę myśl trwały świat rozpada się i zaczyna topić. Wyślizguje się jej. Amor zaciska mięśnie, mocno zwiera uda. Niech ktoś to zatrzyma.

Wszyscy wstają, by odśpiewać pieśń. Amor z powrotem osuwa się na ławkę, nagle robi się jej słabo. Nachyla się ku Antonowi, a potem szybko w drugą stronę, ku siostrze. Pociąga Astrid za ramię, żeby także usiadła.

Co się dzieje?

Gdy po raz pierwszy stara się odezwać, brzmi, jakby przebijała ciszę.

Co jest? syczy Astrid w odpowiedzi, wykrzywiając twarz.

Ja chyba…

Co?

No wiesz. Krwawię. Między nogami.

Astrid powoli mruga. Nie mówisz poważnie? Nie masz nic przy sobie? Patrzy chmurnie na młodszą siostrę, po czym odwraca się do ciotki, żeby i ją wciągnąć do tej scenki. Coś do niej szepcze.

Co? mówi Tannie Marina. Ćśś.

Astrid waha się przez moment i próbuje jeszcze raz. Tym razem syczy trochę zbyt głośno, co wytrąca kobietę stojącą za nimi, szkolną znajomą Rachel, z nostalgicznych marzeń.

Marina potrzebuje chwili, by zrozumieć, o czym mowa. Ostatnią menstruację ma już dawno za sobą, to było krótko po urodzeniu ostatniego

dziecka, i ogarnia ją nieprzyjemne doznanie na myśl, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Ale najwyraźniej jest i dzieje się właśnie teraz, w najgorszej możliwej chwili.

Muszę powiedzieć, szepcze wściekle, że to z jej strony bardzo samolubne. Nie ma żadnej…?

Astrid wzrusza ramionami. Nie jest stróżem siostry swojej!

Wszyscy zaczynają się poruszać i pokasływać, a grabarze ruszają naprzód, by dźwignąć trumnę. Nabożeństwo chyba się skończyło i na zewnątrz formuje się procesja pogrzebowa. Marina wie, że powinna pomóc bratanicy, ale okropnie byłoby wyjść w tym momencie, poczułaby się jak wtedy, gdy Ockie przypadkiem skasował z kasety wideo odcinek Dallas o tym, kto zastrzelił J. R., zanim zdążyła go obejrzeć. Bierze więc Astrid pod ramię i szepcze do niej. Zabierz ją na zewnątrz i się nią zaopiekuj. Po pogrzebie zajmiemy się sprawą.

Ja? Dlaczego ja?

Bo to twoja siostra.

Astrid jest zdumiona. Nigdy nie myślała o Amor jak o ewentualnej dorosłej, o kimś, kto ma piersi, krew i opinie albo moc wykluczenia jej z pogrzebu matki i jednoczesnego okrycia wstydem. A jednak. Kiedy wszyscy zmierzają w jedną stronę, one idą w drugą. Na zewnątrz budynku naskakuje na siostrę. Jak mogłaś to zrobić?

Nic nie poradzę, mówi Amor i w tej chwili czuje skurcz, gorące zwarcie mięśni w głębi ciała. Jak wtedy, gdy biegła przez trawę i nadepnęła na gwóźdź. Ale wtedy ryczała. Ma, Ma, proszę, pomóż mi!

Astrid z wykrzywioną twarzą rozgląda się w poszukiwaniu rozwiązania. Dochodzi do wniosku, że nic nie da się zrobić. Siedź tam, aż się skończy.

Wskazuje jej ławkę przy przednim wejściu, ale Amor znajduje toaletę, wchodzi do tego zielonego, intensywnie pachnącego pomieszczenia i zamyka się w kabinie. Otaczają ją pomruki wody, może gdzieś przecieka rura. Z głębin dosięga ją kolejny skurcz. Wszystko wokół niej migocze jak na czarno-białym filmie. Nie wierzy, że to się dzieje, że przyciska czoło do chłodnego kafelka w publicznej toalecie, zamiast towarzyszyć trumnie Ma podczas ostatniej drogi w gąszczu nagrobków. Jest miły wiosenny dzień,

światło sączy się między liśćmi drzew ciężkich od pąków. Lewaja człapie powoli, przystaje, by wyrecytować fragment Psalmu 91, jeszcze chwilę czeka, po czym z wolna rusza znowu. Słychać senne buczenie pszczół, pąki jakarandy pękają niedorzecznie pod stopami. Chwilę później powtarza się postój i recytacja psalmu i wygląda na to, że w ten sposób, etapami, będą zmierzać aż do samego grobu, lecz Amor przy tym nie ma. Siedzi skulona i myśli: Potrzebuję czegoś na ból, muszę zażyć jakąś tabletkę. Ale co zagłuszy ból faktu, że jest nieobecna, gdy opuszczają trumnę do dołu? Że nie ma jej w gronie tych, którzy kolejno postępują krok naprzód, biorą łopatę, nabierają ziemię i zrzucają ją na wieko?

Łup! Dźwięk uderzającego w drewno piachu brzmi bardzo ostatecznie, jak trzaśnięcie drzwi.

Ale gdzie jest Amor? Gdzie Astrid?

Anton rozgląda się pytająco, nie wie, komu przekazać łopatę.

Musiały pójść w jedno miejsce, syczy Tannie Marina. Podaj to wujkowi.

Gdzie niby musiały iść? Nurtuje go to pytanie, gdy kolejka ludzi przesuwa się powoli obok niego i każdy wrzuca swoją porcję ziemi do dziury. Trumna stopniowo znika, jak gdyby ziemia odgryzała ją po kawałku. Nawet podobnie jak u nas. Bam, do widzenia, szerokiej drogi.

Astrid przygląda się temu z oddali, a gdy kadisz wreszcie dobiega końca i grupka zebranych zaczyna się rozchodzić, wali w drzwi toalety i krzyczy do siostry, żeby wyszła. Amor wychodzi niepewnie, zaciskając uda, zadowolona, że ubrała się na czarno. Rodzina się zbliża, a wraz z nią pytania, które się posypią, Gdzie ty poszłaś, Co ci się stało, ona jednak nie bardzo wie, co odpowiedzieć.

Przynajmniej Tannie Marina zobaczyła i zrozumiała, i teraz przychodzi jako pierwsza, zanim pojawią się mężczyźni. Nie martw się, wszystkim się zajmę. Ma od dawna wypracowane metody pokrzepiania i wydawania poleceń z ustami przy posłusznie nadstawionym uchu, w tym wypadku uchu męża/syna/brata, i teraz Ockie oraz Wessel odchodzą z Maniem, ona zaś kieruje bratanice do własnego auta i naciąga na dłonie swoje małe rękawiczki do golfa. Bardzo się cieszę, wyznam wam, że już po wszystkim.

Ale jeszcze nie jest po wszystkim, goście zostali bowiem zaproszeni do domu Levisów na after czy jak ci ludzie to nazywają. Marcia z wyrazem skupienia i determinacji na twarzy złapała Maniego w niepewnej chwili zaraz po pochówku, a on wciąż nie potrafi uwierzyć, że się zgodził. Ona, co było widać, też się tego nie spodziewała. Myślała, że może liczyć na jego antypatię. Cóż, mieszkamy tam, gdzie dawniej. Na pewno pamiętasz, jak dojechać. Oczywiście pamięta, choć wolałby zapomnieć. Ale nie będziemy tam długo, mówi Ockiemu, gdy wsiadają do samochodu. Tylko się pokażemy i obowiązek zaliczony.

Lecz gdzie są Astrid i Amor? Anton nadal jest oszołomiony, również tym, że siedzi przyciśnięty do Wessela, od którego zawsze śmierdzi tak, jakby się nie mył. Manie sam nie wie, czy jeszcze kiedyś w życiu odpowie na jakieś pytanie zadane przez syna, więc to Oom Ockie musi mu wyjaśnić. Pojechały z Tannie Mariną, mówi i na tym kończy. Co to za tajemnica! Czemu ludzie się poprzesiadali? Co się stało, że dwie dziewczyny opuściły pogrzeb matki w najważniejszej chwili?

Jadą z Tannie Mariną w tę samą stronę, ale po drodze muszą się jeszcze gdzieś zatrzymać. Kilka ulic dalej znajdują galerię handlową, szeregi samochodów pobłyskują wesoło w słońcu. Zaparkuję za tamtym, nie będziemy długo. Odlicza pieniądze z portmonetki i wciska je w rękę Astrid. Poczekam tu. Oddasz resztę. Przed wejściem jest kolejka, wszystkie torby muszą przejechać przez wykrywacz metalu na wypadek, gdyby ktoś ukrywał bombę, potem długi spacer na drugą stronę galerii do apteki. Amor musi dwa razy przystanąć, oprzeć się o ścianę i poczekać, aż skurcze ustąpią. Później w aptece stoi razem z siostrą w kolejce pośród półek uginających się pod ciężarem produktów, które pomagają funkcjonować ludzkim ciałom, hamując to, łagodząc tamto, wyjaławiając co innego, i z obawą obraca miękką paczuszkę w dłoni. Astrid wręcza jej pieniądze, Masz, zapłać, to w końcu dla ciebie. Nie czekają długo, minutę, może dwie, ale teraz skurcze nadchodzą regularnymi falami. A ja przez cały czas myślałam, że to okropna reakcja na śmierć Ma. Gapi się w dół na swoje stopy, wypełniają cały jej świat, aż wreszcie staje przed kontuarem i kobietą w białym fartuchu o współczującym spojrzeniu.

Powinny się tym zająć od razu w galerii handlowej, ale Amor nie zniesie już dzisiaj kolejnej publicznej toalety. Po prostu idź naprzód, naprzód. Zrobisz to, gdy dotrzemy na miejsce. Marcia i Ben mieszkają w rozłożystym piętrowym domu na hektarze zieleni w dzielnicy Waterkloof. Przywykli do organizowania imprez, choć dziś to niewłaściwe słowo, i zamówili sprawdzoną firmę cateringową. Ślub, pogrzeb, nieważne, ludzie muszą jeść. Na tylnym patio ustawiono dwa długie stoły, podano kawę, herbatę i lekkie przekąski. Skromnie i gustownie. Marcia prowadzi coś w rodzaju domu otwartego i wie, jak to się robi.

Tutaj także, gdy tylko wchodzą przez frontowe drzwi, Tannie Marina konspiracyjnie nachyla się ku Marcii i szepcze jej kilka słów, po czym Astrid i Amor szybko zostają skierowane do korytarza. W całym domu palą się świeczki i nawet w łazience dla gości lustra są zakryte, co wywołuje złowieszcze wrażenie bycia obserwowanym. Jakby Amor potrzebowała kolejnej dawki zażenowania!

Okej, poczekam pod drzwiami, mówi Astrid. Odkąd widziały się nago, minęły lata, i sama myśl o tym jest okropna.

Pomóż mi, szepcze Amor.

Nie, nie. Jej młodsza siostra nigdy nie będzie piękna, nie, nie tak jak ja, i Astrid nie ma ochoty patrzeć na to, co ona tam będzie robić. Nie ma mowy, stwierdza. Nie bądź dzieckiem, po prostu włóż ją w majtki, to podpaska, nawet ty dasz radę to ogarnąć, po prostu przeczytaj instrukcję! Poczekam na zewnątrz.

Wychodzi i zamyka drzwi za sobą, zostawiając Amor samą w łazience. Samą na świecie. Gdzie jest Ma? W takiej chwili powinna tu być, żeby mi pomóc. Ale odeszła, kiedy mnie nie było.

Każda powierzchnia w tym domu jest wykonana z jakiegoś drogiego materiału, stali, marmuru albo szkła, a jeśli tu i ówdzie widać drewno, to takie, które podporządkowano sobie szlifowaniem i lakierowaniem, i Astrid chciałaby, żeby cały świat był zrobiony z takich doskonałych, starannie wykończonych powierzchni. Gdy je ogląda, uświadamia sobie, że w jej domu wszystko jest szorstkie, pełne ostrych krawędzi i kątów. Autentyczne, powiedziałby Pa, ale komu potrzeba realizmu? Tak jest o wiele lepiej. Przesuwa palcami po tapecie, wyczuwając wypukłości wzoru.

Jakiś mężczyzna zbliża się korytarzem i staje niezdecydowany. Zajęte?

Tak, moja siostra jest w środku.

Mężczyzna czeka, przesuwając wzrokiem po kształtach Astrid, zwłaszcza piersiach i nogach. Jest stary, czterdzieści lat, jeśli nie więcej, a do tego nieatrakcyjny i łysy, ma kiepską cerę, ale ona mimo to reaguje na jego spojrzenie. Przenosi ciężar ciała z jednego biodra na drugie, zakłada kosmyk włosów za ucho. Zabawne, że zawsze tak łatwo daje się wyczuć męskie zainteresowanie, zwłaszcza ukrywane, i Astrid ma wrażenie, że ten stary facet chce jej coś powiedzieć, że ma ochotę wymówić na głos jakieś sprośne słowo, ona zaś w głębi ducha chciałaby je usłyszeć.

Po chwili stuka w drzwi. Pospiesz się!

Facet dalej się na nią gapi, nie wypowiadając tego słowa, i w tym momencie Amor wychodzi. Zrobiła, co miała do zrobienia, i czuje jakąś zmianę, coś jakby delikatny nacisk w środku. Wewnętrzną dziwność, wokół której układa się reszta ciała.

Skończyłaś? pyta Astrid zbyt głośno. Gotowe? Mam nadzieję, że już nic ważnego mnie przez ciebie nie ominie. Rusza przed Amor, kołysząc biodrami.

W salonie gromada ludzi brzęczy jak rój pszczół. Astrid od razu wkracza w ten tłum, jej młodsza siostra przystaje. Lepiej poczekać sobie w wejściu. Próg wydaje się najlepszym miejscem, ani tu, ani tam, ni to, ni owo.

Anton dostrzega ją z przeciwnej strony pokoju. Stoi tam od dłuższej chwili i przygląda się gestykulującym ludziom jak rybkom w akwarium. Oto moi dalsi i bliżsi krewni, którzy zebrali się, żeby upamiętnić moją matkę. Oto ojciec, który na mój widok odwraca głowę, a tam, w progu, moja młodsza siostra. Wygląda jakoś inaczej, od razu to spostrzega.

Zmieniłaś fryzurę?

Nie.

A bluzkę?

Nie.

Anton znowu się jej przygląda, zaintrygowany. Wie, że ma rację, i widzi, że ona wie, że on wie. Amor jest niesamowicie skrępowana, ale sprawia

wrażenie opanowanej. Nauczyła się, że lepiej nie pokazywać tego, co ważne.

Coś zmieniłaś, mówi Anton.

Dzieje się to już później, przed budynkiem, gdy Pa poszedł znaleźć Lexingtona, który zaparkował ulicę dalej. Astrid też tam jest, ale rozmawia z Tannie Mariną i im nie przeszkadza. Pożegnania zakończone, obrzęd przeprowadzony, nasza matka leży w ziemi.

Dokąd poszłaś?

Kiedy?

Podczas pogrzebu. Ty i Astrid. Gdzie poszłyście?

Znowu to zakłopotanie. Coś się stało. Anton nie rozumie, nie do końca, a może nie bardzo chce rozumieć. Lepiej nie wiedzieć! Ani nie próbować się dowiadywać.

Tak czy inaczej, wreszcie nadjeżdża samochód z Lexingtonem za kółkiem i Pa siedzącym obok niego z nachmurzoną miną. Pa nachyla się, niecierpliwie wciska klakson i pasażerowie ładują się na tylną kanapę, starsze dzieci po bokach, Amor w środku, skulona, jakby wewnątrz ciała paliły ją rozżarzone węgle, po czym odjeżdżają w milczeniu ku farmie, którą nazywają domem, ci ostatni członkowie rodziny Swartów, każde z nich zmęczone, pogrążone w żałobie i skomplikowane na swój własny sposób.

W tej chwili jest pusty. Od kilku godzin nikogo w nim nie ma i z pozoru jest bezczynny, lecz wykonuje drobniutkie ruchy, promienie słońca przekradają się przez pokoje, wiatr potrząsa drzwiami, w jednym miejscu coś się rozpręża, w innym kurczy, jak każde stare ciało wydaje ciche stuki, zgrzyty i czknięcia. Podobnie do wielu budynków sprawia wrażenie żywego, a może po prostu ludzie chcą wierzyć w tę iluzję i przypisują domom nastroje i uczucia, okna jak oczy. Ale nie ma tu nikogo, kto by go obserwował, i nic się wyraźnie nie porusza z wyjątkiem psa, który leży na podjeździe i leniwie liże sobie jądra.

Nie ma nawet Salome, która zwykle jest w domu. Może spodziewaliście się ujrzeć ją na pogrzebie, ale Tannie Marina powiedziała jej wprost, że nie będzie mogła wziąć w nim udziału. Dlaczego? Ech, nie bądź głupia. Więc

Salome pojechała do własnego domu, przepraszam, do domku Lombardów, gdzie przebrała się w ubrania do kościoła, które założyłaby na nabożeństwo żałobne, ciemną pocerowaną sukienkę, czarny szal i jedyną dobrą parę butów, do tego nasunęła kapelusz i wzięła torebkę, a następnie usiadła przed swoim domem, przepraszam, domkiem Lombardów, na fotelu z drugiej ręki z wyłażącą gąbką, żeby zmówić modlitwę za Rachel.

O Boże. Mam nadzieję, że mnie słyszysz. To ja, Salome. Proszę, przyjmij panią do siebie i opiekuj się nią uważnie, bo chciałabym pewnego dnia spotkać ją znowu w Niebie. Poznałam ją dawno temu, jeszcze zanim została panią, kiedy obie byłyśmy młodymi kobietami i czasami zlewałyśmy się w jedną osobę. Na pewno wszystko rozumiesz, bo to Ty dałeś jej to wielkie cierpienie, żebym mogła się nią opiekować. Za to obiecała mi ten dom i za to składam Ci dzięki. Amen.

Być może nie modli się dokładnie tymi słowami, może w ogóle żadnych nie używa, wiele modlitw wypowiada się bez pomocy języka i wznoszą się tak samo jak pozostałe. A może modli się o inne rzeczy, bo ostatecznie modlitwy są sekretne i nie zawsze kierowane do tego samego boga. Tak czy inaczej, po upływie pewnego czasu, i to na pewno prawda, bo słońce nie stoi już w zenicie, wystarczy spojrzeć, jak przesunął się cień mrówczego kopca, zesztywniała Salome powoli wstaje z fotela i wraca do wnętrza. Gdy po nieokreślonym czasie znów wychodzi, ma na sobie zwykłe ubrania, znoszoną sukienkę, klapki i chustę na głowie, i rusza okrążającą pagórek ścieżką.

To mógłby być dowolny dzień. Chodzi tą ścieżką każdego ranka i wraca każdego wieczora, czasem dodatkowo kilka razy w ciągu dnia. O każdej porze i przy każdej pogodzie. Trudno odróżnić jedną taką wędrówkę od drugiej. Dotarłszy do tylnych drzwi, zostawia klapki na zewnątrz i wchodzi do środka boso. W spiżarce wisi jej uniform, niebieska sukienka, biały doek i biały fartuch, ma pozwolenie, by skorzystać przez dwie minuty z łazienki, gdzie może się przebrać. Własne ubranie wiesza za załomem ściany w spiżarce, by nie było go widać.

Dopiero teraz może zapuścić się dalej, w głębie domu. Rodzina już wróciła, a może w ogóle nie wyjechała, sprawiają wrażenie zakorzenionych, okopanych.

Powiedzmy, że siedzą przy stole w jadalni. A może stoją w salonie, zwróceni każde w inną stronę. Albo w okolicy przedniej werandy, część na podjeździe, reszta już wyżej, w bardziej prestiżowym miejscu. To bez znaczenia. Nieważne, gdzie odbywa się poniższa rozmowa Maniego z jego najstarszym dzieckiem.

Myślałem o tym, co mówiłeś tamtego wieczora, odzywa się Pa, i jestem bardzo zły.

W takich chwilach zmienia ton głosu, aby brzmieć jak starotestamentowy Bóg, i spodziewa się, że każdy będzie mu posłuszny.

Tak?

Nie chodzi o mnie, tylko o pozostałych. To, że wobec mnie jesteś opryskliwy, nie jest żadną nowiną. Mogę się tego spodziewać. Ale to, jak się odzywałeś do pastora! Świętego człowieka, kapłana.

Anton pociąga nosem i się uśmiecha. To głupiec i szarlatan.

Dość tego! Ten brak szacunku kończy się dzisiaj. Posłuchaj mnie uważnie. Jeśli go nie przeprosisz, zostaniesz wydalony z tej rodziny. Nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Manie rozpamiętywał wydarzenia poprzedniego wieczora jak kura wysiadująca wielkie czarne jajo. Obraziłeś moje małżeństwo i moją religię i zapłacisz za to.

Na pewno wiesz, Pa, że tego nie zrobię.

Nie mogę ci pomóc. To sprawa twoja i twojego sumienia.

Nie przeproszę tego człowieka. Bo za co? Powiedziałem samą prawdę.

Prawdę? Maniego znowu ogarnia gniew, jeży mu się nawet drobna szczecina na brodzie. O mojej żonie? O obietnicach, jakich nie złożyła? Wybierz stronę, to zależy od ciebie. Ale jeśli się nie ukorzysz, zostaniesz sam na pustkowiu.

Dopiero gdy ich ojciec wychodzi, hałaśliwie, pełen słusznego oburzenia, młodsza siostra wyłania się zza rośliny doniczkowej jak jakaś bohaterka farsy. Anton, Anton. Słyszałam, co on powiedział.

Czego chcesz, Amor?

Odzywa się poirytowany, bo dziewczyna psuje mu ten wzniosły, jasny moment. Zostać wydalonym z rodziny, uwolnić się od tego wszystkiego!

Słyszałam, co Pa do ciebie powiedział, i to nie tak.

Co jest nie tak?

On złożył tę obietnicę. Sama słyszałam. Obiecał Ma, że da Salome jej dom.

Drobną twarzyczkę rozjaśnia blask pewności siebie.

Amor, mówi Anton łagodnie.

Co?

Salome nie może posiadać domu. Pa nie może jej go oddać, nawet gdyby chciał.

Dlaczego nie? pyta zdumiona.

Bo nie, odpowiada. To wbrew prawu.

Wbrew prawu? Jak to?

Nie mówisz poważnie. Spogląda jednak na nią i widzi, że siostra nie żartuje. O rany, mówi. Czy ty nie masz pojęcia, w jakim my kraju żyjemy?

Nie, nie ma. Amor jest trzynastolatką, historia jeszcze jej nie podeptała. Nie ma pojęcia, w jakim kraju żyje. Widziała czarnych uciekających przed policją, bo nie mieli przepustek, i słyszała napięte, ciche rozmowy dorosłych o zamieszkach w osiedlach, a ledwie tydzień wcześniej w szkole musieli ćwiczyć chowanie się pod ławkami na wypadek ataku, lecz nadal nie wie, w jakim kraju żyje. Trwa stan wyjątkowy, ludzi aresztuje się i zamyka bez procesu, krążą tylko pogłoski zamiast rzetelnych faktów, bo media są cenzurowane i podają wyłącznie radosne, nierealne opowiastki, lecz ona najczęściej w nie wierzy. Wczoraj widziała zakrwawioną od ciosu kamieniem twarz brata, ale wciąż nie wie, kto i dlaczego rzucił ten kamień. Grom z jasnego nieba. Nigdy nie była bystrym dzieckiem.

Jedna rzecz wciąż ją jednak nurtuje.

Ale dlaczego, mówi, powiedziałeś Pa, żeby oddał dom Salome, skoro wiedziałeś, że nie może tego zrobić?

Wzrusza ramionami. Bo tak, odpowiada. Bo miałem taką ochotę.

I właśnie wtedy, choć nawet sobie tego nie uświadamia, Amor zaczyna troszeczkę pojmować, w jakim kraju żyje.

Nazajutrz zostaje wysłana z walizką z powrotem do hostelu. Tylko na kilka miesięcy, mówi Pa, gdy ona próbuje protestować. Aż sprawy się

uspokoją. Wie, że nie warto się kłócić, wyczytuje z jego głosu, że opór nie ma sensu. Chociaż obiecał, a chrześcijanin nigdy nie cofa obietnicy, jej potrzeby są mniej ważne, a ona się nie liczy. Zatem Lexington wiezie ją do szkoły i zostawia przy sadzawce z rybami, a Amor musi powoli wspiąć się po wąskich schodach do wyłożonej zimnym linoleum sali sypialnej, pełnej równych rzędów identycznych łóżek, wśród których jej własne, niezmienione, stoi w rogu.

Jej brat wyjeżdża następnego ranka, a może jeszcze kolejnego, wczesne godziny wiosną zawsze wyglądają tak samo. Niesie wojskową torbę i karabin, na sobie ma mundur uprasowany przez Salome, choć buty wypastował już sam. Nikt go nie odprowadza. Astrid śpi, a Pa pojechał już do pracy w swoim gadzim parku. Lexington podprowadza triumpha do frontowych schodów i Anton pakuje torbę do bagażnika. Karabin zabiera do środka, tak na wszelki wypadek, bo robi wrażenie.

Żegnaj, domu. Żegnaj, Pa, chociaż ty mi nie odpowiesz. Świt nabrzmiewa jak rana, gdy podskakują na wybojach alejki dojazdowej. Anton wychodzi, żeby otworzyć i zamknąć bramę, po czym ruszają opuszczonymi drogami, daleko od miasta.

Pod Johannesburgiem znajduje się wojskowa strefa transportowa, skąd zabiorą go dalej. Na podwózkę czeka tam już dwóch innych żołnierzy. Anton wyciąga torbę z bagażnika i nachyla się do okna pasażera. Siema, Lex, niech triumf znaczy twój odjazd. Do widzenia, Anton. Do zobaczenia następnym razem.

Przed południem dociera do obozu, w którym stacjonuje. Ostatni transport dowiózł go pół kilometra od bramy i resztę drogi musi przebyć długą podmiejską ulicą. Przez wysoki, zwieńczony drutem kolczastym płot widzi stojące rząd za rzędem bryły namiotów oraz niskich budynków z prefabrykatów, między którymi podobni do niego młodzi mężczyźni chodzą, piorą ubrania, palą papierosy, gadają.

Jeden z nich odłącza się od grupy i zbliża do ogrodzenia. Hej, woła. Hej, ty!

Anton rozpoznaje go dopiero po chwili. Późna noc, cienie na asfalcie. Payne! Mówiłem, że jeszcze się spotkamy.

Gdzie byłeś?

W domu na pogrzebie matki.

Znowu ten sam żart?

Payne przemyślał sobie bowiem to dziwne spotkanie sprzed kilku nocy, kiedy trzymał wartę, i doszedł do wniosku, że ten chłopak nie mówił poważnie. W świetle dnia, oddzielony ogrodzeniem, wygląda jak całkiem zwyczajny, prawdopodobnie nieistotny młody mężczyzna. Na pewno nikt, kogo należałoby się bać.

Anton chwyta ogrodzenie jedną ręką i zmrużonymi oczami spogląda w dal, ku bramie oraz sylwetkom dwóch strażników. W tym momencie uświadamia sobie z całkowitą jasnością, że nie może znowu przejść przez tę bramę i wtopić się w życie po drugiej stronie. Nie może. I nie potrafi stwierdzić dlaczego. Coś się stało, powiedziałby, gdybyście go spytali. Coś mi się stało.

Jesteś świadkiem ważnej chwili, mówi Payne'owi.

Hę?

Przyglądasz się, jak moje życie przeskakuje z jednej koleiny w drugą. Widzisz ogromną zmianę.

Jaką niby?

Wielkie Nie. Długo zmierzałem do tego punktu i mam już dość. W końcu odmawiam.

Czego odmawiasz?

Wszystkiego. Mówię dość, koniec z tym. Nie, nie, nie! Myśli chwilę, po czym dodaje: Oczywiście mógłbyś pójść ze mną.

Dokąd? Nawet cię nie znam.

To by się szybko zmieniło.

Oszalałeś, mówi Payne ze śmiechem. Ale żartowniś z tego gościa. Najpierw zabija matkę, a potem dezerteruje spod obozu! Ho, ho, ho! Jest przekonany, że Swart pójdzie dalej do bramy jak wszyscy inni, a później, może na stołówce, znowu na siebie wpadną.

Lecz tak się nie dzieje.

Hej! Ty dokąd?

Ewidentnie tam, skąd przyszedł. Payne musi truchtać wzdłuż ogrodzenia, żeby za nim nadążyć.

Jaja sobie robisz. Złapią cię. Wpakują do aresztu wojskowego! Ej! Co z tobą? To nie jest zabawne. Ty się dobrze czujesz? Czekaj. Nie rób tego. Nie wiesz, że mamy wojnę? Nie obchodzi cię własny kraj?

Anton nie odpowiada, bo nie słyszy. Coś popycha go w plecy, to gigantyczna dłoń jednego prostego, ślepego pragnienia, żeby odejść.

W realizacji tego planu mundur jest zarówno przeszkodą, jak i ułatwieniem. Żołnierz zawsze łatwo złapie stopa, ale jednocześnie staje się celem żandarmerii wojskowej, która może go wylegitymować. Lepiej jak najszybciej się przebrać. Kilka godzin później w całodobowym sklepie przy autostradzie wiodącej na południe kupuje sobie czapeczkę. Słoneczna RPA, głosi napis. Wygląda w niej głupio, ale czapka przynajmniej zakrywa włosy i część szwów na czole. Tuż obok, w łazience baru Wimpy, przebiera się w cywilne ciuchy, dżinsy, T-shirt, bluzę i sportowe buty. Przygląda się sobie w lustrze i stwierdza, że może być, ot, młody facet, który dokądś jedzie.

Słoneczna RPA. Ma w umyśle taki właśnie obraz. Od chwili, gdy rano oddalił się z obozu, pulsuje mu w głowie wizja nieskazitelnie białej plaży, na piasku stoją przeżuwające, muczące krowy. W dali z gęstego dywanu drzew wznoszą się zamglone klify. W świecie, który dotąd poznał, nic takiego nie widział, ale starsze chłopaki w szkole opowiadały raz o Transkei, trudach życia w dżungli, łowieniu ryb, surfowaniu i paleniu gandzi, i Anton sądzi, że mógłby tego popróbować przez jakiś czas. Nie ma prawie żadnych pieniędzy ani żadnego planu, nikogo nie zna, ale to go właśnie pociąga i myśli, że w takim miejscu można zniknąć, jeśli komuś na tym zależy.

Najpierw, Anton, musisz tam dotrzeć! Zrobiło się późno, prawie północ, na drodze niewiele aut. Z dala od latarni wzbiera ciemność, pustka gęsta od zagrożeń. Za pobliskim warsztatem jest błotniste pole, wzdłuż którego ciągnie się zarośnięty rów. Wrzuca tam karabin, potem torbę z mundurem. Zostawia sobie tylko reklamówkę z wszystkimi cywilnymi ubraniami, jakie zabrał, czyli kilkoma parami spodni i koszul. To, co właśnie zrobiłem, jest przestępstwem, myśli, a jednak wydawało się tak nieważkie.

Zdusza w sobie ogarniające go przez moment przerażenie, poczucie ogromu świata, i brnie w stronę zjazdu z autostrady, gdzie pewnie będzie się dało złapać stopa. Staje tak, by być widocznym w jaskrawym świetle

latarni, i z nadzieją wystawia kciuk. Odrobina wiary! Może to chwilę potrwa, ale jeśli się nie poddasz, prędzej czy później ktoś cię zabierze.

PA

Ledwie wyszedł spod prysznica, gdy dzwoni telefon. To nie jego mieszkanie, więc też pewnie nie do niego dzwonią, w dodatku jest tam parę osób, których stara się unikać, ale i tak odbiera. Nachodzi go uczucie, jakby coś nabierało w nim kształtu.

Dzwoni Astrid. Słyszy, że to ona, chociaż dobiegają go tylko pojedyncze wyrazy. Pewnie dzwoni z tej swojej nowej komórki, taka z niej dumna, a to bezużyteczna, ciężka cegła z przyciskami. Ten wynalazek się nie przyjmie. Nie rozumiem, co mówisz, odpowiada. Wyciera się, stojąc w salonie ze słuchawką w ręku. Nie możesz zadzwonić ze stacjonarnego?

Syki i piski. Odkłada słuchawkę poirytowany. Astrid jest jedną z dwóch lub trzech osób, które mają jego numer, i wykręca go zbyt często. Wzięła na siebie walkę z panującym w rodzinie milczeniem i została przekazicielką wieści między jej członkami. To rola, której potrzebuje i której nienawidzi, w zamian za co jest potrzebna i nienawidzona.

Czekając, Anton szybko się ubiera. Jest środek dnia i nieba nad Johannesburgiem nie psuje najmniejsza skaza, choć w powietrzu czuć ostry zadzior zimy w pełni. Naciąga bluzę przez głowę, gdy telefon dzwoni ponownie. Wciąż nie słyszy słów, ale tym razem uświadamia sobie, że to nie jest mowa. Siostra wydaje dziwny dźwięk. Prawie skowyt.

Halo? Co ci dolega? mówi w chwili, gdy chmura zakrywa słońce i w jej cieniu ogarnia go przeczucie podobne do lejka, w którego ujściu widać jasny, malutki obrazek przyszłości. To jedna z tych trudnych do wytłumaczenia chwil, gdy czas zdaje się płynąć w niewłaściwym kierunku.

Słucha uważnie, gdy Astrid w końcu mówi to, o czym on już wie, i nie tylko poznaje szczegóły, ich ojciec/rano/zatruty/w tym szklanym boksie, lecz odbiera także jej strach. Równie wyraźnie jak słowa słyszy w jej głosie paraliżującą trwogę, że to, co mu się przytrafiło, czeka także ją. Jakby przeznaczeniem można się było zarazić.

Nie rozmyślasz o tym dostatecznie często, mówi, kiedy ona w końcu milknie.

O czym?

O tym, czego tak się boisz. Żeby oswoić się z czymś, co cię przeraża, musisz to sobie często wyobrażać.

A co mnie przeraża?

Śmierć.

Ale on nie umarł, odpowiada i znów wydaje z siebie ten skowyczący dźwięk.

Jeszcze nie. To także zawiera się w obrazku, który zobaczył w tym malutkim oknie na przyszłość. Na razie wiadomo tylko tyle, ile mu przekazała, że Pa jest nieprzytomny i leży na intensywnej terapii w szpitalu H. F. Verwoerda w Pretorii.

Jadę tam teraz z Deanem, mówi Astrid.

Jasne.

A potem zapada podszyta pytaniem cisza.

Nie wiem, odzywa się w końcu Anton. Mówi chyba do siebie, chociaż ona odbiera to inaczej.

Już czas, mówi mu.

Nie wiem. Muszę pomyśleć.

Anton. Już czas.

Sam o tym postanowię, mówi rozgniewany, choć z trudem wydusza słowa. Głos ma wyblakły, to głos ducha. Nie wiem, czy potrafię.

Po prostu przyjedź i go zobacz. Jest nieprzytomny, więc nawet nie będziesz musiał z nim rozmawiać.

Minęło prawie dziesięć lat, Astrid.

Właśnie! Dość tego. A zresztą rób, co chcesz, i tak zawsze postępujesz po swojemu.

Prawie dziesięć lat ciszy, podczas których on, daleko na marginesie, przeżył różne straszne rzeczy. Czy tak to ma się zakończyć, nagłą podróżą do łóżka zatrutego jadem ojca, żeby rozmyślać, w którym momencie to wszystko się wykoleiło? Tylko po co? By uszanować więzy krwi? Ja go nie kocham. On nie kocha mnie.

Słyszy, że zmartwił Astrid, ale inaczej nie dałaby mu spokoju, oblepiłaby go tysiącem rąk. Zachłanność i lęk nie znają granic, a Anton nie lubi, kiedy ktoś narusza jego granice. Rozmawiałaś z Amor? pyta, żeby zmienić temat.

Zostawiłam jej wiadomość. Jeśli nie zmieniła numeru. Nie miałam z nią kontaktu od wieków.

Czy jej też powiedziałaś, że nadszedł czas? Kazałaś jej wrócić do domu?

Nic ci nie kazałam, odpowiada Astrid. Poza tym twoje relacje z Pa to coś zupełnie innego. Przecież wiesz.

Gdy kończą rozmowę, Anton stoi w bezruchu przez dłuższą chwilę, gapiąc się w szczelinę parapetu, z której niestrudzenie wychodzi rząd mrówek. Ile ich jest? Więcej, niż można zliczyć. Wszelki sens zawiera się tylko w mnogości tych kropek. Czemu go to pokrzepia?

Astrid ma rację, już czas. Zawsze wiedział, że ten moment w końcu nadejdzie, choć wyobrażał to sobie inaczej. Nie sądził, że zbawienie okaże się tak niejasne i niepewne. Ale pewnie inaczej być nie może. Każdy dzień po tym, gdy opuścił dom, odcisnął się w nim jak organiczne, pierwotne przeżycie, a on nie rozmyśla o tamtym okresie, nie delektuje się wspomnieniami. Walka o przetrwanie niczego nie uczy, jedynie poniża. Próbuje nie pamiętać tych zdarzeń, które utrwaliły mu się w myślach choć trochę klarowniej, spycha je pod powierzchnię. To jedna z rzeczy, które się robi, aby iść naprzód.

Idziesz naprzód, bo dzięki temu wreszcie nadejdzie koniec. Południowa Afryka się zmieniła, z przymusowym poborem skończono przed dwoma laty. Jezu, zdezerterował z wojska, a teraz jest bohaterem, a nie przestępcą, niesamowite, jak szybko zaszły zmiany. Tylko że nikogo to zbytnio nie obchodzi. Prehistoria. Jesteś jeszcze jednym obszarpańcem, który przez parę lat uciekał, ukrywał się w dziczy Transkei, a potem w Johannesburgu, trudno powiedzieć, która dżungla gorsza. Ale żeby przetrwać, robi się to, co konieczne. Nawet kosztem, no wiesz, własnej godności. Ha, daj spokój, Anton, godność poszła na pierwszy ogień, odrzuciłeś ją jak brudną szmatę na skraju drogi, a to był dopiero sam początek poniżeń, potem działy się znacznie gorsze rzeczy. Obrazy bezwstydnych aktów w brudnych pokojach, raniących zarówno duszę, jak i ciało, popełnianych bez wahania, żeby tylko

móc oddychać jeszcze jeden dzień, marnując najlepsze lata młodości… No i co z tego, kogo to obchodzi? Inni cierpieli o wiele, wiele bardziej, choć można to powiedzieć właściwie o każdym istnieniu. W końcu jednak dotarłeś na tyle daleko, że teraz sprawy mogą się zmienić i ułożyć, nie musisz się dalej chować. Wytrzymać, przetrzymać, stara południowoafrykańska metoda.

Godzinami niespokojnie krąży po mieszkaniu, spogląda poprzez nagie gałęzie na ulicę Yeoville w dole, otwiera i zamyka szuflady. Zachowuje się, jakby czegoś szukał, ale właściwie nie szuka. Już podjął decyzję i teraz tylko spisuje inwentarz, robi podsumowanie. Nic tu nie należy do niego, z wyjątkiem kilku sztuk odzieży i książek. Reszta jest własnością o wiele starszej od niego kobiety, z którą/z której żył w tych paru pokojach przez wiele dni. Zbyt wiele, o czym oboje wiedzą już od pewnego czasu.

Pisze do niej liścik i zostawia go na kuchennym stole. Moja najdroższa / W ramach gry w rosyjską ruletkę z Duchem Świętym, podczas niefortunnej próby pobicia rekordu Guinnessa w dziedzinie zamieszkiwania wśród jadowitych węży, mój durny ojciec przyprawił się o śpiączkę. Obawiam się najgorszego. Jak wiesz, nie rozmawialiśmy ze sobą od pogrzebu mojej matki, ale postanowiłem, że czas pojechać, no cóż, do domu. Może mnie nie być przez jakiś czas. / Przepraszam za to i za wiele innych rzeczy. W tym za kolejną, zdecydowanie ostatnią prośbę o pieniądze. Wiem, co mówiłem, ale zważywszy na okoliczności itp. Choć jestem w rozpaczliwej sytuacji, ten obrót spraw znaczy, że być może bardzo niedługo zdołam oddać ci wszystko, co jestem winien. Dane mojego konta takie jak zawsze. / Mimo licznych dowodów przeciw mnie naprawdę nadal cię kocham, A.

Musi podzwonić i popytać, żeby znaleźć kogoś, kto zgodzi się go podwieźć. Nadwyrężył wszystkie znajomości i w głosach ludzi słyszy rezerwę i znużenie. Nawet facet, który się w końcu zgadza, robi to nie bez powodu, co okazuje się już na autostradzie wylotowej z Joburga. Trudno mi o tym mówić w takiej chwili, ale ostatnio mam sporo wydatków. Więc jeśli tylko będziesz mógł, to byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś…

Rozumiem, odpowiada Anton. Zwrócę wszystkie długi i przysięgam, że jesteś pierwszy na liście.

W ostatnich miesiącach obiecał to samo kilku innym osobom i jego zapewnienia zawsze były szczere, lecz dziś są szczególnie gorliwe, bo to naprawdę punkt zwrotny i on to czuje. Popełnił ogromny błąd, skazując się na banicję. Powrót to jedyne rozwiązanie. Nie jeśli, tylko kiedy. Już teraz, gdy zbliża się do źródła, ma wrażenie, że jego przyszłość wzbiera obietnicą jak dojrzewający w dłoniach melon.

W efekcie cały świat jaśnieje. Po raz pierwszy od śmierci matki jedzie drogą do Pretorii. Dziewięć lat! I popatrz, ile się zmieniło, brązowy weld bucha obfitością, nowe budynki ciągną się wzdłuż autostrady, biura, fabryki i kamienice, gospodarka w pełnym pędzie, krew znów tętni w żyłach tego kraju. Nowy, demokratyczny rząd w Union Buildings! Gdy wjeżdżają do miasta, widzi w dali na tle zbocza ich dostojne fasady z piaskowca w łagodnym blasku zimowego słońca. Ciekawe, czy Mandela siedzi tam teraz przy biurku. Z celi na tron, nigdy nie sądziłem, że to się wydarzy za mojego życia. Dziwne, jak szybko wszyscy uznali to za zwykłą sprawę. Przecież wcześniej, Jezu Chryste.

Wysiadł przed głównym wejściem do szpitala i musi szukać drogi jak mała bakteria w kilometrach jelit. Co za porównanie, ale w tym otoczeniu stosowne. W szpitalach zawsze siedzą tacy smutni, zniszczeni ludzie, a wszak to tylko goście. Pacjenci są oczywiście w znacznie gorszym stanie. Tutaj trafia się tylko wtedy, gdy ty bądź bliska ci osoba zachorowała lub została ranna. Radości się tu nie uświadczy.

OIOM to miejsce najgorsze ze wszystkich, położone w strefie zielonkawego podmorskiego półmroku i pozbawione okien. Pod salą taka sama żałobna armia zmartwionych, choć ci oczywiście mają szczególnie wiele powodów do niepokoju. Anton zauważa Astrid w tej samej chwili, gdy ona dostrzega jego. Szeroką twarz siostry jeszcze bardziej rozszerza wyraz zdumienia.

Bardzo się cieszę, że przyjechałeś, szepcze mu do ucha i obejmuje go zbyt mocno. Wydziela mdławy zapach perfum. Przez te lata widział się z Astrid kilka razy, wspierała go finansowo i pozostawała jedynym ogniwem łączącym go z rodziną, lecz i tak ponownie ogarnia go zdumienie, że siostra przeobraziła się w masywniejszą wersję siebie z okresu dojrzewania. Po ciąży nigdy nie wróciła do dawnej formy i teraz jest

kulistym odbiciem swojego męża, okrągłego małego Deana, który nachyla się ku niemu z wyciągniętą krótkopalczastą dłonią. Siema, Anton, dobrze cię widzieć.

Patrzcie tylko, wykrzykuje Oom Ockie. Proszę, proszę. A niech mnie.

Żartobliwym tonem wyraża zdumienie, że jego bratanek tak bardzo się zmienił. Sam stał się jednak zdyszanym cieniem dawnego siebie. Wszyscy się zmienili, to jasne, czas po swojemu przemodelował ich twarze.

Najmniej zmieniła się Tannie Marina, jest może trochę słabsza i mniej stanowcza w przekonaniach. Anton wie, że w rodzinnym sporze zajęła stronę jego ojca, nic dziwnego, ale od razu widać, że dzisiaj nie ma siły na kłótnię. Jej mały braciszek, wlokąca się za rodziną, uwierająca myśl, człowiek, który powinien ich wszystkich przeżyć, a odchodzi w sile wieku! Płakała i łzy zmyły jej wojenne barwy. Anton cmoka ją w policzek i owiewa go zapach balsamu do ciała oraz soli.

A potem stoją w milczeniu, bo wielka scena się skończyła i nie ma nic więcej do dodania. Ostatecznie jego przybycie to tylko drobna sensacja, powrót syna marnotrawnego, dramat już im wszystkim znany. Szybko pojawia się nuda. Wracasz po długiej nieobecności i powierzchnia nad tobą uspokaja się tak szybko, jakbyś nigdy nie wyjeżdżał. Rodzinne grząskie piaski.

Anton nie spytał jeszcze o powód spotkania, swojego ojca. Jak on się właściwie miewa?

Niezbyt dobrze, mamrocze Dean. Zeszłej nocy na moment przestał oddychać.

Ale teraz jest już w stanie stabilnym!

Gad dziabnął go w arterię, mówi Dean. Niestety. Tyle nam powiedział doktor Raaff. I miał jakąś reakcję alergiczną…

Nie wiń węża, mówi Marina stanowczo. Mojego brata zabił pastor.

Ale on żyje, woła roztrzęsiona Astrid. Czemu wszyscy mówią o nim jak o zmarłym?

Mogę go zobaczyć?

Goście mogą wejść tylko na dziesięć minut, najwyżej cztery osoby, raz rankiem i raz wieczorem. Oddziałem zarządza jednak pragmatyczna

pielęgniarka z ogoloną głową, która otacza Antona czymś w rodzaju oficjalnego współczucia.

Pan jest synem? pyta gniewnym tonem. Może pan tam zajrzeć na minutę.

Uznaje to za zły znak, może nie ma już dużo czasu, lecz spełnia jej polecenia i w maseczce chirurgicznej oraz rękawiczkach zapuszcza się do szumiącej grobowej groty w sercu budynku. Poszkodowane ciała ludzi leżących w łóżkach podlegają jakimś cichym, sumiennym procesom. Pa jest w rogu, wnikają w niego najróżniejsze rurki, chociaż wydaje się, że ciecze płyną w drugą stronę, na zewnątrz, wysysając z niego siły życiowe, aby zasilić jakiś inny system. W zielonej pościeli wygląda jak coś zmiętego, odrzuconego. Może nie jak sama skóra, ale podobnie. Jest znacznie bardziej wyniszczony, niż go zapamiętałem.

Cześć, Pa. To ja. Anton.

Czy wypowiada to na głos? Tak czy inaczej, oszałamia go nieoczekiwana fala emocji. Ze zdumieniem odkrywa, że jakaś jego cząstka przejmuje się ojcem. Tak, w głębi ducha on dalej mnie obchodzi.

Zostawię was na minutę, mówi stanowcza pielęgniarka.

Zaciąga zasłonkę wokół łóżka, ale przez szczelinę i tak widać oddział. W sąsiednim łóżku Anton zauważa czarnego mężczyznę zabandażowanego jak mumia. Verwoerd musi się przewracać w grobie, nie do wiary, że jeszcze nie zmienili patrona szpitala. Zza bandaży człowiek ten wydaje głośne jęknięcie, nie do końca słowo, chyba że w obcym języku, języku cierpienia. Apartheid upadł i umieramy teraz jeden obok drugiego, w intymnej bliskości. Tylko wspólne życie jeszcze nam nie wychodzi.

Cześć, Pa, powtarza.

Potem siedzi i czeka. Na co? Nie usłyszę odpowiedzi. To ja muszę coś zrobić. Ale co musi zrobić, po co tu przyjechałem? Nie wiem, co mam zrobić.

Posłuchaj, odzywa się do ojca. Zostawili nas tu samych, bo powinienem coś ci powiedzieć. Powinienem przeprosić. Ale ja nigdy nie przeproszę. Słyszysz?

(Nie słyszę).

Po śmierci Ma oszalałem. Przez jakiś czas wydawało mi się nawet, że to ja ją zabiłem. Pomieszało mi się w głowie. Ale nie wycofuję niczego, co powiedziałem. Byłeś dla mojej matki pogrążonym w alkoholizmie gnojem, zanim odnalazłeś religię, a potem zamieniłeś się w trzeźwego gnoja. Wiele jej zawdzięczałeś, ale nawet gdy już zmarła, sądziłeś, że było na odwrót. Pomyliłeś się co do niej, pomyliłeś się co do mnie i nigdy cię nie przeproszę. Słyszysz mnie?

Nie, nie słyszy. Manie już nigdy niczego nie usłyszy. Choć leży pośrodku sceny, nic dla niego nie istnieje, ani ten szpital, ani łóżko, ani zasłonka, ani jego syn, a już na pewno nie słowa, które się do niego wypowiada, bo to wszystko nie jest tam, gdzie on. Choć gdzie on jest, to trudniej opisać.

Wyobraźcie sobie podziemny tunel, do którego nigdy nie dotarło światło. Pa wycofał się właśnie w takie miejsce, w szczelinę własnej skały macierzystej. To pasja, nie trucizna w jego krwi go tam zepchnęła. I będzie spychać coraz głębiej. Manie popłynie na falach złych, toksycznych snów. W towarzystwie ostatniego płomyczka, ostatniej żarzącej się iskry głosu. Co ten głos mówi? Nic. Jestem, byłem, słowa bez ładu i składu. Czasem przemknie obok niego jakiś niezgrabny, nie do końca rozpoznawalny kształt i zaraz zniknie. Moje życie. Tamten czas. Cienie cieni. W dół ku ziarnistej prawdzie o rzeczywistości. Wprost w nią.

Herman Albertus Swart umiera nocą o 3.22, 16 czerwca 1995 roku, gdy poczekalnia jest pusta. Członkowie rodziny rozjechali się do własnych łóżek, gdzie chrapią, popierdują, mamroczą i człapią w stronę świtu. Kiedy odchodzi, na miejscu jest jedynie muzułmańska pielęgniarka Waheeda, która nad jego ciałem potajemnie recytuje wersety Koranu, Inna lillahi wa inna ilajhi radżi’un, ale nie sposób powiedzieć, czy ta interwencja wpływa na losy jego duszy.

Astrid zostaje powiadomiona godzinę później. Z głębokiego snu wybudza ją dzwonek nokii, do którego jeszcze nie przywykła, ma tę cholerną komórkę dopiero od paru tygodni, nie wie jeszcze, jak działają wszystkie guziczki, i przez długą minutę boryka się z telefonem przy świetle lampki, nim w końcu odbiera. Wie już, co usłyszy, bo po co innego dzwoniliby o tej porze, i potrafi jedynie protestować, jakby to mogło

zmienić treść komunikatu. Nie, to nieprawda! Ale to prawda i odtąd zawsze nią pozostanie.

Mąż ją obejmuje, przekonany, że w takiej chwili jest to właściwy gest. Astrid wygląda blado i słabo, uznaje więc, że kolejnym właściwym krokiem będzie zaparzenie herbaty z cukrem. Wstaje i człapie do kuchni w kalesonach, by ją przygotować, nie dostrzegając, że jego żona znalazła się w środku burzy.

Tak, w tym momencie Astrid porywa potężny, straszny wicher, sama moc bez formy, który odrywa ją od wszystkich trwałych przedmiotów. Ależ ona się miota i krzyczy w locie! Wreszcie uderza w drzwi na końcu korytarza i tłucze w nie z całej siły, choć jej prawie nie ma.

Tak?

Głos jej brata, cichy i spokojny. Jakby na nią czekał.

Ledwie przekręca gałkę, taka jest słaba. Anton siedzi na łóżku przy zapalonej lampce i z notesem na kolanach. Przygląda się, jak jego siostra bezskutecznie próbuje coś powiedzieć.

To się stało, mówi za nią.

Ona dziko kiwa głową, po czym rzuca się na łóżko, konwulsyjnie zagarniając pościel. W końcu udaje się jej odezwać, chociaż wypowiada niewłaściwe słowa. Teraz wszyscy jesteśmy sierotami!

Przygląda się jej spokojnie, rozkojarzony. Kiedy?

Kiedy? Nie wiem. Właśnie dzwonili ze szpitala. Powinniśmy byli przy nim być! Czemu wysłali nas do domu?

A co by to zmieniło?

Co by to zmieniło? Jak możesz pytać?

Brat zadziwił ją nie po raz pierwszy. Ma wrażenie, jakby patrzyła na niego przez odwrotną stronę lunety. On natomiast nagle dostrzega siostrę bardzo wyraźnie. Jeszcze wczoraj przy nim byłam, myśli Astrid, żył i oddychał, jak to możliwe, że przestał? Lecz Anton raz jeszcze wnika w siostrę spojrzeniem zimnym i jasnym jak serce dzwonu i wie, że tym, co faktycznie budzi w niej takie emocje, jest wizja własnej śmierci. Skoro może się to przytrafić naszemu ojcu, to mnie także. Ta nicość, ten stan Nie. Z przerażeniem opłakuje samą siebie.

W takiej pozycji zastaje ich jej mąż, kiedy przechodzi korytarzem z herbatą na tacy, jego zrozpaczona żona leży wyciągnięta w poprzek nóg swojego brata w sypialni dla gości. Tymczasem Anton, w opinii Deana człowiek bardzo dziwny, właśnie ten moment wybrał, żeby zapisać coś w notesie.

(…)

Zeszłego wieczora spytał, czy zamiast jechać na farmę, może zostać na noc u Astrid i Deana w ich byle jakim domku w Arcadii. Nie czuł się gotowy na powrót, poza tym wolał to rozwiązanie niż pobyt w domu z Tannie Mariną i Oom Ockiem, którzy zatrzymali się tam pod nieobecność Pa. Ale teraz, dokładnie w tej chwili, gdy wszyscy inni są oszołomieni, czuje siłę przyciągania jakiegoś nieokreślonego jądra.

Wszystko dobrze, mamrocze kojąco do Astrid, głaszcząc ją odruchowo po głowie. Gdyby miał sobie wybrać śmierć, wybrałby właśnie taką.

Jaką, ugryzienie przez kobrę? I po co? Nawet się nie zbliżył do rekordu. Minęło dopiero sześć dni!

Jego siostra, co oczywiste, jest niepocieszona lub zdecydowana, by nie dać się pocieszyć. A to mu przypomina, że ma jeszcze jedną, którą należy powiadomić.

Skontaktowałaś się w końcu z Amor?

Nie oddzwoniła. A ja nie próbowałam ponownie, nie miałam nowych wieści! Ktoś teraz musi do niej zadzwonić.

Ja to zrobię, mówi. Daj mi jej numer. Dzięki temu może uciec z tej płaczliwej scenki, chociaż odkrywa w sobie autentyczną, a więc intrygującą, potrzebę powiadomienia młodszej siostry. Odnotuj w zeszycie, żeby później przemyśleć. A tymczasem się ewakuuj. W tym momencie już cały dom jest na nogach. Bliźniakom Neilowi i Jessice, lat siedem, udzieliło się zaniepokojenie matki i teraz wyją nieubłaganie, gdy Dean krąży bezsilnie i powtarza każdemu, żeby się uspokoił. Anton wycofuje się do gabinetu, gdzie jest telefon i panuje względna cisza. Ależ tu lodowato, środek zimy, a do tego najmroźniejsza godzina tuż przed świtem. Bardzo wcześnie. O całe dwie godziny wcześniej niż w Londynie. Lecz taka to

natura wiadomości, zwłaszcza złych, że chcą być przekazywane, pragną się roznosić jak wirus.

Trzy sygnały i odbiera zaspany męski głos, bardzo brytyjski, klarowny i starannie wyakcentowany. Anton mówi temu głosowi, z kim chce rozmawiać.

Obawiam się, że Amor już tu nie mieszka. Wyprowadziła się przed miesiącem.

Wie pan, jak ją znaleźć? To pilne.

A kto mówi? pyta głos, nabierając chłodnej ostrości, gdy jego właściciel się rozbudza. Czy pan wie, która godzina?

Tu jej brat, Anton. Przepraszam, że przeszkadzam, ale to ważna sprawa.

Nigdy nie wspominała o żadnym bracie.

Ciekawe. Ale nim jestem i takie są fakty.

Cóż, panie Antonie, jeśli się odezwie, to dam jej znać, że pan dzwonił. Jeśli naprawdę jest pan jej bratem, to na pewno to zrobi.

Bierze głębszy oddech. Proszę jej przekazać, że naszego ojca zabił wąż. Długa cisza, szum na linii. Halo? Jest pan tam?

Czy to jakiś żart?

Obawiam się, że nie w znaczeniu, o jakie panu chodzi.

W takim razie przykro mi, mówi głos, łagodniejąc.

Dlaczego? Nie poznał pan naszego ojca. Proszę, niech pan tylko przekaże Amor, żeby zadzwoniła do domu.

Amor dzwoni na farmę kilka godzin później, ale nikogo nie ma pod telefonem. Aparat brzęczy i brzęczy. Samotny dźwięk, samotny tym bardziej, że wybrzmiewa identycznie raz za razem, a nic się nie dzieje. Po jednej stronie dzwonek, po drugiej Amor. Zrobiła to z tak daleka.

Po minucie się poddaje. Odczekuje chwilę, potem próbuje znowu. Wie już, że nikt nie odbierze, ale chodzi jej o co innego. Ciche pikanie przy uchu niemal namacalnie przywołuje w jej umyśle puste pokoje i korytarze, w których dźwięczy dzwonek. Ten narożnik. Ten ornament. Ten parapet. Zamyka oczy, nasłuchuje. W jej wnętrzu tęsknota walczy z odrazą. Kiedy to wszystko tak się skomplikowało? Dawniej dom znaczył tylko jedną Rzecz, a nie kotłowaninę rzeczy w stanie wojny.

Amor od dawna nie myślała o farmie. Nauczyła się, a może zawsze wiedziała, że jeśli chce się iść naprzód, lepiej nie oglądać się wstecz. Od wyjazdu z RPA wciąż idzie naprzód, a przynajmniej dokądś, zmienia pokoje i miasta, i kraje, i ludzi, wszystko to rozmazuje się w przelocie jak szybko mijany krajobraz, coś we mnie nie pozwala mi się zatrzymać.

A jednak najwyraźniej się zatrzymała. Proszę, siedzi w fotelu całkiem bez ruchu, jeśli nie liczyć pochlipywania. Pod oknem wychodzącym na obcą ulicę na niewłaściwej półkuli. Rzeczywistość nagle zaczyna jej się wydawać nieruchoma, utrwalona i jakby wywrócona do góry nogami. Co ja tu robię? myśli, choć może nie słowami. Już nie jest dziewczynką, lecz kobietą, jej figura zmieniła kształt. Można ją rozpoznać jeszcze tylko po kilku cechach, w tym ledwie widocznych śladach oparzeń na stopach, w których, nie wiedzieć czemu, czuje teraz ból, jak zadawniony sygnał z przeszłości.

Jeszcze tego samego dnia leci do RPA. Powrót wydaje się jej raczej stanem niż działaniem, stanem, na który w ogóle nie jest przygotowana. Raptowność wydarzeń, każdej drobnej chwili, jest jak wielki biały wstrząs, jak uderzenie. Nieuniknione, lecz nieznośne. Nie może zasnąć podczas lotu i o trzeciej w nocy spaceruje alejką między fotelami dziesięć kilometrów nad Czadem. Jakie zwyczajne i dziwne to życie. Jak delikatnie poukładane. Koniec może być tuż przed tobą, pod twoimi stopami. Już za chwilę samolot może się rozpaść na milion płonących kawałków.

Nie rozpada się. Kilka godzin później Amor siedzi na tylnej kanapie taksówki zmierzającej na farmę. Wynegocjowała specjalną stawkę z kierowcą Alphonse’em, który niedawno przybył tu z Konga w poszukiwaniu lepszego życia. Źle pojechał, nie zna zbyt dobrze miasta i zaplątał się w śródmiejskie ulice, za co ciągle przeprasza po francusku, ale jej to nie przeszkadza, opóźnienie przyjmuje z ulgą, podoba jej się uczucie przebywania pomiędzy dwoma miejscami, już w podróży, jeszcze nie u celu.

Widok z okna samochodu ją zaskakuje. Wyczuwa radosną atmosferę, bo, choć o tym nie wie, wczoraj było oficjalne święto, Dzień Młodzieży, dziewiętnasta rocznica powstania w Soweto, a dzisiaj są półfinały pucharu świata w rugby, RPA zagra z Francją, i chodniki wypełnia pulsujący tłum.

Centrum miasta nigdy tak nie wyglądało, tylu czarnych ludzi chodzi sobie tu i tam, jakby byli u siebie. To prawie jak afrykańskie miasto!

Gdy jednak docierasz do drogi wiodącej na farmę i zostawiasz budynki za plecami, spod halek wyziera stara, wyblakła, jałowa ziemia. Dzień lśni jak kość, światło leje się z twardego, jasnego nieba. Znasz te widoki z przeszłości, lecz gdy mijasz czarne osiedle i dojeżdżasz do miejsca, w którym zaczyna się teren farmy, twoje spojrzenie biegnie wprost ku iglicy wielkiego, brzydkiego kościoła. Budynek nadal wygląda szokująco, jak intruz, chociaż stał już, kiedy wyjeżdżała. Pierwsze Zgromadzenie pod wezwaniem Objawienia na Wysokim Weldzie, ale co dokładnie objawiło się Alwynowi Simmersowi, tego nie wie nikt poza nim samym. Mimo to przed kościołem zebrał się spory tłum, a powietrze barwią dźwięki hymnu.

Rozgląda się, wypatrując zmian, lecz poza tym nic nie wygląda inaczej. Ani brama, ani kamienisty podjazd na szczyt pagórka naznaczonego czarnym, poskręcanym drzewem, które natychmiast przyciąga wzrok. To właśnie miejsce, do którego wracałaś w myślach i snach, gdy cię nie było.

Jest coś znajomego w skupisku samochodów przed domem, niepokojące wspomnienie chwili, której początkowo nie potrafi sobie przypomnieć. Aż pamięć wraca. Śmierć Ma, tamten dzień sprzed dziewięciu lat. Ile się od tej pory zmieniło. Moje ciało, mój kraj, mój umysł. Uciekałam od was najszybciej i najdalej, jak potrafiłam, ale przeszłość zaciągnęła mnie tu z powrotem swoimi pazurkami.

Proszę się tu zatrzymać, mówi. Na skraju podjazdu. Płaci Alphonse’owi i pod osłoną drzew przemyka obok domu, by wejść tylnym wejściem i uniknąć wszelkich rozmów. W kuchni jednak spotyka brata. Oboje stają jak wryci.

Kogo to ja widzę, mówi Anton z kiepskim południowym akcentem. Toż to panna Amor.

Anton.

Wiele się dzieje w ciszy, która potem nastaje.

Prawie cię nie poznałem, serio.

Za to ty wyglądasz jak dawniej.

To nie do końca prawda. Zawsze był szczupły, ale teraz wydaje się wręcz ociosany do jakiegoś zasadniczego trzonu. Linia włosów lekko mu się cofnęła, przez co wyraźniej widać bliznę na czole. Poza tym jednak z wyglądu właściwie się nie zmienił, choć kto wie, co zaszło w środku.

Witaj w domu, mówi. Oczywiście okoliczności mogłyby być lepsze.

Tak, odpowiada Amor. Chybaby mogły.

Zdaniem Antona okoliczności w życiu zawsze mogłyby być lepsze, jednak w tej chwili przepełnia go jakaś nienaturalna złość. Przyjechał nie dalej jak przed godziną i jeszcze się nie pogodził z myślą, że część farmy przypadła Alwynowi Simmersowi na to jego duchowo/kapitalistyczne przedsięwzięcie. Astrid powiedziała mu o tym, ale nie uwierzył. Na sam widok tego potwornego kościoła, który tam tkwi jak jakiś, jakiś ten, no, żadne porównanie tego nie odda, bardzo się przejął. A potem wszedł do domu i odkrył, że ojciec zrobił z jego pokoju składzik, kompletnie zawalił go stertami barachła. Trzyma teraz pudełko zawierające drobiazgi z gadziego parku, książki, zdjęcia, ulotki i starego wypchanego jaszczura o szklanych oczach. Wskazuje je brodą.

Próbuję uprzątnąć swój pokój, mówi.

Trudno uznać, że Pa nie zrobił tego celowo, przestrzeni jest przecież dużo, ale on chciał mnie pogrzebać. Anton odkopuje się po kawałku i znosi każdy karton/przedmiot do garażu. Stopniowo pojawiają się znajome meble, łóżko, biurko, krzesło, topografia dzieciństwa. Jeszcze dużo przed nim.

A co z moim pokojem? pyta Amor. Też jest zagracony?

Twój? Nie, nie. Jest taki, jak go zostawiłaś.

Wie, bo oczywiście poszedł sprawdzić.

Okej, mówi. Pójdę tam i się rozpakuję.

Ale nie wychodzi. Oboje zwlekają.

Zostaniesz?

Nie wiem, odpowiada Amor. Ledwie przyjechałam.

W Londynie złamałaś komuś serce. Człowiek nie chciał uwierzyć, że masz brata.

Och, mówi, czując ciepło napływające do policzków. Przepraszam za to.

Kto to jest?

Nikt. (James). Taki znajomy.

A, pierwsza miłość. Zawsze taka tkliwa. No to nic mi nie mów, ty światowa kobieto zagadko. Pomóc ci zanieść plecak na górę?

Nosiłam go po całym świecie. Chyba sobie poradzę.

Z ustami skrzywionymi w półuśmiechu patrzy, jak Amor wchodzi na piętro. No proszę. Spuść taką z oczu na parę lat i sfinks zmienia się w kokietkę. Zdumiewająca transformacja. Najwyraźniej moja nieprzystosowana siostra tak naprawdę zawsze była kimś innym.

Ją samą, chociaż stara się tego nie okazywać, w ciągu kilku sekund ogarnia wielkie wzburzenie. Jej starszy brat zawsze miał do tego talent. Mija kolejne drzwi, idąc korytarzem do swojego pokoju, gdzie wszystko zostało po staremu, choć rzeczy pokrywa cienka skórka kurzu. Nikt tu od dawna nie sprzątał. Stawia plecak na podłodze, prostuje się i rozgląda. Na razie nie spieszy się z rozpakowywaniem. Nie chce ponaglać momentu lądowania. Niech jeszcze potrwa złudzenie, że nadal jesteś w ruchu, pozbawiona domu.

Choć niedługo oczywiście trzeba będzie zejść na dół. Boi się tej chwili, lecz prysznic i świeże ubrania pomogą. Gdy widzi się w łazienkowym lustrze, ogarnia ją zdumienie, że te rysy należą do niej. Ostatnio kilka razy usłyszała, że jest piękna, ale w to nie wierzy. Zbyt dobrze pamięta pyzatą dziewczynę z przetłuszczoną skórą, która miała na imię tak samo jak ona. Z tej dziewczynki wyłoniła się osoba niepodobna do mnie, a jednak jest mną. A przynajmniej ja w niej żyję.

Nigdy nie umie wybrać właściwych ubrań, fryzury, naszyjnika czy perfum. Dlatego szuka prostych rozwiązań. Naturalniej będzie zrezygnować z makijażu, biżuterii czy oczekiwanych kobiecych ozdóbek i zaprezentować się taką, jaka jest. Czasem nagość wydaje się jej najbliższa prawdy, choć niestety w tym kraju nie jest dozwolona. Zawsze trzeba się czymś okryć. Bierze prysznic, wyciera się i wkłada niebieską bawełnianą sukienkę. Ma ochotę założyć sandały, nie chce jednak pokazywać uszkodzonych stóp, zwłaszcza tej bez palca, więc wyjmuje z szafki parę zakrytych butów. Ma długie włosy, które postanawia zawiązać z tyłu, żeby nie przeszkadzały. Ogólnie, jak sądzi, wygląda bezpretensjonalnie i całkiem znośnie.

Mimo to, kiedy wchodzi do salonu, ma wrażenie, że jej wygląd niemal fizycznie oddziałuje na innych, jak krąg rozchodzący się po stawie. O rety. Ale się zmieniła! Nie do wiary. Gdy idzie, ściąga spojrzenia i ludzi, a najbardziej podekscytowane, czy może zaniepokojone, wydają się spokrewnione z nią kobiety.

A niech to, jak ty schudłaś! Tannie Marina wyrywa się na chwilę z przygnębienia, by ją objąć i sekretnie pomacać, ile ciała straciła. Musimy cię podtuczyć! Nałóż sobie placka z kurczakiem.

Nie jem mięsa, przypomina jej Amor.

Nadal? Och, myślałam, że z tego wyrosłaś…

Marinę znowu ogarnia niesmak na myśl, że jej bratanica bez żadnego dobrego powodu, ku konsternacji dorosłych, zmieniła się przed laty w wegetariankę. Od tego okropnego grilla! Ma niejasne wrażenie, że to jakaś komunistyczna moda, zrodzona z ogólnego poruszenia w rodzinie po śmierci Rachel, która teraz chyba zainfekowała cały kraj.

Zwierzęta nie czują bólu, wyjaśnia. Nie w taki sposób jak my.

Chciałaby rozwinąć tę myśl, ale w tej chwili jej druga bratanica, która dotąd krążyła jak satelita, nagle spada na ziemię.

Amor, mówi Astrid prawie niesłyszalnie. Mój Boże!

To dla niej szczególnie trudny moment i na jej twarzy, pomimo makijażu, widać ślad wewnętrznej walki. Jak do tego doszło? To nie może być moja siostra, to ktoś podstawiony, no ale.

Nie wierzę, mówi. Tylko popatrz. Twoje włosy. Twoja skóra.

Obejmują się, przytrzymując wzajemnie czubkami palców, i raczej wysuwają twarze w swoim kierunku, niż faktycznie się całują. Astrid nie umie się jednak powstrzymać, dotyka siostry i ma ochotę zawyć, przed czym ratują ją bliźniaki, które zaczynają się szamotać i krzyczeć zamiast niej, może więc chwycić je za ramiona i zawlec do bezludnej części domu, gdzie w końcu faktycznie się załamuje i zaczyna łkać. Dean poszedł za nią i Astrid wpycha mu dwoje dzieci w ramiona jak podwójne oskarżenie. Masz, woła, przydaj się wreszcie na coś, po czym wybiega i zamyka się w łazience.

Astrid na kolanach nad sedesem. Dzisiaj nawet nie musi używać palca, żeby osiągnąć cel. To straszne, nienaturalne, nigdy nie przywykła, nieważne, ile razy to robiła, a teraz to już w ogóle nie działa, ciągle tyje, nie może przestać, ma zrujnowane zęby przez te wszystkie soki żołądkowe, musi przestać to robić, musi, musi, ale w tej chwili to właściwa kara za zjedzenie takiej ilości tarty mlecznej, czemu się nie powstrzymałaś, i jeszcze za to, że tak źle wygląda przy Amor, mój Boże, jak to możliwe, że tak się zmieniła, była prosiakiem, nikt nie nazwałby jej seksowną, coś musiało się stać, gdy była daleko.

Amor wymyka się z salonu, żeby oddalić się od tłumu. Przywitała się ze wszystkimi, ale nie ma siły na błahe pogawędki. Lepiej wycofać się do kuchni i znaleźć kogoś, za kim naprawdę tęskniła.

Salome. / Amor.

Obejmują się prostym, pozbawionym wysiłku gestem. Ciepłe dłonie, mocny uścisk. Delikatne kołysanie. Odsunięcie.

Jak się masz?

Sama nie wiem. Pierwsza uczciwa odpowiedź tego dnia.

Ech, żal, mówi Salome.

Wyraźnie się postarzała i ma głębsze zmarszczki, zwłaszcza wokół ust i oczu. Na jej twarzy zaczął kamienieć wyraz rozczarowania, jak stwardniały odcisk na podeszwie jej stopy. Nadal nie nosi butów. W tym domu nigdy nie będzie nosić.

Przykro mi, mówi, i nie musi wyjaśniać, co ma na myśli. Chociaż tak naprawdę nie opłakuje Maniego. Nie zawsze traktował ją z szacunkiem i od śmierci pani Rachel ani razu nie poruszył kwestii jej domu, chociaż może teraz to się zmieni.

(Pomożesz mi?)

To pytanie nie pada, lecz Amor je słyszy. Kwestia domku Lombardów, ostatniego życzenia jej matki oraz obietnicy ojca, czyli właściwie kilku spraw, choć splątanych w jedną, podążała za nią przez świat i dręczyła w różnych przypadkowych chwilach jak uliczny natręt, który szarpie za rękaw i krzyczy: Zajmij się mną! A ona wie, że musi to zrobić, że pewnego dnia mu odpowie, tylko dlaczego właśnie dzisiaj?

Jeszcze porozmawiamy, mówi do Salome.

Jej uwagę odwracają podniesione głosy i jakieś poruszenie w salonie, więc szybko tam idzie. Choć okazja jest przykra, w rogu gra ściszony telewizor i wszyscy kierują się właśnie ku niemu. Panuje napięta atmosfera, bo z powodu ulewy w Durbanie mogą odwołać mecz, a jeśli dzisiaj nie zagramy, to żegnamy się z pucharem świata. Wciąż trwa burza, błyskawica przecina niebo nad stadionem Kings Park, ale mecz się w końcu zaczyna i dwie drużyny zderzają się, i młócą niczym gladiatorzy w lepkim, apokaliptycznym błocie.

Panuje gorączkowy, patriotyczny nastrój, cały kraj kibicuje Springboksom, chociaż większość graczy jest biała. Pomimo ulewy na trybunach widać wielki tłum, a w nim sporo czarnych twarzy. Trudno nie dać się porwać emocjom wielkiej wspólnoty, wszyscy zjednoczeni po roku od nastania demokracji! Nawet Ockie promienieje i tylko częściowo odpowiada za to brandy Klipdrift, a Bóg wie, że bardzo trudno było mu przyjąć tę nową Południową Afrykę. Musi jednak przyznać, że fajnie jest znowu istnieć w światowym sporcie. Możemy teraz bić ludzi z dalekich krajów, no a tym samoańskim bambusom tydzień temu spuściliśmy solidny łomot.

Tannie Marina pozostaje nieprzejednana. Kto to włączył? Czy to teraz naprawdę konieczne?

Ockie wzdycha. Wszechświat zawsze ustawia się bokiem do jego pragnień, lecz to nie moment na stawianie oporu. Wyłącza telewizor.

Faktem jest, że Manie zmarł w bardzo niedogodnym momencie. Jeśli teraz awansujemy, za tydzień gramy w finale. Astrid, która jakby automatycznie wzięła na siebie planowanie pogrzebu, uświadamia sobie nagle, że musi dobrze wybrać datę. Nie może kolidować z meczem! Doszłoby do sporego spadku frekwencji.

Dobry pomysł, mówi Anton. Zaoszczędzimy na kosztach cateringu.

Astrid już się pozbierała i nabrała sił, jednak nie chce ich teraz trwonić na bulwersowanie się słowami brata. Wystarczy wskazać mu jakieś tabu, a on zaraz będzie chciał je złamać. Zawsze tak robi, póki ma widownię. Ale ją dzisiaj wkurzył. Od kwadransa występuje przed grupką ludzi w rogu

salonu, znowu wałkując temat udziału Alwyna Simmersa w śmierci jego ojca. Udziału tak istotnego, że można to prawie nazwać morderstwem.

Hola, nie przesadzaj, mówi Dean nerwowo. Morderstwo to poważne oskarżenie. Dean jest księgowym, zajmuje się rachunkami w gadzim parku, i uważa, że należy precyzyjnie mówić o faktach. Maniego ugryzł wąż. To był wypadek.

W tej historii jest więcej niż jeden wąż, mówi Tannie Marina pod nosem.

Sam się zgodził. Podpisał umowę, zastosowano wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa…

Potwierdzam, dodaje Bruce Geldenhuys, biznesowy partner Maniego. To starszy człowiek z sumiastym wąsem i żałobnym wyrazem twarzy, bardzo sumienny i uprzejmy. Przyjechał dzisiaj na farmę właśnie w celu odbycia tej rozmowy i dopilnowania, by wszyscy myśleli podobnie. Ostatnim, czego potrzeba Miastu Łusek, jest pozew ze strony rodziny. Mieliśmy odpowiednie surowice, wszystko odbywało się zgodnie z zasadami. Jego organizm źle zareagował, nic nie dało się zrobić.

Zła reakcja na ukąszenie kobry, mówi Anton. To chyba nietrudne do przewidzenia? Co w ogóle mój ojciec robił w tym terrarium? Publicznie wystawił swoją wiarę na próbę i zawiódł, to jasne, ale w jakim celu? Żeby zebrać pieniądze dla Kościoła! Próbował pobić rekord świata w przebywaniu wśród węży! Wpłacajcie datki, gdy prawdziwy wierny zmaga się z Szatanem w gnieździe żmij! Niczym Daniel w jaskini lwów! Kretyński, wariacki pomysł, głupi wyczyn, żeby wspomóc chciwego fałszywego kaznodzieję. Mój ojciec sam nie wymyśliłby czegoś takiego.

Coś w tym jest, mówi Bruce, który wyczuwa, skąd wieje wiatr. Jeśli chcą obwiniać duchownego, nie ma sprawy. Jak się zastanowić, to mają trochę racji, biedny stary Manie został zmanipulowany…

Ale to i tak była jego decyzja, prawda? mówi Dean niespokojnym tonem.

Lepiej się z tym pogódź, stwierdza Astrid. Zwraca się do Antona, bo widzi, że jej brat nie o wszystkim wie. Zgodnie z testamentem uzgodniono, że to Alwyn Simmers odprawi pogrzeb.

Co masz na myśli?

To on pochowa Pa.

Trzeba wiele, by zszokować Antona, lecz wyraz nagłego zaskoczenia na jego twarzy dowodzi, że właśnie się to udało. O nie.

Cóż, tak.

Nie, nie pochowa go. Ten szaman Voortrekkerów pochowa mojego ojca po moim trupie, wybaczcie określenie.

Wszyscy patrzą na niego i nikt nie wypowiada na głos tego, o czym myślą.

Co? pyta. Co jest?

Uhm, chrząka zmarkotniały Dean. Jest coś jeszcze. Najlepiej porozmawiaj z tą adwokatką.

Jaką adwokatką?

Rodzinny prawnik niedawno przeszedł na emeryturę i jego córka przejęła firmę. Cherise Coutts, kobieta przed czterdziestką, emanuje zdewastowaną urodą pękatej żaby, trudno ją przeoczyć. Przyszła, by złożyć kondolencje, w końcu jej ojciec długo pozostawał w konszachtach z Maniem, ale także dlatego, że Marina Laubscher poprosiła ją o ogłoszenie pewnej ważnej wiadomości.

Co to za wiadomość?

Cóż, mówi. Tobie akurat nie trzeba opowiadać historii zadawnionego rodzinnego sporu…

To nie spór. Raczej różnica zdań. Która wynikła mniej więcej w czasie pogrzebu mojej matki.

Spór, różnica, mówi prawniczka. Jak zwał, tak zwał.

Wraz z trudnym najstarszym dzieckiem siada w sąsiadującym z salonem gabinecie Maniego. To mały pokój, w którym najwięcej miejsca zajmuje drewniane biurko, więc wciskają się w róg. Każdemu jej gestowi akompaniuje ciche podzwanianie bransoletek i pereł i przy tej ścieżce dźwiękowej Cherise wyjmuje plik papierów z praktycznej czarnej aktówki. Rozkłada je na kolanach, pomagając sobie czubkami zadbanych zielonych paznokci. Wygląda na to, że ważny jest szczególnie jeden dokument z pełnym zakrętasów podpisem Pa u dołu.

Anton przypadkiem dotyka jej kolanem i odsuwa nogę. Przepraszam. Uświadamia sobie, że rozwija się w nim leniwe, odruchowe pożądanie. Intrygują go zimne jak kamyki oczy za okularami w zdobnych oprawkach i gnuśna arogancja kobiety. W dodatku można odnieść wrażenie, że prawniczka rozkoszuje się wiadomością, którą ma przekazać, i ta drobna szczelina w jej zawodowej zbroi perwersyjnie podnieca Antona. Zrań mnie, mała, wszystko zniosę.

Kobieta odczytuje dokument monotonnym głosem, po czym zdejmuje okulary i odkłada kartkę. Patrzy na niego wyczekująco.

To. Kurwa. Niemożliwe.

Wybór oczywiście należy do ciebie. Ważne, byś zrozumiał, że jeśli się nie zgodzisz, nie odziedziczysz niczego po ojcu. Zapisy są absolutnie jasne.

Ale niskie zagranie. Czy to w ogóle legalne?

Sama spisałam ten dokument. Zapewniam cię, że jest stuprocentowo legalny. To testament twojego ojca i mógł ustalić w nim takie warunki, jakie chciał.

Anton wstaje, jakby zamierzał wyjść, ale zamiast tego zaczyna chodzić po ciasnym pomieszczeniu i raz za razem okrąża biurko, mija drzwi, rozogniony nienazwanymi lękami, które szukają ujścia.

Cherise przygląda mu się, zaintrygowana jego cierpieniem. Nie rozumiem, odzywa się w końcu. Przeproś i po kłopocie. To tylko słowa. Czy to ma jakieś znaczenie?

Jesteś prawniczką. Powinnaś wiedzieć, że słowa mają największe znaczenie.

Może na sali sądowej, lecz nie w tym wypadku. Nikt cię nawet nie usłyszy.

Przestaje krążyć i patrzy na nią. Odzywa się słabym, zduszonym głosem, jakby pokonywał wielki opór. Czy ty w ogóle masz pojęcie… Nie potrafi jednak skończyć, zdanie grzęźnie. Jak wyrazić ten palący, nieustający głód… czego? Sam nawet nie wiesz, czego chcesz, Anton.

Postanawia więc wyliczyć zarzuty na palcach. Po pierwsze, ziemia przekazana jego Kościołowi. Po drugie, to on pogrzebie mojego ojca. Potem mi mówisz, że będzie dziedziczył spadek. A teraz mam się przed nim

ukorzyć. Czy jest coś, na czym ten człowiek nie położył swoich chciwych, lepkich łap?

Tego właśnie chciał twój ojciec.

Bo został zmanipulowany! Założę się, że ten złodziej sam wymyślił karę dla mnie. Szybkim ruchem znowu siada na krześle, z którego spojeń bucha chmura kurzu. Ja nie mogę tego zrobić. Przykro mi.

Nie wiem, co między wami zaszło, ale ojciec nigdy cię nie przekreślił. Mogę tu zapalić? Prawniczka podchodzi do okna, wkłada mentolowego papierosa do długiej porcelanowej lufki, zapala i się zaciąga, spoglądając na Antona z ukosa. Mógł cię w ogóle nie ująć w spadku, ale chciał dać ci szansę.

Żeby mnie upokorzyć.

Skoro tak to widzisz.

Tak to widzę i tak jest. Mój ojciec czerpał idee na temat grzechu i kary z Biblii, wierz mi, byłem, widziałem. Dobrze rozumiał, co robi. Zanim mi wybaczy, muszę się ukorzyć. Każe mi klękać przed tym oszustem! Nie, nie, tej granicy nie przekroczę.

Oszust, o którym mówi, to Alwyn Simmers, człowiek uchodzący za szacowną personę, odkąd przeszedł na swoje. Ostatnimi czasy Pan był dla niego łaskawy, toteż ma sporą trzodę, która regularnie płaci dziesięcinę. Pulchne ciało mu teraz pasuje, wypełnia nowy grafitowy garnitur, pęcznieje przy mankietach i kołnierzyku. Włosy też ładnie mu się posrebrzyły, a przynajmniej tak twierdzi Laetitia, która czesze je czule każdego ranka. On sam tego oczywiście nie widzi. Prawie zupełnie stracił wzrok, dostrzega tylko pojedyncze cienie w mroku. Zainwestował w nowe okulary o niemal czarnych szkłach i czerpie przyjemność z dotykania dużych, kwadratowych oprawek. A najcenniejsza rzecz, jaką sobie sprawił, to mówiący zegarek.

Bip, bip, odzywa się urządzenie. Godzina jedenasta trzydzieści.

Przepraszam, mówi gościowi. Powinienem był to wyłączyć.

Anton jest zafascynowany i zbulwersowany, ten człowiek wydaje mu się zupełnie groteskowy, a wielki, brzydki, gadający zegarek tylko dopełnia efektu. Chciałby, żeby znowu się odezwał, ale będzie musiał odczekać piętnaście minut.

Siedzą w jasnym salonie nowego domu duchownego w dzielnicy Muckleneuk, za wychodzącymi na północ oknami widać skalny ogródek. Alwyn i jego żona, pardon, siostra, obraza niezamierzona, już dawno wynieśli się z wilgotnych ciasnych pokoików za budynkiem Holenderskiego Kościoła Reformowanego, skoro Bóg zesłał dobrobyt. Wiele się zmieniło. Alwyn nie nazywa się już pastorem, teraz jest duszpasterzem i sprzedaje swoim klientom, przepraszam, trzódce, zbawienie w złagodzonej wersji, dzięki czemu wszyscy wygrywają. Nigdy się zbytnio nie troszczył o doczesne dobra i zbytki, skoro jednak już są, to naprawdę uprzyjemniają życie.

W rozgrywającej się scenie faktycznie widać, że jest mu przyjemnie. Wie, po co Anton przyszedł, poinformowano go zawczasu, i zamierza się rozkoszować słodkim smakiem zemsty.

Dzisiaj tylko trzy łyżeczki cukru, mówi nalewającej herbatę Laetitii.

Kobieta kończy mieszać i się wycofuje, by nie przeszkadzać w rozmowie. Zostaje jednak na krześle przy drzwiach, na wypadek gdyby okazała się potrzebna. Z mocno zaciśniętymi kolanami popija szybko i ukradkowo, jak dziobiący ptak.

Przyszedłem przeprosić, mówi mu Anton.

Za co, mój chłopcze?

(Dobrze wiesz za co). Za to, w jaki sposób się odezwałem dziewięć lat temu. To było w złym guście. Wcale tak nie uważałem.

Anton musiał wykonać próbę, przećwiczył nawet przed lustrem neutralny wyraz twarzy, chociaż w tych okolicznościach to niepotrzebne. Zaciśniętymi w półuśmiechu zębami powstrzymuje swoje prawdziwe uczucia.

Ech, co tam, odzywa się w końcu pastor/duszpasterz, to było dawno temu.

Jednak mi zależało.

Bóg wszystko wybacza, oznajmia Alwyn, chwilowo myląc siebie ze swoim stwórcą. Wcale się tym nie przejmuj.

W porządku. Anton chętnie się zastosuje do rady, choć przypuszcza, że będzie myślał o tej sprawie jeszcze długo. Odwrócony plecami do siostry,

wykrzywia twarz, obawiając się trochę, że ciemne okulary to tylko zmyłka, lecz duszpasterz mówi nieprzerwanie.

Ojciec kocha syna marnotrawnego bardziej niż posłusznego, oznajmia.

Zawsze wydawało mi się to niesprawiedliwe. Ale tak to już jest na świecie.

Pan nigdy nie jest niesprawiedliwy! Zbliż się, Andrew, pomódl się ze mną.

Andrew/Anton/syn marnotrawny nie potrafi się zmusić do uklęknięcia przy duchownym, pochyla się jednak w krześle i próbuje przybrać błagalną pozę. Oczy ma cały czas otwarte i gapi się na pomarańczowy dywan, gdy Wszechmogący otrzymuje podziękowania za przywrócenie trzodzie zaginionej owieczki, zmiękczenie zatwardziałych serc, przeobrażenie gniewu w pokorę itp., itd., on zaś cierpi, cierpi jak nigdy. Ogień i lód jednocześnie. Przemawiasz gadzim językiem i ja także. Nie jestem zagubiony, zmiękczony ani pokorny. Moje serce nadal jest zatwardziałe i zamknięte przed wami, nie-ojcami numer jeden i dwa. Twardsze niż kiedykolwiek wcześniej. Jestem wilkiem, nie owieczką. Zapamiętaj.

Bip, bip. Godzina jedenasta czterdzieści pięć.

Ech, przepraszam, kolego, duchowny przerywa modlitwę w pół zdania. Powinienem był to wyłączyć.

Wkrótce potem Anton siedzi w mercedesie swojego ojca i oddala się od miejsca swojego drobnego poddańczego gestu. Gotowe, zrobione, prawniczka miała rację, kapitulacja jest łatwa. Mam w ustach posmak żółci. Nie, tak naprawdę nic nie czuję, bo słabość nie ma smaku.

Chodzi tylko o pieniądze. Abstrakcję kształtującą twój los. Karteczki z cyferkami o przypisanej im wartości, które same w sobie nic nie znaczą, lecz przekładają się na władzę, a władzy nigdy dość. Władza mogłaby cię ocalić, Anton, pozwolić ci opuścić kraj i zaspokajać aspiracje. Jeszcze nie za późno na odkupienie, chociaż może minąć trochę czasu, zanim liczby znowu zaczną rosnąć. A tymczasem się okop, kombinuj i rób swoje.

Przystaje przy bankomacie bez większej nadziei, lecz wbrew wszelkim oczekiwaniom przelała mu trochę pieniędzy. Dwa tysiące randów. Niezbyt dużo, ale i niemało. Czemu zawsze jest taka dobra? Gorące łzy napływają

mu do oczu, aż uświadamia sobie, że może tym razem zapłaciła mu, by już nie wracał. W duchu jednak nisko się jej kłania i wsuwa brudne banknoty do portfela. Masz moją wdzięczność, jeśli nie ciało. Później, jak się zbiorę na odwagę, muszę do ciebie zadzwonić. Ale w rzeczywistości jego myśli kierują się ku Desirée.

Jeszcze jeden przystanek po drodze, chyba że nie. Dociera aż pod parking przed budynkiem Usług Pogrzebowych Braci Winkler, gdzie w tej chwili Pa jest szykowany do pochówku. Powiedziano mu, że jeśli chce zobaczyć ojca, to najlepiej tego dnia. Sam tego nie wie. Czy chcę się spotkać z ojcem po raz ostatni? Co takie spotkanie da jemu albo mnie? Nawet teraz, kiedy siedzi przed niskim ceglanym budynkiem, który przypomina raczej urząd niż dom pogrzebowy, nie zna odpowiedzi.

I w końcu ją poznaje, po czym uruchamia silnik. Niknący dźwięk dociera do pomieszczenia, w którym Fred Winkler, najstarszy z trzech braci, już od kilku godzin pracuje nad Maniem. Podstawowe rzeczy zrobione, otwory wyczyszczone i zakorkowane, żeby nic nie ciekło. W wielkiej chwili dużo się wypuszcza, opuszczamy ten świat tak, jak na niego przychodzimy, wydalając i wyjąc, ale nikomu tego nie mówcie. Część dowodów trzeba zmyć, żeby zatrzeć ślady zbrodni. Co to za zbrodnia? Zbrodnia śmierci. Nonsens, Fred, nie ma żadnej zbrodni, a ty po prostu wykonujesz usługę, i tyle. Jego świętej pamięci ojciec, również Fred Winkler, który wyuczył swoich synów zawodu, bo zajmowanie się zmarłymi było czymś w rodzaju rodzinnej tradycji, ale nawet gdyby nie było, to i tak by ich wyuczył, otóż ojciec powiedział mu dawno temu: Musisz sprawić, żeby wyglądali, jakby odnaleźli spokój. Rodzina chce zobaczyć, że człowiek, którego kochali, spoczywa w spokoju. Bzdura. Woleliby zobaczyć go żywym. Chcą wierzyć, że Manie tylko śpi. To rodzina chce mieć spokój.

Postaraj się, jak możesz. Masz w zanadrzu sporo sztuczek, napychanie policzków bawełnianą włóczką, mocowanie luźnych części klejem. Triki i złudzenia. Jest wrażliwcem, mógłby zostać malarzem, a może homoseksualistą, ale zamiast tego pędzli używa na zwłokach, niesamowite, ile można ukryć pod warstwą pudru i koloru. Nie wspominając o perfumach, które trzyma w prostych butelkach w małej ściennej szafce

z lustrem. Ludzie śmierdzą nawet za życia, a po śmierci znacznie gorzej. W przypadku Maniego szczególnych kłopotów nastręcza noga. Tam ugryzł go wąż i wygląda to naprawdę kiepsko. Szczęście, że nie w twarz. Z tą nogą niewiele da się zrobić, najwyżej przyciąć spodnie z jednej strony i ukryć ranę. Byle się zmieścił do trumny.

Ostatniego pojemnika dla Maniego jeszcze nie wybrano, ten delikatny proces odbywa się właśnie w biurze od frontu, dwie cegły dalej, gdzie córki zmarłego konsultują sprawę z młodszym bratem Freda. Vernon Winkler, spocony i pucołowaty, o rzednących blond włosach, wbity w przyciasne spodnie, pokazuje im modele do wyboru w katalogu, czy raczej segregatorze pełnym obrazków z drukarki igłowej i tanich polaroidów powkładanych w plastikowe koszulki.

Nie podobają mi się te ozdoby, mówi Astrid. Co sądzisz, Amor?

Amor wzdycha. Czy to naprawdę ważne?

Ozdoby? pyta Vernon. Chodzi pani o kwiaty? Tych nie będzie. Kwiaty wybiera się z innego katalogu.

Nie chodzi mi o kwiaty. Uchwyty. Nie podobają mi się te tanie plastikowe uchwyty.

Astrid jest wściekła, ale też zbyt smutna, by to okazać. Pa miał polisę pogrzebową, ale ona i tak wścieka się na ceny, których życzą sobie ci ponurzy przestępcy za drewnianą skrzynkę, jeśli rzecz nazwać po imieniu. Nie ma ochoty siedzieć w tym nijakim biurze z szarym dywanem, które samo jest w sumie skrzynką z biurkiem i telefonem w rogu. Telefon dzwoni co jakiś czas, ciągle trzeba grzebać nowych zmarłych, żałoba nie ma kresu, i faktycznie, na dwóch prostych krzesłach stojących w przypadkowych odstępach pod gołą ścianą siedzi para młodych ludzi, którzy trzymają się za ręce i łkają, pogrążeni w smutku.

Możemy wymienić uchwyty, mówi Vernon Winkler. Nuży go sycząca starsza siostra, za to ożywia się na widok tej ładnej, młodszej, lubi, jak są cicho, mógłby sobie prawie wyobrazić, ale nie, tu nie wolno, nie w tych obcisłych spodniach. Już raz się w ten sposób skompromitował przy ludziach.

W końcu po długich ceregielach Astrid decyduje się na trumnę z górnej półki, bardzo dziś popularny model firmy Ubuntu, który dobrze się wpisuje w obecne czasy. W katalogu napisano, że emanuje ciepłym blaskiem wypolerowanego na wysoki połysk drewna meranti i ma godziwe rozmiary, harmonizujące ze szczodrą, otwartą przestrzenią Afryki. Tapicerkę wieka ozdobiono tradycyjnym zuluskim wzorem paciorkowym, wnętrze zaś starannie wyłożono pikowaną tkaniną i nadano mu barwy zaczerpnięte z subtelnej palety sawanny. Srebrne, obracające się we wszystkich kierunkach uchwyty także są miłe dla oka.

Mniej miłe jest nastawienie młodszej siostry, która od wyjścia z domu prawie się nie odezwała. Astrid zabrała ją właściwie tylko po to, żeby coś doradziła. Po co innego?

Przepraszam, mówi Amor. Nie mam sprecyzowanej opinii na tematy takie jak uchwyty.

Astrid nie chce, by to zabrzmiało sarkastycznie, naprawdę mało wie o drobnych sprawach świata, lecz mówi: Cóż, szkoda, że twoim zdaniem moje życie wypełniają błahostki, ale ktoś musi podjąć decyzję w sprawie uchwytów.

Amor zastanawia się nad tym zdaniem. Nie sądzę, że twoje życie wypełniają błahostki.

Dzieje się to już w małej hondzie, gdy wracają na farmę. Na skraju miasta, w korku. Emocje złagodniały, w tle z Radia 702 leci jakaś brzękliwa, plumkająca melodia. Astrid ma już dość tego dnia, dzieci od świtu rozpętały pandemonium, Dean też gra jej na nerwach, a teraz niekończące się wybieranie trumny. Zresztą nie chodzi o ten dzień czy nawet kilka ostatnich dni, tak naprawdę nie czuje się dobrze już od dawna. Od lat.

W gruncie rzeczy, mówi zmienionym głosem, ja faktycznie żyję błahostkami.

Amor słucha.

Nie wiem, jak to się stało, że tak skończyłam, ciągnie Astrid.

Czemu zwierza się siostrze, której nawet nie lubi? Przy Amor ma się wrażenie, że można sobie na to pozwolić. Ta jej cecha, która dawniej

sprawiała wrażenie pustki i głupoty, niemal uszkodzenia mózgu, teraz wydaje się czymś przeciwnym, ciszą i uwagą, rodzajem inteligencji. Amor jest kimś, komu można o wszystkim powiedzieć.

Nie zabezpieczyliśmy się, zaszłam w ciążę, zamiast postąpić rozsądnie, pobiegłam z Deanem do urzędu stanu cywilnego i nagle bach, poszła reszta życia. Tak samo było z Ma! Nie myślałam, co robię, po prostu to zrobiłam. Można by rzec, że moje ciało zrobiło. Umysł był gdzie indziej. A teraz mam dwoje dzieci, jestem wyczerpana i już nie czuję się piękna i młoda.

Marszczy brwi. Co tam tamuje ruch? Wciska klakson. Kocham Deana, mówi. Znaczy się, bardzo mi na nim zależy. Naprawdę. Ale też bardzo się różnimy.

Amor kiwa głową w zamyśleniu. (Chcesz go porzucić.

O nie, nie! Nigdy bym tego nie zrobiła). Astrid kontempluje własną przyszłość, wpatrzona w przednią szybę, gdy zmienia się światło. Ale kiedyś miałam romans, mówi prawie szeptem.

Amor znów kiwa głową. Z kim?

Z monterem systemu alarmowego.

Amor nie potrafi powstrzymać chichotu, gdy to sobie wyobraża. Naprawdę?

Tak, naprawdę. Astrid także chichocze, czuje nieoczekiwaną ulgę po rozmowie o swoim grzechu. Faktycznie myśli, że to grzech, i zależy jej na rozgrzeszeniu. Monter zabezpieczeń, z którym miała romans, Jake Moody, to katolik i zafascynowało ją, gdy mówił o poczuciu oczyszczenia z wszelkich występków i błędów, jakiego doznaje po spowiedzi. Nawet po tym? dociekała. Tak, odparł, nawet po tym, ale jeszcze nie teraz.

Bo on, słowa cisną się jej na usta, on jest zupełnie inny od Deana. Pod każdym względem! Nawet jego imię… to męskie imię, wiesz, o co mi chodzi? Dobrze mu pasuje. Naprawdę bywa humorzasty, był o mnie niesamowicie zazdrosny, brakuje mi tej zazdrości…

Bo tak naprawdę, ciągnie, jeszcze mi nie przeszło. Zastanawiam się, czyby do niego nie zadzwonić.

Powiedziała zbyt wiele, nagle robi jej się niedobrze i przyciska dłoń do ust. Jak to się stało? Jej siostra to nie ksiądz!

Nie wolno ci się wygadać, syczy przez palce. Nie mów nikomu, co ci powiedziałam!

Oczywiście, odpowiada Amor. Czemu miałabym to zrobić?

Widać, że mówi szczerze, i Astrid na jakiś czas się uspokaja, ale krótko po przyjeździe do domu idzie do łazienki, żeby opróżnić się z wewnętrznego zamętu. Dzisiaj naprawdę ma ochotę wywrócić się na nice. Biedna, pogubiona Astrid! Nie wyrzygasz najboleśniejszej myśli, a mianowicie że jakimś cudem zamieniłaś się z siostrą miejscami i to ona idzie teraz ścieżką, która należała się tobie.

To nieprawda. A przynajmniej Amor tak tego nie postrzega. Bo ona również przeżywa swoje drobne cierpienia, które ją wyczerpują, chociaż o nich nie opowiada, nikt zresztą nie pyta, a kiedy wychodzą na wierzch, zwykle jest sama. Na przykład niedługo po powrocie, gdy siedzi na głazie na pagórku. To jej ulubione miejsce, scena jej słabości. Dlaczego wciąż tu wraca?

Spójrzcie jej oczami. Obrazek wydaje się znacznie mniejszy, niż zapamiętała, pagórek znacznie niższy, a spalone drzewo to tylko wiecheć martwych gałęzi. Dach domku Lombardów jest ledwie dostrzegalnym kształtem w oddali.

Jednak barwy przebijają ją jak ostrza, a niebo jest ogromne i odwiecznie niezmienne. Farma w dole rozciąga się w nieskończoność pejzażem wzgórz, stoków i pól, zlewając się z brązową dalą, i Amor czuje bezmiar świata. Sama już go trochę widziała. Wieś wygląda jak dawniej, ale spiętrzone na niej prawa, niewidzialne, potężne prawa ustanowione przez ludzi i złożone na ziemi jak rozsypana mozaika, ciężkie, uciskające prawa, otóż te prawa właśnie się zmieniają. W widoku, który się przed nią rozciąga, niemal dostrzega własne poczucie, że miejsce, do którego wróciła, jest i nie jest takie samo.

Rodzina oczywiście zupełnie przemilczała obietnicę, jaką Pa złożył matce. Od śmierci Ma nikt o niej nie wspomniał, wyłącznie Amor, i to dawno temu. Myśli teraz o tym problemie i ma wielką ochotę komuś o nim przypomnieć. Wierzy, a raczej tylko ma nadzieję, że odpowiedni naprawczy zapis na ten temat znalazł się w testamencie Pa. Najlepiej byłoby jednak,

gdyby wspólnie uzgodnili, jak postąpić, jeszcze przed odczytaniem ostatniej woli.

Tego wieczora w jadalni, gdy wszyscy siedzą przy posiłku, nadchodzi idealny moment i Amor zamierza zadać pytanie, słowa już formują się jej w ustach, poszczególne sylaby, zupełnie niewinne (Czy Salome może teraz dostać swój dom?)… i zobaczcie, gdy spojrzeć z zewnątrz, to taka miła scenka, przyjemnie oświetlony pokój, ogień w kominku, rodzina zebrana na wspólny posiłek… Czy takie pytanie w czymś zaszkodzi? Poślij je w ten ciepły pokój, być może odpowiedź cię zaskoczy.

Bam! Uderzenie trafia w nich miękkim ciosem, wywołuje zbiorowy okrzyk lęku i ulgi, wszyscy jednocześnie się odwracają. Pytanie Amor upada na podłogę niezadane. Ale nie, to nie ono wydało ten dźwięk. Coś innego, zupełnie namacalnego, z wielką siłą uderzyło od zewnątrz w szklane drzwi.

Co to? krzyczy przerażony Dean. Nietoperz? Nie, ptak, te gołębie są bardzo głupie, zauważa Ockie. To był duch mojej matki, myśli irracjonalnie Astrid. Czemu tak lata po nocy? docieka Marina. Pewnie przyciągnęło go światło z werandy.

Leżący na grzbiecie gołąb umiera na deskach w wirze piórek. Wąska strużka krwi wycieka mu z nozdrza. Mała istotka, mała śmierć. Jedna noga sztywnieje i drga. Ciałko zaczyna tracić temperaturę.

Jaka szkoda, idź i go pogrzeb, nakłania męża Astrid. Chciałaby, żeby ptak zniknął jej z oczu. Dean posłusznie wychodzi i podnosi go ostrożnie za czubek skrzydła. Rozgląda się za odpowiednim miejscem na pochówek i znajduje zaniedbany klombik pod akacją. Wykopuje dłońmi dziurę, końcem palca zsuwa do niej stworzenie i przykrywa je ziemią. Stoi jeszcze przez minutę i rozmyśla o śmierci własnego ojca, który zmarł dawno temu, gdy on był jeszcze mały. Ptak zabrał go w tę podróż. Jedna rzecz przywołuje inną. Wszystkie zdarzenia jakoś się łączą, przynajmniej w pamięci.

Gołąb leży w swym płyciutkim grobie tylko przez parę godzin, po czym wykopuje go szakal, jeden z pary, która zamieszkała niedaleko pagórka. Stały się znacznie odważniejsze od śmierci Tojo i gdy w domu zapada cisza, przychodzą, żeby wyszukać i pożreć odpadki. Ptak to prawdziwy dar,

zapach jego krwi przenika przez glebę, tylko czubek jednego skrzydła ma splamiony odorem człowieka. Dwa szakale rozrywają gołębia, wydając wysokie, bełkotliwe okrzyki, aż w końcu Astrid nie może dłużej tego znieść, otwiera okno i woła na nie, żeby przestały.

Biegną przez ciemny pejzaż, podążając od cienia do cienia ścieżką, którą same wydeptały u stóp pagórka. W ich oczach krajobraz jest rozświetlony, a powietrze pełne wiadomości. Ślady, tropy, odległe wydarzenia. Przystają obok słupów elektrycznych, zaniepokojone buczeniem prądu w kablach, i odchylają głowy, by odpowiedzieć falującym wyciem.

Salome słyszy je ze swojego domu, pardon, domku Lombardów, i szybko zamyka drzwi. Poważnie traktuje znaki i przepowiednie, a wycie szakali to zły omen. Jakiś niespokojny duch z drugiej krainy. A one faktycznie wydają się bezcielesne, gdy tak nieuchwytnie i płynnie mkną z punktu w punkt, wydając dziwne, ćwierkające odgłosy zjaw z zaświatów.

Biegną truchtem przez dno doliny ku autostradzie na północy. Zatrzymują się z dala od niej, na skraju swojego terytorium. Trzeba odnowić znaki za pomocą własnych soków, określić granicę. Za tą linią nasz teren. Wyznaczony moczem i gównem, zapisami z wnętrza ciał.

Teraz podążają na wschód ku kolejnej granicy, na której ich podpis wyblakł. Jednak już po chwili stają, bo wyczuwają zmianę, która tu zaszła, odkąd były tam ostatnio prawie dokładnie dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Ziemię rozgrzebano w miejscu cuchnącym kośćmi. Rozdarta gleba wydziela smród, który dla ludzkiego nosa pozostaje niewyczuwalny, lecz do Canis mesomelas, och, przemawia wieloma językami. Rana jest wielka i świeża, czuć też zapach kopaczy, metalowych krawędzi ich pazurów, ich potu, śliny i krwi, choć oni sami już odeszli. Może próbowali kopać norę. Może wrócą, żeby ją dokończyć.

Wracają rankiem. Dwóch młodych mężczyzn w kombinezonach roboczych ze szpadlami w ręku. Ich oddech unosi się parą w zimnym powietrzu. Jest wcześnie, ledwie wzeszło słońce i cienie nagrobków snują się blado po ziemi. Szakale już dawno odeszły, a ich miejsce zajęły inne istoty.

Gąsienica pożera liść.

Surykatka przekrada się w trawie niczym smuga dymu.

Przechodzi żuk, przystaje na moment, na nowo podejmuje wędrówkę.

Lukas i Andile kopią i kopią. Człowiek to nie ptak, nie można go wrzucić do płytkiego grobu, skąd mógłby go wygrzebać szakal. Wykopać dziurę o głębokości prawie dwóch metrów i rozmiarze dorosłego to sporo roboty, zwłaszcza gdy gleba zamarznięta. Choć metaliczny chłód przenika ich kości, sapią i ociekają potem, a kiedy z ulgą robią sobie przerwę, pojawia się Alwyn Simmers.

Przyjeżdża, żeby poczuć, całkiem dosłownie, miejsce pogrzebu. W kościele wszystko jest płaskie i oswojone, nie ma ryzyka potknięcia. Jednak tu, na nierównym terenie, to inna historia. W dodatku Manie poprosił o obrządek w tradycji Holenderskiego Kościoła Reformowanego, co trochę duszpasterza niepokoi, bo już zapomniał, jak to robią kalwini.

Lukas i Andile, wspierając się o szpadle w na wpół wykopanym grobie, patrzą z nieskrywaną ciekawością na toyotę corollę, która mozoli się w górę żwirową drogą, po czym parkuje przy kutej żelaznej bramie rodzinnego cmentarza. Prowadzi ją kobieco wyglądający mężczyzna, który po wyjściu z auta okazuje się męsko wyglądającą kobietą. Ma na sobie białą bluzkę i długą brązową spódnicę zakrywającą pokaźne łydki. W butach na płaskim obcasie szybkim krokiem obchodzi samochód, żeby pomóc wysiąść biednemu, ślepemu, poirytowanemu kaznodziei.

Za drugie ramię, Laetitia! Ciężko dyszy. Ile razy mam ci powtarzać?

Bardzo cię przepraszam, Alwyn…

To stały refren w ich rozmowach, napomnienie i przeprosiny. Oboje wydają się rozkoszować tą grą i jednocześnie jej nienawidzić. W tym wypadku brat i siostra to tylko etykietki nałożone na znacznie bardziej poplątaną relację. Po przekroczeniu pordzewiałych metalowych wrót ich sczepione postacie, utykając, wchodzą między nagrobki, pochylone i nadkruszone, znaczy nagrobki, nie ci dwoje, chociaż i oni są na swój sposób pochyleni i nadkruszeni. Gdzie jesteśmy? woła Alwyn Simmers. Prawie na miejscu, odpowiada Laetitia Simmers.

Z wnętrza prostokątnej dziury w ziemi Lukas i Andile przyglądają się, jak tamci nadchodzą.

Już doszliśmy?

Tak, Alwyn, już jesteśmy na miejscu.

Tutaj będę stał?

Tak, tutaj będziesz stał.

Duszpasterz niucha powietrze, kręcąc głową w tę i we w tę, jak monarcha lustrujący swoją domenę. Kto tam jest? krzyczy nagle, ponieważ wyczuwa czyjąś obecność w okolicy własnych kolan.

To my, Baas.

Czyli kto?

Andile i Lukas, Baas.

Odezwał się Andile, Lukas nigdy nie użyłby słowa baas, a na pewno nie użyje nigdy więcej. Emanuje z niego duma i rezerwa, a może pogarda, i wydaje się, że spogląda na przybyłą parę z góry, choć stoi do połowy zagłębiony w dole. Tymczasem Andile kiwa głową, uśmiecha się służalczo i gdyby mógł, całkiem by się zakopał.

Wracajmy do domu, Laetitio. Zobaczyłem już dość.

Tak, Alwyn, mówi potulnie Laetitia, choć w jej umyśle na moment rozbłyskuje paskudna ochota, by odpowiedzieć inaczej: Co ty mówisz, Alwyn, przecież jesteś ślepy. Często miewa takie okrutne impulsy, ale je tłumi, chyba że są wymierzone w nią samą. Bo pod długą spódnicą i rękawami Laetitia ukrywa blizny po zadanych sobie ranach.

Dwoje białych wsiada do samochodu i odjeżdża, dwóch czarnych wraca do kopania. To całe interludium nie miało właściwie większego znaczenia, moglibyśmy się bez niego obejść, tyle że powtarza się na opak zaledwie cztery dni później, gdy corolla znów przywozi rodzeństwo. Tym razem za samochodem podąża karawan, czarne, trochę przerobione volvo. Jechało za nimi przez całą drogę z miasta i teraz, z ciałem Maniego Swarta spoczywającym w trumnie Ubuntu załadowanej na tył, podskakuje i chwieje się na żwirowej alejce.

Na tylnej klapie pojazdu białym, niewyszukanym krojem pisma naniesiono od szablonu napis Usługi Pogrzebowe Braci Winkler. Prowadzi sam Fred, człowiek wyglądający na znacznie starszego, niż jest w rzeczywistości, zupełnie łysy już w wieku trzydziestu siedmiu lat,

o opadających kącikach ust, wzdłuż których układa się bujny wąs. Kamizelkę i slipy ma zbyt obcisłe, co przejawia się drobną zmarszczką irytacji między jego oczami. Na wierzch włożył prosty czarny garnitur, kompletnie brakuje mu wyobraźni. Nie oddawał go do pralni chemicznej już od dłuższego czasu i rozchyla nozdrza, gdy falami uderza go zapach własnego potu, pozostały po innych, gorętszych dniach.

W powietrzu można też wyczuć, a przynajmniej tak mu się wydaje, smród rozkładu wydobywający się z trumny w tylnej części samochodu. To niemożliwe, wieko porządnie przykręcono, ale wciąż czuje ten odór. Może to jakieś resztki na dłoniach? Zależy mu na tym, żeby pogrzeb na farmie wypadł dobrze, bo wie, że jest ważny dla Alwyna Simmersa, a Fred należy do jego Kościoła. Często pracuje dla pastora, można wręcz powiedzieć, że nawiązali obopólnie korzystne porozumienie. Deo volente, rzecz jasna, ale na wyrozumiałość Pana można liczyć, On przecież nie ma nic przeciw temu, by w Jego imię troszkę dorobić, o ile duszę ma się czystą.

Fred Winkler ma czasem wrażenie, że dusza wisi w nim jak stalaktyt. Nie, raczej coś bardziej chwiejnego i drżącego, jak nietoperz w jaskini. Czy kiedykolwiek, w pewien ziarnisty zmierzch, uwolnię się i polecę? Nie sądzi.

Parkuje obok cmentarza. Przyjechał trochę wcześnie, lecz kilkoro żałobników jest już na miejscu. Alwyn Simmers i jego osobliwa siostra zaparkowali nieopodal.

Piękny dzień, zauważa duchowny, unosząc twarz ku niebu. Czuje ciepło słońca, mroźne powietrze się cofnęło, ale, prawdę mówiąc, nie myśli o pogodzie. Niepokoją go nadchodzące wydarzenia, bo może nie być łatwo. Co za rodzina. Pan wystawia mnie na próbę. Syn, jak mu tam, narobił szumu wtedy, przed laty, a teraz chcą mnie obciążyć winą za śmierć ich ojca. To nie moja wina, że nie wierzył dość mocno. Byle przeżyć tych parę godzin bez sceny.

W mowie pogrzebowej, myśli, utrafił we właściwy ton, co pomoże ich okiełznać. Trzeba ich sobie ustawić. Pieniądze obnażają najgorsze cechy ludzkiej natury, ubolewał nad tym już wiele razy. To takie tragiczne i godne pożałowania. Człowiek zaprawdę wybudował ołtarz Mamonie.

Jego melancholia osiąga niemal przyjemne natężenie, gdy z chrzęstem sztucznych pereł dopada go Marina Laubscher. Jest tak ożywiona, że duszpasterz nie umie stwierdzić, czego też ona chce. A może umie, tylko sądzi, że się przesłyszał.

Że co, proszę?

Niech otworzą trumnę.

Ale dlaczego?

Chcę się upewnić, że w środku jest mój brat.

Oczywiście, że to twój brat, wykrzykuje histerycznie, szybko dorównuje jej poziomem emocji. A niby czyj?

Lecz ona nie da się spławić, nie dzisiaj. Od śmierci Maniego coś w jej wnętrzu się poluzowało i wskoczyło na miejsce dopiero w zeszłym tygodniu, gdy siedząc na toalecie, przeczytała artykuł w Huisgenoot o oszustwach pogrzebowych pod Johannesburgiem, gdzie w szopie odkryto stertę rozkładających się ciał. Nie zrozumiała tego do końca, było coś o powtórnym wykorzystywaniu tych samych trumien, a w wielu przypadkach, pisano, do grobu trafiała niewłaściwa osoba lub wciskano do trumny dwoje nieboszczyków. Artykuł tak ją wtedy poruszył, że dostała zatwardzenia, i od śmierci Maniego nie potrafi myśleć o czymkolwiek innym. A jeśli w tej skrzynce nie leży jej brat? Albo włożono tam kogoś jeszcze?

Leży tylko on, protestuje Fred Winkler ze zjeżonym wąsem. Osobiście zamykałem wieko dziś rano. (A właściwie przyglądał się, jak Jabulani to robi).

Tak czy inaczej, proszę je ponownie otworzyć.

Nie wiem, czy mam ze sobą właściwy wkrętak. Sądziłem, że to ceremonia z zamkniętą trumną.

Bo tak jest, ale muszę go zobaczyć na własne oczy. Proszę ją natychmiast otworzyć!

Niech pan zrobi, co mówi, gdzieś w tle odzywa się mąż tonem zakładnika. Chce tylko, żeby ta scena się już skończyła.

Ma pan ten wkrętak? Alwyn Simmers rzuca pytanie w powietrze.

Fred grzebie w tylnej części karawanu, gdzie trzyma narzędzia. Jest wręcz zdyszany ze zdenerwowania, na pewno teraz uznają, że jest winny, winny, winny, ale dzięki Bogu znajduje właściwe narzędzie.

Zrób pan to szybko, mówi mu Simmers. I niech nikt nie zobaczy, do diabła.

Bluźnierstwo wymyka mu się jak smarknięcie, za późno, by je cofnąć. Wszyscy, zwłaszcza sam duchowny, udają, że nie słyszeli. Fred Winkler bardzo uważnie patrzy w dół na śruby i wykręcając je w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, cofa czas. Jezus wskrzesił Łazarza. Czy Łazarz śmierdział? Ciekawe. Z trumny bez najmniejszej wątpliwości wydobywa się słodkawy smród. Czuć go bardzo wyraźnie w ciasnym, wyścielanym tapicerką samochodzie. Odór robi się o wiele gorszy, gdy wieko idzie w górę. Nie myśl o jedzeniu, zwłaszcza takim zepsutym, które gnije i zamienia się w maź. Proszę, nie wymiotuj, nie tutaj. Nie ma miejsca na żadne wybiegi. Wstrzymaj oddech, skoncentruj się i patrz na to, co odsłoniłeś, jakby było na końcu tunelu. Tylko twarz, nic więcej, zamknięte oczy, rozchylone usta, ale coś jest nie tak z barwą skóry. A rozmiar…

Źle wyglądał, szybko wyjaśnia Fred. Znacznie gorzej niż teraz. Dużo się nad nim napracowałem. Ale już napuchł i wyszły mu żyły. (Gdybyście tylko zobaczyli nogę).

W tym momencie bliźniaki Astrid przechodzą obok otwartej klapy karawanu i dostrzegają ciało swojego dziadka nie dziadka. Świadomość śmierci z całą mocą uderza Neila i Jessicę de Wet, wstrząsa nimi tak, że stoją skamieniali aż do chwili, gdy Astrid ich odciąga i incydent gubi się w ogólnym zamieszaniu. Niech pan zamknie, poleca Marina człowiekowi z domu pogrzebowego, temu z absurdalnym wąsem, a on ochoczo spełnia jej prośbę.

Marinie bardzo się nie podoba, jak wygląda jej brat, o ile to faktycznie Manie. Niby on, ale nie do końca. Gdy się nad tym zastanawia, stopniowo dochodzi do wniosku, że równie dobrze w tej skrzyni mógł leżeć jakiś napuchnięty, podobny do niego człowiek.

Niech pan otworzy jeszcze raz!

Wraca z jazgotem niecałe pięć minut po tym, jak sobie poszła. Fred Winkler właśnie zaczął mocować ostatnią śrubę, a grobowa halitoza wreszcie się rozwiała.

Szlag by to, Marina, Jezu, nie, absolutnie nie!

Ockie ma dość. Ma już kompletnie, totalnie, stuprocentowo potąd idiotyzmów rodziny Swartów! Ona chce znowu otwierać trumnę! Od czasu, gdy jego szwagier zmarł w tak niesamowicie durny sposób, nie poznaje własnej żony.

W tej chwili ona także nie poznaje jego. Ostatni raz zdarzyło mu się krzyknąć lata temu, w każdym razie na nią, i nagle widzi go w nowym świetle. Mój mąż! Mój mąż od ponad połowy życia!

Przepraszam, Ockie, nie jestem dzisiaj sobą.

Nic się nie stało, mój mały pingwinku, odpowiada Ockie, który natychmiast łagodnieje. Zażyłaś swoje kropelki?

Fred Winkler dokręca ostatnią śrubę. Wróciła odrobina rozsądku. Pomimo zimowego chłodu poci się, jakby był chory, i może jest.

Jeszcze się nie uwolnił. Będzie mógł odejść, dopiero gdy trumna trafi do ziemi. Musi na stojąco przeczekać niekończącą się posługę z pełnym pęcherzem, uciskanym przez za ciasne slipki, a duszpasterz, który, formalnie rzecz biorąc, wrócił do roli klasycznego pastora, wygłasza jedną ze swych pompatyczniejszych przemów, okraszoną pochwałami pod adresem charakteru i wiary Maniego Swarta.

Goście stojący w niewygodnym rogu cmentarza samorzutnie uformowali się w trzy kręgi wokół duchownego. Wewnętrzny stanowi rodzina, drugi znajomi i wspólnicy, których, jeśli się przyjrzeć, Manie prawie co do jednego poznał w kościele. Jest wśród nich korpulentna starsza pani imieniem Lorraine, mająca upodobanie do trwałych ondulacji i kardiganów, dyskretna towarzyszka Maniego przez pięć czy sześć ostatnich lat. Dziś łka, bo rzecz jasna za nim tęskni, a poza tym Manie obiecywał, że pewnego dnia zrobi z niej uczciwą kobietę, lecz nigdy nie wykonał tego kroku, i co teraz? Nie obruszajcie się, że poświęciliśmy jej chwilkę, wkrótce bowiem opuści to miejsce i skupione w nim żywoty, nie

mając z pobytu tutaj nic poza skromną cząstką spadku, o czym wspomnimy we właściwym czasie.

Krok dalej stoi gromadka pracowników farmy, którym zgodnie z nowym, postępowym klimatem panującym za granicą i w kraju pozwolono wejść aż na teren ogrodzonego rodzinnego cmentarza. Pochowani tam nie zostaną, co to, to nie! To miejsce przeznaczone wyłącznie dla krewnych. Nie przewidziano żadnego oficjalnego cmentarza dla pracowników farmy, przecież właściwie nic ich nie wiąże z ziemią i nawet ci, którzy przepracowali tam wiele lat, są tymczasowi. Ostatecznie wszyscy odchodzą.

Niektóre śmierci są naturalne, mówi im Alwyn Simmers. Kiedy jednak ktoś ginie w wypadku, można stwierdzić, że to niesprawiedliwe. Że coś trzeba naprawić. Przesuwa niewidzącym spojrzeniem po zebranych. Trudno się pogodzić z tym, że również wypadek jest częścią planu Ojca Niebieskiego.

To nie był wypadek. O nie. Tak jak wypadkiem nie było zatracenie się Adama i Ewy. Nie zapominajmy, że Szatan w Edenie przybrał postać węża. Doprowadził do upadku pierwszych ludzi na ziemi, czym skazał nas, ich potomków, na wygnanie. Ale nawet to, bracia i siostry, jest częścią Bożego planu. Bowiem choć Szatan ostatecznie przegra w tej wielkiej grze, on również ma rolę do odegrania. Na końcu, na samym końcu, ujawni się znaczenie wszystkich wypadków!

Ślepy duchowny odnalazł retoryczny rytm, jego piękny głos wije się wśród kopców termitów i kęp trawy. Zawsze miał gadane, potrafi śpiewnie mówić. Czasami odczuwa prawdziwe natchnienie, ogarnia go jakaś zewnętrzna siła, a za kółkiem siada inny kierowca. Proszę, niech to będzie Jezus Chrystus, chociaż czasem obawia się, że to nie On. W krótkim momencie przed laty, gdy podupadł na pobożności, Alwyn Simmers i jego siostra popełnili grzech cielesny, niestety wspólnie, i choć później nigdy o tym nie wspominali, czasami nachodzi go ochota, by wyspowiadać się na głos, stojąc przy mównicy. W dni takie jak ten ma wrażenie, że naprawdę mógłby to zrobić. Ale nie, opowiadaj inną historię, tę, na którą wszyscy się zgadzamy, wiesz, o którą mi chodzi, tę o zbawieniu, duchu, odnowie

i przebaczeniu, jeśli jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami, nigdy nie będziemy rżnąć swoich sióstr, nawet nam to nie przejdzie przez myśl.

Bip, bip. Godzina dziesiąta trzydzieści.

Ech, przepraszam. Zawsze zapominam go wyłączyć.

Wszyscy się śmieją i przestępują z nogi na nogę, ich uwaga się rozprasza. Kaznodzieja także traci rytm. Zamierzał podsumować wspomnieniem o wielkiej hojności Maniego nawet po śmierci, ale wątek mu umknął. Czas kończyć. Opowiada drobny żarcik przygotowany na sam koniec, ale myli mu się puenta, więc zapada ciężka, niezręczna cisza. Klaszcze w dłonie i przypomina wszystkim, że nadal można się dołożyć do funduszu, który Manie założył jeszcze za życia, choć nie można się już zapisać jako regularny sponsor. Wszystkie dutki, znaczy datki, zostaną przekazane na organizacje charytatywne prowadzące dobre działania w ciemnych zakątkach świata.

Posługa zakończona, konieczne gesty uczynione, gromadka może się znów rozproszyć, choć czyni to niepewnie, jako że jest w środku weldu. Naprawdę czuje się własną małość pod wielkim, jasnym, zimowym niebem, przed którym nic cię nie chroni, gdy pospiesznie wychodzisz przez bramę. Fred Winkler wreszcie może się wysikać. Oddala się kawałek truchcikiem i odwraca tyłem do nagrobka oraz ostatnich wychodzących, całkiem o nich zapominając. Co za ulga! Nic tak nie łączy człowieka z ziemią jak pępowina gorącego żółtego moczu. Na krótką chwilę całkowicie zatraca się w doznaniu opróżnianego pęcherza, aż nadchodzi czas, by strząsnąć krople.

Gdy wraca do karawanu, ostatni oddalają się alejką, a dwóch czarnych mężczyzn już napełnia grób ziemią. Kiwa im głową w biegu i jeden odpowiada. Dzień dobry, Baas. Ale mam dziwną pracę, myśli Fred, wsiadając do auta, nie bez dozy litości nad samym sobą. Przygotowuję ludzi do zniknięcia. I wszystkie efekty mojej pracy znikają wraz z nimi.

Gdy długi ciemny samochód odjeżdża, Andile i Lukas podejmują przerwaną pracę. Znacznie łatwiej zapełnić dziurę, niż ją wykopać, lecz to i tak ciężka robota, pot harówki jest losem człowieka, a przynajmniej niektórych ludzi. W tym i niektórych kobiet. Chyba tak już musi być, w każdym razie w tych rejonach każdy w to wierzy. A czego byś się

spodziewał, rewolucji? Po skończeniu pracy ubijają ziemię na płasko uderzeniami szpadli, po czym siadają pod akacją, żeby wypalić papierosa.

Lukas żegna się z Andilem i rusza ścieżką ku domkowi Lombardów. Tam, gdzie mieszkam. To mały, pochyły budynek, jakby wykoślawiony od środka. Trzy pokoje, cementowe podłogi, powybijane okna. Dwa schodki do frontowych drzwi. Krok przez próg. Halo? Wraca do ciebie twój własny głos. Matki nie ma w domu. Rzadko bywa. Zajmuje się dziećmi innej kobiety, białej, tam, na wzgórzu. Zostawia go samego w trzech połączonych pokojach pełnych czasu i ciszy, gdzie w słońcu wirują drobinki kurzu.

Bierze wiadro, wychodzi nabrać wody z pompy. Stojąc za tylnym wejściem, rozebrany do znoszonych czerwonych slipek, myje się szmatką. Potem przykuca, by wyschnąć na słońcu. Jego długie ciemne ciało znaczą sploty mięśni, a plecy przecina różowa zygzakowata blizna. Skrywa jakąś prywatną historię, ale nie znam go na tyle dobrze, by pytać.

Przebiera się w modne miejskie ciuchy i szykuje do wyjścia. Dużo czasu schodzi mu na studiowaniu wyrazu twarzy w odłamku lustra. Nie dostrzega gniewu, dumy czy poczucia samotnej krzywdy. Podziwia natomiast swoją wargę, która z czasem staje się zmysłowa i wydatna, oraz długie łuki rzęs.

Wychodzi do Atteridgeville, pobliskiego osiedla, gdzie mieszka pewna dziewczyna. Idzie raźnym krokiem, wypachniony, i przecina skraj trawnika za głównym domem farmy, gdzie zebrali się biali. Mają coś w rodzaju przyjęcia pożegnalnego na cześć nieboszczyka. Lukas oczywiście wie, jak zmarły się nazywał, ale to imię nie pasuje do określanej nim osoby, sama zaś osoba wydaje się nie tyle człowiekiem, ile jakąś siłą.

Gdy mija dom, z wnętrza wychodzi syn owej siły. Hejka, Lukas. Hej, Anton. Niepewność, jak się do siebie zwracać, odkąd nadeszła dorosłość.

Co tam ostatnio porabiasz?

Pracuję tu, na farmie.

A nie zamierzałeś studiować? Iść na uczelnię?

Nie, nie udało się. Wpakowałem się w kłopoty w szkole, wyrzucili mnie, nie skończyłem. Wzrusza ramionami i uśmiecha się znacząco.

Więc dalej tu pracujesz? Zaraz… Dokąd teraz idziesz?

Do miasta.

Jak tam chcesz dotrzeć?

Dojdę do głównej drogi. Potem złapię stopa.

Anton trzyma w dłoni szklaneczkę, w której chyba jest whisky, i nachyla się, jakby chciał lepiej słyszeć. Ciepła poświata wprowadziła go w łagodny, optymistyczny nastrój, ma ochotę rozwiązywać cudze problemy. Poczekaj, podrzucę cię, mówi. Chcę z tobą pogadać.

E, dam sobie radę.

A właśnie że cię podrzucę, kolego. Poczekaj minutę.

Znika w środku i szuka na górze kluczyków, co zajmuje więcej czasu, niż powinno. Gdy je w końcu odnajduje, szklaneczka jest prawie pusta, a Lukasa już nie ma. Widzi jego malutką postać daleko na drodze. Dobra, no to spadaj. Anton wznosi ku niemu toast, opróżnia szklankę, po czym ciska ją zamaszyście w weld. Srebrzysty brzęk, krótka satysfakcja.

Nie ma ochoty wracać do zebranych na trawniku ludzi. Myślał o Desirée i żałuje, że nie zebrał się na odwagę, by zaprosić ją na pogrzeb. Dziwny pomysł, to w końcu nie było spotkanie towarzyskie, ale trudno odrzucić takie zaproszenie, i właśnie o to chodziło. Tak czy inaczej, już za późno, zresztą nie jesteś w najlepszej formie, prawda, Anton, pijany, niechętny towarzystwu, gadanie z kimkolwiek to teraz kiepski pomysł, zwłaszcza z byłą, którą się porzuciło bez słowa i ponoć doszczętnie roztrzaskało jej serce. Lecz kiepskim pomysłem byłoby także wrócić do poważnej, otępiałej od modlitw grupy za domem.

Laetitia Simmers i inni kościelni wolontariusze podali na patio herbatę i kanapki, a goście krążą po trawniku i rozmawiają ze sobą. Gdy spojrzeć z okna na piętrze, widać tylko poruszające się bez celu kapelusze, fryzury i łysiny. Za długim rzędem stołów krząta się odziana w kremplinę Laetitia i nalewa herbatę z dzbanka. Parzenie herbaty to jej talent i poprzez kłęby pary uśmiecha się bez radości do brata, który siedzi pod kliwiami i beszta samego siebie. Bip, bip w najważniejszym momencie przemowy!

Anton rozgląda się po pokoju Maniego. Nie zdążyłem zmyć soli nieszczerych łez z zapuchłych powiek, a proszę, grzebię w jego rzeczach. Trochę pieniędzy schowanych pod skarpetkami. Przydadzą się, dzięki.

Ta elektryczna maszynka do golenia też nawet mi się podoba. Ale co to za dziwaczny przedmiot, na Boga?

Podnosi tajemniczą rzecz z szafki przy łóżku ojca. Obraca ją i wącha, wdychając ledwie wyczuwalny, dawny zapach ognia. Kawałek skorupy, chyba jakiegoś gada, może żółwia. Pa zawsze miał obsesję na punkcie zimnokrwistych istot, ze ssakami szło mu gorzej, a szczególnie kiepsko z ludźmi. Odkłada skorupę na miejsce i w tym momencie dostrzega strzelbę. To powtarzalny mossberg odziedziczony po Oupie, nikomu nie wolno go dotykać, ale kto by tam chciał brać do rąk tę siermiężną, brzydką, pozbawioną wdzięku rzecz. Można ją chyba uznać za rodowe dziedzictwo.

Podnosi strzelbę, waży w dłoniach, czuje jej solidność i ciężar. Prawdziwa. O tak. Odbierz mężczyźnie broń, a jego życie należy do ciebie. Prawo granicy. Niech to szlag, Anton, kto układa ci te myśli? Ale broń go ekscytuje, napełnia energią i lękiem. Magiczny ogniowy kij, wielki huk i mały człowiek pada trupem.

Celuje ze strzelby przez okno w odległą postać duchownego Simmersa w ogrodzie. Bam! Pastor pada w tył na klombik, kopie nogami po ziemi. Nie, dam mu żyć. Broń i tak nie jest naładowana, pamięta jednak, gdzie jeszcze wczoraj widział pudełko nabojów. W swoim pokoju wśród chłamu.

Idzie tam i ładuje strzelbę tak, jak robił to Pa. Ka-czink. Nagle z zewnątrz, od strony patio, dobiega go głośny krzyk i jazgot. Podbiega do okna i nie wierzy własnym oczom, stado pawianów pojawiło się dokładnie w chwili, gdy chwycił broń w ręce, to nieprawdopodobne, jak we śnie, ale pamiętaj, Anton, wszystkie zbiegi okoliczności są nieprawdopodobne, na tym w końcu polegają. Tak czy inaczej, pawiany, groźne kudłate zbiry, bezdyskusyjnie tam są i właśnie raczą się kanapkami. Na pogrzebie mojego ojca!

Wyrastamy z natury ku kulturze, ale o swoją wysoką grzędę trzeba walczyć, inaczej natura ściągnie cię z powrotem na dół. Po raz pierwszy od służby w wojsku trzyma w rękach broń. I po raz pierwszy od tamtych czasów strzela. Od dnia, o którym, zgodnie z układem zawartym ze sobą samym, postanowił nie myśleć i nawet teraz nie zamierza. Lecz impuls mocy, kopnięcie i huk natychmiast budzą znajome uczucia i podniecenie.

Wystarczy raz za razem przeładowywać w biegu. Bam! I znowu Bam! Odgłos wystrzału zatacza szeroki krąg, jak ogromne objęcie moich ramion.

Pawiany dawno uciekły. Rozbiegły się dziko po pierwszym strzale, mimo że nie trafił/celował za wysoko. Piski, zamieszanie, potem cisza. Anton jest teraz daleko od domu, na weldzie. Tyle zadowolenia daje ta milcząca przechadzka po własnej chrzęszczącej ziemi. Gniew dmie na wskroś niego jak płomienna wichura. Zapamiętajcie sobie, jestem w domu.

Grupka ludzi na tylnym trawniku jest wstrząśnięta. Nie można ich winić, najpierw pawiany, potem strzały ze strzelby. Przebrała się miarka chaosu, który tu wszędzie panuje. Kolejni goście przepraszają, że muszą już iść, strumyk odchodzących zamienia się w rzekę. Krótko po tym, jak Anton pociągnął za spust, nikogo z przybyłych już nie ma.

Teraz puste patio wydaje się jakby większe, a porzucone w różnych miejscach naczynia i resztki zdają się nabierać specjalnego znaczenia. Została wyłącznie Laetitia oraz jeszcze jedna starsza biała pani. Obie sprzątają. Och, nie przeoczmy Salome, która zmywa talerze i kubki w kuchennym zlewie. Jest w niedzielnych ubraniach, tych samych, które włożyła na pogrzeb, bo także na nim była, czemu o tym wcześniej nie wspomniano, tak, była, stała prawie na samym przedzie, zaraz za rodziną.

Oczywiście rodzina także została, nikt nie ma jeszcze ochoty wracać do siebie. Dom na farmie jest wielki, pomieści każdego, a dzieci spotkały się w komplecie po raz pierwszy od lat. Ludzie nawet w żałobie miewają skłonność, by się roztkliwiać. Patrzcie, jak śmierć nas zjednoczyła! W dodatku jutro w porze lunchu ma przyjść prawniczka i przejrzeć razem z nimi testament Maniego, więc to kolejny powód, żeby zostać.

Następnego popołudnia Cherise Coutts ma na sobie sztuczne futro i kapelusz, bo choć zimowy dzień lśni od chłodu, przyjechała sportowym kabrioletem, otrzymanym w ramach ugody rozwodowej, po której jest co prawda samotna, ale ma co włożyć do garnka. Zajmuje naturalne dla siebie miejsce u szczytu stołu w jadalni, zrzuca swoją wierzchnią warstwę i swobodnym gestem rozdaje tym, co na to zasługują, wizytówki, które trzyma między paznokciami, dzisiaj pomalowanymi na złoto. Cherise A. Coutts (mgr n. praw.), Uniw. Pretorii.

Przyjechała, by objaśnić im treść testamentu Maniego Swarta, dość jednoznaczną. Tylko dwoje beneficjentów nie mogło się dzisiaj stawić, za co przepraszają. Jednym z nich jest pastor, pardon, duszpasterz Simmers, którego zatrzymały sprawy Kościoła, a drugim panna Lorraine Louw, która uznała, że jej obecność byłaby niewłaściwa. Pomruki nieszczerego protestu, Była dziewczyną Pa, Oczywiście, że o tym wiemy, Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, ale kiedy pada suma, jaka jej przypadnie, milkną.

Manie, jak się okazuje, miał mnóstwo różnych interesów i nieruchomości, zarabiał bowiem nie tylko na Mieście Łusek, choć już sam park co miesiąc wciąż przynosi zaskakująco wysokie dochody. Ale uwaga, ta część dokumentu jest istotna. Jeden. Przychody z tych licznych źródeł kontroluje trust, a jego jedynym zarządcą jest osoba, która niniejszym do was mówi. Dwa. Przychód z parku gadów oraz innych interesów Maniego, pełna lista w załączniku, będzie wypłacany po równo wszystkim beneficjentom trustu co miesiąc. Trzy. Beneficjentami trustu są członkowie Pierwszego Zgromadzenia pod wezwaniem Objawienia na Wysokim Weldzie, dalej: Kościół Maniego, jego siostra Marina Laubscher i troje jego dzieci, wszyscy obecni na miejscu. Na szczęście Anton, odkąd usunął drobną, hm, przeszkodę, która mogłaby go zdyskwalifikować, także się do nich zalicza.

Cztery. Farma, obejmująca nie tylko dom, w którym obecnie siedzą, oraz parcelę, na której ów dom stoi, lecz także różne inne przyległe parcele/posiadłości, skupowane przez ostatnie trzydzieści lat, nie należy do trustu. Zgodnie z wolą Maniego wszystko to miało pozostać nienaruszone i służyć jako dom/azyl/baza wspomnianym trojgu dzieciom, dopóki którekolwiek z nich zechce tam mieszkać. Żadna część posiadłości nie może zostać sprzedana, chyba że w razie wielkich trudności finansowych, a i wtedy wyłącznie za jednomyślną pisemną zgodą wszystkich trojga dzieci.

Pani Coutts, której zawodowy sposób bycia bardzo przypomina znudzenie, układa równiutko kartki tymi swoimi złotymi paznokciami. Wszyscy już zdążyli zwrócić na nie uwagę. Ta kobieta ma moc! Patrzy na nich wszystkich z wyższością, jak z wysokiego okna. Jakieś pytania?

Amor, która sprawiała wrażenie, że przysypia, rozbudza się, aby zadać tylko jedno pytanie. Hm, a co z Salome?

Słucham?

Salome, która pracuje na farmie.

Do tej chwili wszyscy w pokoju wydawali się trochę otępiali. Teraz jednak przez grupę przebiega jakaś wibracja, jakby na skraju sceny ktoś uderzył w kamerton.

Znowu ta stara śpiewka, mówi Astrid. Ty ciągle o tym?

Ustaliliśmy to już dawno temu, mówi Tannie Marina. Nie będziemy teraz do tego wracać.

Amor kręci głową. Nigdy niczego nie ustaliliśmy. Gdy zmarła moja matka, Salome nie mogła dziedziczyć ziemi. Jednak prawo się zmieniło i teraz może.

Może, odpowiada Astrid. Ale nie odziedziczy. Nie bądź głupia.

Czy mój ojciec wspomina o niej w testamencie?

A czemu miałby? gwałtownie wtrąca Tannie Marina. Ma ochotę uszczypnąć bratanicę, ale ta jest już na to niestety zbyt dorosła.

Wspomina o kim? pyta prawniczka. Obawiam się, że się pogubiłam.

Moja matka chciała oddać Salome dom, w którym mieszka, razem z parcelą. Ojciec obiecał, że tak zrobi, ale ona go nie dostała.

Cherise Coutts demonstracyjne przegląda leżące przed nią dokumenty, choć pewnie sama je napisała. Tymczasem Tannie Marina sięga za dekolt, wyjmuje chusteczkę, rozkłada ją jak origami i gwałtownie w nią szlocha. Nie obchodzi mnie twoje zdanie, mówi zebranym. Nieważne, jakie masz zasady, musisz trzymać ze swoimi! Nie wszyscy zebrani wiedzą, co przez to rozumie, ale po Marinie widać, że ogarnia ją gorzka satysfakcja, jakby właśnie wygłosiła ostatnie słowo. Chowa chusteczkę z powrotem głęboko między piersi, a wraz z nią wszystkie okazane emocje. Oddawać ziemię służącej! Czyś ty zgłupiała?!

Tak czy inaczej, mówi Cherise A. Coutts (mgr n. praw.), testament nic takiego nie zawiera. Ja też o niczym nie wiem.

No i już, dodaje Tannie Marina, jakby to załatwiało sprawę.

Czas na nas, mówi Ockie, a wszyscy w ciągu sekundy zrywają się i ruszają do drzwi. Już od kilku minut nerwowo spoglądali w tamtym kierunku. Spotkanie się opóźniło i trwało dłużej, niż zaplanowano, jeżeli się nie pospieszymy, spóźnimy się na początek meczu w Ellis Park.

Południowa Afryka! Dawniej ta nazwa była powodem do wstydu, ale teraz znaczy już coś innego. My naprawdę jesteśmy narodem, którego nie ima się grawitacja. Gramy dzisiaj w Johannesburgu w finałach Pucharu Świata i w całym kraju panuje nastrój radosnego podniecenia. Boksi kontra All Blacks, oczy innych krajów patrzą na nas czujnie. Od trzynastej na ulicach prawie nikogo nie ma, sprzedawcy piwa czekają z naszykowanymi zapasami, a wszystkie twarze spowija fluorescencyjna poświata. W salonach, kuchniach i na podwórkach, w restauracjach, barach i na placach ludzie nie oglądają niczego innego poza meczem. Nawet ci, którzy z powodu jakiejś ułomności charakteru nie lubią rugby, dzisiaj patrzą w ekran.

Nie inaczej na farmie. W chacie pracowników ustawiono na skrzynce czarno-biały telewizor i obraz migocze spazmatycznie przed zebraną widownią. W domku Lombardów Salome przygląda się starciu ze zmarszczonymi brwiami. Nie zna reguł, dla niej to tylko hałas i spektakl, a jednak mecz ją przyciąga. Nawet Lukas, który z rękami w kieszeniach stoi w drzwiach, prawie w drugim pokoju, niechętnie zerka w telewizor.

W głównym domu panuje niespokojna, przyprawiająca o mdłości atmosfera depresji wymieszanej z ekscytacją. Alkohol nie pomaga. Mecz jest tak napięty i emocjonujący, że masz ochotę wczepić się pazurami w jakiś mebel. Nasi dobrze się trzymają, nie pozwalają się przebić Jonahowi Lomu, tej górze mięsa, ale sami też nie nacierają, same kopy z kozła, zaciekła wymiana punktów, drobne ziarnka zwycięstw i porażek. Zmagania toczą się siłą woli i ciał złączonych w doskonałej jedni stęknięć i ciężkich oddechów, lecz moc daje im też wielka tęsknota, bo mimo ogromu fizycznej walki rugby to wciąż widowisko duchowe, a gdy wkraczamy w doliczony czas, gdy liczy się każdy centymetr i każda sekunda, o rany, brakuje słów. I wtedy Joel Stransky! I wygrywamy! I nic nigdy nie przebije tej chwili, kiedy wszyscy skaczą i się obejmują, nieznajomi świętują wspólnie na ulicach, auta trąbią i błyskają światłami.

A jednak robi się jeszcze lepiej. To dopiero widok, gdy Mandela w zielonej koszulce Springboksów wręcza puchar Francois Pienaarowi. Moment religijnego uniesienia. Potężny Bur i stary terrorysta ściskają sobie dłonie. Kto by pomyślał. Na Boga. Niejeden widz wraca pamięcią do chwili sprzed zaledwie kilku lat, gdy Mandela z uniesioną pięścią wychodził z więzienia i nikt nie wiedział, jak wygląda. Teraz jego twarz jest wszędzie, dobroduszna, przyjazna, surowa, lecz wyrozumiała, albo uśmiechająca się do nas wszystkich z góry niczym Święty Mikołaj, dokładnie tak jak teraz. Trudno nie uronić łzy, taki piękny jest nasz kraj. W tej chwili wszyscy jesteśmy wspaniali.

Ale gdzie Amor?

Nie wiem, przed chwilą się tu kręciła…

Kto pyta, kto odpowiada, nie wiadomo, czy ktoś w ogóle o coś pytał. Pewne jest jednak, że w tej wielkiej chwili Amor nie ma w pobliżu, wymknęła się i gdzieś poszła. Jak tak się zastanowić, to czy w ogóle tu była?

Jeśli tak, to ją zostawmy. Skoro nie chce być częścią wydarzeń, to nie.

Te słowa wypowiada na pewno Astrid, a może Tannie Marina, ostatnimi czasy są prawie jedną osobą, i w każdym razie nie tylko one tak myślą. Zostawcie ją, skoro nie chce być częścią wydarzeń. Każdy widzi, nie tylko zebrane tu ciocie, że choć Amor pod pewnymi względami znacznie się zmieniła, wciąż trzyma się na uboczu, z dala. Zawsze była i pozostała nietypową dziewczyną, przepraszam, kobietą.

A ona właśnie wbiega po schodach do swojego pokoju, rozmyślając o niedawnym spotkaniu, o tym, co powiedziano, a czego nie powiedziano, i jakie miejsce zajmuje w całej tej sprawie. Sytuacja wydaje się niespójna, trudno odróżnić jedno od drugiego, przez co Amor wikła się w drobne pytania, z których każde domaga się odpowiedzi. Słyszy własne imię wypowiadane wśród pokrzykiwań i gwizdów na dole. Podobny jazgot dochodzi z położonej nieopodal chaty pracowników, ale kakofonia celebracji wydaje się jej odległa jak rozmowa w obcym języku.

Tego wieczora wszędzie odbywają się imprezy i dźwięki zabawy niosą się od czarnego osiedla, lecz na farmie tak huczne świętowanie wydaje się niewłaściwe. Jeszcze nie minęło dość czasu. Picie to jedno, ale z szacunku

muzykę lepiej puszczać cicho. Jednak bez dwóch zdań przynajmniej przez kilka godzin panuje radosny nastrój. A rankiem, gdy cały kraj budzi się na kacu potężnym jak skomplikowane uszkodzenie mózgu, u Swartów jest podobnie, przepełniają ich chciwość i żal, i alkohol. Nad domem zawisa toksyczna, niezdrowa atmosfera, coś między melancholią a nudą, choć dzień jest szkliście klarowny i wieje rześka bryza.

Czyje to teraz miejsce? Odpowiedź nie jest już wcale jasna. Wśród różnych osób, które zostały na noc, panuje pewne zniecierpliwienie, chęć, by ruszać dalej. W rogach domu migocze pobudzenie. Obrzędy zakończone, po co tu jeszcze siedzimy?

Ludzie żegnają się ze sobą na dole, a potem rodzina rozjeżdża się w różnych kierunkach. Ściągnęła ich wielka próżnia, która teraz zmieniła wektor i wszystkich wypchnęła. Astrid i Dean z bliźniakami wracają do domu w Arcadii, Tannie Marina oraz Oom Ockie jadą do własnego w Menlo Park i na farmie zostają tylko Amor i Anton. Zerowy punkt śmierci niknie w dali, nie sposób długo żyć wśród silnych emocji, to zbyt wyczerpujące, a wszystko, co daje się opisać, można także unieszkodliwić. Nadejdzie czas, gdy tragiczne odejście Maniego stanie się zabawną rodzinną anegdotą, Dacie wiarę, nasz rozmodlony tatko wymyślił sobie, że jak zamieszka w szklanym pojemniku pełnym jadowitych węży, to Bóg będzie go chronił, ale, he he, bardzo się pomylił.

Wąż, który ukąsił Maniego, to samica swojego gatunku, która w tej chwili leży w terrarium na widoku zwiedzających gadzi park ludzi. Patrzcie na tę pękatą, łuskowatą paskudę, która aż kipi od jadu, na ten twardy pokrowiec pełen grudkowatej materii. Gdyby odpoczywała sobie gdzieś przy wiejskiej dróżce, zatłukliby ją na śmierć już za sam wygląd.

Dlaczego ten wąż jeszcze żyje? docieka Astrid.

To ona wpadła na pomysł, żeby tam pojechać. Trójka rodzeństwa z wizytą w miejscu pracy Maniego. Celem wycieczki ma być odnowienie więzi między nimi, a przy tym oddanie hołdu Pa. Od pogrzebu minęły już dwa tygodnie i w Astrid narasta poczucie winy. Nie robiła dość dla ojca, nigdy go prawdziwie nie doceniała! Chciałaby to nadrobić na wypadek ewentualnej przyszłej kary, ale nie bardzo wie jak.

Oprowadza ich Bruce Geldenhuys, który był właścicielem Miasta Łusek do spółki z Maniem. Wzdycha smutno, unosi brwi i mówi: Cóż, to zwykły wąż.

Wąż, który zabił człowieka, odpowiada Astrid. Czy psów się nie usypia za coś takiego?

Ja, ale rozumiecie. Bruce jest człowiekiem powściągliwym, nie poddaje się fanaberiom i fantazjom. To nie pies, to wąż. Każdy wie, że węże gryzą. I każdy wie, że są jadowite. Nic na to nie poradzi, że jest kobrą.

Albo szczurem, albo karaluchem, albo zarazkiem. Jesteś, czym jesteś, nawet jeśli przyszło ci być szczurem. Nic się nie da zrobić. Jeżeli przeznaczenie wystawiło cię na nienawistne spojrzenia zza szyby, to będziesz obiektem nienawiści. We wbitych w kobrę oczach Antona i jego dwóch sióstr widać zachwyt wymieszany z obrzydzeniem. Czego ludzie nienawidzą, tego się również boją, przynajmniej tyle ma na pociechę. Nic dziwnego, że pod ich wzrokiem ożywia się, po czym odpełza za kamień, lśniąca od wilgoci, żeby pospać.

Wycieczka okazuje się zaskakująco nieciekawa. Troje dzieci Swartów wałęsa się po parku gadów i ogląda w terrariach zimnokrwiste stworzenia zamknięte w twardych skorupach. Naprawdę ten biznes trzyma nas przy życiu? Lecz tak właśnie jest, park od samego początku był strzałem w dziesiątkę. Choćby w tej chwili dwa autokary zajeżdżają pod wejście i wypada z nich wieloetniczna grupa dzieci na szkolnej wycieczce. Jakie to wszystko urocze i przygnębiające.

Chcecie się napić kawy? pyta Bruce, gdy przechodzą obok kafejki. Nie czuje się swobodnie przy potomstwie Maniego i nawet tego nie ukrywa, więc kiedy odmawiają, wyraźnie widać, że przyjmuje to z ulgą. Żegna się z nimi przy wejściu. Miło było was zobaczyć, wpadajcie, kiedy chcecie. Zawsze tu jestem. Nie ma pokoju dla niegodziwych.

Potem wracają na farmę, Anton prowadzi mercedesa. Jeździł nim codziennie, odkąd przyjechał do domu, i teraz na mocy milczącej umowy samochód właściwie należy do niego. Planuje zwolnić Lexingtona, utrzymywanie go nie ma już sensu. Myśli także, choć to paskudne, żeby wykopać z farmy pracowników. Niech mieszkają na osiedlu i codziennie przychodzą. Odkąd wprowadzono nowe prawa dotyczące najmu

i lokatorów, nigdy nic nie wiadomo, lepiej nie pozwolić na to, by zaczęli zgłaszać jakieś roszczenia do ziemi. Na farmie wiele rzeczy trzeba uregulować, Pa przestawał już nad tym wszystkim panować, a jeśli będą tam mieszkali tylko we dwoje z Amor, to nietrudno się domyślić, na kogo spadnie cała ta robota.

Amor liczy słupy telefoniczne i kiedy miną trzeci, będzie się mogła bezpiecznie odezwać. Raz, dwa, trzy.

Postanowiłam wyjechać, mówi.

Z powrotem do Londynu? pyta Astrid pogodnym tonem.

Nie, jutro jadę do Durbanu.

Jutro? Do Durbanu? To znaczy na wakacje?

Nie, mieszkać.

Mieszkać tam? Siostra i brat patrzą na nią zdumieni. Czy ona tam kiedykolwiek była? Zna tam kogoś?

Moja przyjaciółka Susan tam żyje. Pracuje jako pielęgniarka. Po chwili dodaje: Myślę, że mogę spróbować.

Czego? Pielęgniarstwa? woła Astrid z niedowierzaniem. Ale ty nie możesz zajmować się innymi!

Dlaczego nie?

Astrid nie wie, jak zareagować, aż wspomnienie sprzed lat dostarcza jej odpowiedzi. Nie potrafisz zająć się nawet sobą!

Zajmowałam się sobą przez wiele lat.

Anton przez chwilę szuka właściwego pytania. Dlaczego w ogóle chcesz to zrobić? Możesz zostać tu, na farmie, dostawać co miesiąc wypłatę z trustu Pa…

Tak, mogłabym, mówi Amor. Myślałam o tym. Ale muszę jechać.

To bardzo proste, zupełnie jasne. Podjęła decyzję i ją oznajmiła. Jutro wyjedzie właśnie do Durbanu, żeby zostać pielęgniarką.

Jeszcze zobaczymy. Mam na myśli, że zawsze możesz wrócić, mówi Anton.

Tak. Amor twierdząco kiwa głową, lecz patrzy w okno.

Astrid milczy, chociaż w jej głowie migoczą małe napisy, jak te pod filmami. Nic dziwnego, uważa się za lepszą od nas. W porządku, niech

jedzie, skoro nie chce być częścią wydarzeń.

Następnego dnia Anton zabiera ją na dworzec, skąd odjeżdża dalekobieżny autokar. Amor pakuje plecak do bagażnika, siada w aucie obok brata i ruszają mniej więcej wspólnie przez krajobraz. Nie rozmawiają zbyt wiele. Amor wysiada, żeby otworzyć i zamknąć bramę, po czym zaczynają jazdę w stronę miasta przez środek długiego, bladego zimowego popołudnia.

Ten kawałek gruntu jest bez wartości, odzywa się nagle Anton.

Amor od razu pojmuje, o czym jej brat mówi, jakby kontynuowali dawną rozmowę. Skoro nie ma wartości, to czemu jej go nie oddać?

Bo Pa by tego nie chciał?

Ale Ma chciała. A on obiecał, że to zrobi.

Ty tak twierdzisz. Nikt inny nie słyszał tej obietnicy.

Ale ja słyszałam, Anton.

Taśma drogi przesuwa się z sykiem pod oponami, pociągając za sobą scenerię.

Sądzisz, że Salome ma tak źle w życiu? pyta w końcu Anton.

Nie najlepiej.

Ma dom. Może w nim mieszkać do śmierci. Możemy to zalegalizować. Spiszemy umowę, że ma prawo tam zostać dożywotnio. Czy to wystarczy?

Nie. Amor kręci głową. Fascynuje ją upór brata, a on tę fascynację odwzajemnia.

Możemy jej też zapewnić pracę. Damy jej gwarancję zatrudnienia, aż się zestarzeje, a potem emeryturę i dach nad głową. Co ty na to? Wielu ludzi tego nie ma.

Wiem.

A nawet jeśli to wszystko zrobimy, nie mamy pewności, że jej pomożemy. Widziałem raz jej syna, tego Lukasa. Wiesz, że Pa płacił za jego edukację, bo chłopak niby taki bystry, ale, jak się okazuje, jeszcze nie zaliczył matury. Wpakował się w jakieś kłopoty i go wydalili. Pracuje na farmie.

Amor kiwa głową. Tak, słyszałam.

Rozumiesz, ludzie nie zawsze biorą to, co im dajesz. Nie każda szansa otwiera możliwości. Czasem to tylko strata czasu.

Tak, odpowiada. Ale obietnica jest obietnicą.

Autokar czeka już przed dworcem z uruchomionym silnikiem. Przy drzwiach ustawiło się w kolejce kilkoro innych pasażerów i w każdym z nich Anton rozpoznaje pewne wspólne cechy, brud, desperację, za mało pieniędzy. Tylko ludzie z problemami, od których odwróciło się szczęście, podróżują w taki sposób i Antonowi nieoczekiwanie robi się żal młodszej siostry, kiedy się żegnają.

Masz, mówi. Weź to. Podaje jej kilka banknotów.

Nie potrzeba, dzięki. Radzę sobie. Jednak nagle mocno obejmuje brata, a on odwzajemnia jej uścisk. Ich pierwsze zetknięcie od lat.

Anton jest w bojowym nastroju, przed wyjściem z domu wypił lampkę wina i w końcu zebrał się na odwagę, by zadzwonić do Desirée. Z jego złotych ust wypłynęły nawet właściwe słowa, mówił, że od powrotu do domu wciąż o niej myśli, tak samo zresztą, jak myślał przez te wszystkie stracone lata. Nie rozmawiał z nią ani razu w tym długim okresie, gdy żył jako dezerter, więc spodziewał się jadu i inwektyw, na które zasłużył, jednak ona wydawała się zadowolona, nawet uszczęśliwiona, że go słyszy. Czy mógłby przyjść? Mógłby, może, już jedzie, niech tylko pożegna się z Amor, i piżmowa rosa zaplanowanej schadzki zaczyna zwilżać jego ciało.

Kiedy w końcu przestają się obejmować, czuje się oszołomiony i szczodry, mówi więc siostrze: Wiesz co, jakoś rozwiążemy sprawę domu Salome.

Naprawdę?

Pewnie, odpowiada z uśmiechem. To Południowa Afryka, kraina cudów. Obmyślimy jakiś plan.

Ostatni pasażerowie wsiadają do autokaru, kierowca jest gotów ruszać. Amor się waha, ale Anton ponagla ją gestem. Pamiętaj, możesz wrócić, kiedy tylko zechcesz!

Gdy autokar powoli odjeżdża, ona patrzy na niego przez przyciemniane szyby. Przechylona sylwetka, jedno ramię wyciągnięte w górę. Wreszcie

Anton odwraca się szybkim ruchem, a miasto zamyka się nad nim jak brudna brązowa rzeka.

Amor rozsiada się w fotelu, szczęśliwa po raz pierwszy od wylądowania. Salome dostanie swój dom. Głaz został odepchnięty sprzed wejścia do jaskini. Blade światło grzeje ją przez szybę, kaskada suchych żółtawych wzgórz, na których leży miasto, przesuwa się powoli. Do widzenia, stacjo kolejowa, do widzenia, pomniku Voortrekkera! Koła hurgoczą pod nią jak gigantyczne serce bijące w samym środku rzeczywistości. Salome dostanie swój dom. Amor zamyka oczy.

ASTRID

Po powrocie ze szpitala spostrzega, że na automatycznej sekretarce jest wiadomość od zaniepokojonej Astrid. Rany, weź kup sobie komórkę jak normalny człowiek. Zadzwoń, chcę ci coś powiedzieć.

Po głosie siostry Amor poznaje, że sprawa nie jest pilna. Chodzi raczej o coś, co dotyczy tylko jej samej, i mimo że dla Astrid to pewnie ważne, Amor nie ma teraz siły, by się tym zajmować. Później. Odbędzie tę rozmowę później.

Stara się wykroić z każdego dnia trochę czasu wyłącznie dla siebie, godzinę czy dwie po końcu zmiany. Rano czy wieczorem, rytuał ma taki sam. Napełnia wannę i stawia na jej brzegu zapaloną świeczkę. Następnie zdejmuje wszystkie części pielęgniarskiego ubioru, uważając, by zrobić to we właściwej kolejności, w przeciwnym razie musiałaby się z powrotem ubrać i zacząć od nowa. Gdy leży w ciepłej wodzie, a w pomieszczeniu zmienia się światło, może się zwykle na chwilę zapomnieć. Albo stać sobą tak całkowicie, że wszystko inne znika, w tym ciężki, długi dzień, który właśnie przeżyła. Lecz tego wieczora jest niespokojna, w sercu rzeczywistości coś pobrzękuje.

Później przychodzi Susan. To, powiedzmy, duża kobieta o krótkich czarnych włosach. Amor, już po kąpieli, przygotowuje w szlafroku kolację. Całują się bez większej pasji.

Gdy jedzą przy kuchennym stole, znowu dzwoni Astrid. Płaczliwy ton z sąsiedniego pokoju. Gdzie ty jesteś, do diabła? Cały dzień próbuję. Oddzwoń, muszę ci coś powiedzieć.

Nie odbierzesz? pyta Susan.

Amor kręci głową. Nawet w tak drobnym geście widać zmęczenie. Zadzwonię później.

Co się stało?

Nie wiem.

Straciłaś kolejnego pacjenta?

Tak. Ale to nic dziwnego, prawda? Przynajmniej na oddziale HIV.

Fakt, mówi Susan. Na takim oddziale to nic dziwnego.

Trzyma Amor za rękę, kiedy jedzą. Nie rozmawiają, jest jednak tak, jakby wciąż toczyły rozmowę, tę samą, którą odbywały już wiele razy. Susan była kiedyś z Amor na jednym oddziale, lecz kilka lat temu odeszła, bo praca ją przygnębiała. Teraz jest konsultantką do spraw zdrowia w wielkiej firmie. Sądzi, że to zajęcie nie służy Amor, i nie rozumie, czemu ta go nie rzuci, przecież ewidentnie płaci za tę pracę wysoką cenę.

Większość ich rozmów należy już do przeszłości. To już ten etap, o czym obie wiedzą, lecz tej kwestii także nie poruszają. Mimo to ich dłonie wciąż splatają się miękko na blacie stołu.

Stół stoi w skromnym dwupokojowym mieszkaniu w durbańskiej dzielnicy Berea. To miejsce Susan. Wygląd domu i toczące się w nim życie wywołują wrażenie zakorzenienia, trwałości. W salonie, gdzie Amor wkrótce potem siada, by oddzwonić do siostry, stoi stara wygnieciona sofa z solidnie zużytymi poduchami. Takie są też strony książek na półkach i dywan. Nic w tym pomieszczeniu nie należy jednak do Amor, pożyczyła również wrażenie trwałości. Dawniej o tym nie myślała, ale ostatnimi czasy myśli coraz częściej.

Astrid odbiera natychmiast, podenerwowana. Gdzie ty byłaś? Dzwoniłam i dzwoniłam…

Byłam w pracy, mówi Amor.

Astrid prycha do słuchawki. Odkąd wyszła za bogatego mężczyznę, myśl o pracy, zwłaszcza zarobkowej, wydaje się jej niesmaczna. Już prowadzenie domu i wychowywanie dzieci jest męczące, choć w tym wypadku do pomocy ma się służbę. Według Astrid jej młodsza siostra sama wybrała życie służącej, i po co? Żeby się ukarać?

W każdym razie, mówi, chciałam ci opowiedzieć o inauguracji.

O czym?

Inauguracji prezydenta Mbekiego. Już kilka tygodni temu mówiłam ci, że dostaliśmy zaproszenie, pamiętasz? O wszystkim zapominasz.

A, tak, pamiętam, odpowiada Amor, choć wymazała tę kwestię ze świadomości i przypomniała sobie dopiero teraz.

Jake, mąż Astrid, jest partnerem biznesowym znanego polityka, nie wymieniajmy nazwisk, nie ma co plotkować, ale to popularny, wpływowy facet, a do tego oczywiście czarny, a to się obecnie liczy. Doszło do tego szczęśliwym trafem, mieszkają po sąsiedzku na tym samym grodzonym osiedlu, obaj dostrzegli szansę na dobry biznes i z niej skorzystali. Robią bardzo dużo pieniędzy, ochrona to teraz świetny interes, przestępczość rośnie lawinowo. I jeśli Astrid i Jake dostali to zaproszenie przez wzgląd na biznesowe koneksje, to co z tego, tak już jest na świecie, nie tylko tutaj, wszędzie liczy się, kogo znasz.

To był najbardziej ekscytujący dzień w życiu Astrid! Chce opowiedzieć Amor, tak jak opowiadała już wszystkim innym, o tłumie ludzi w Union Buildings, o ich strojach i kapeluszach! To sławni ludzie, mówię ci. Ten aktor, nie mogę sobie przypomnieć nazwiska, ale rozpoznałabyś go, jakbyś go zobaczyła, i Fidel Castro, i Kaddafi! Większość z nich była tylko sylwetkami w oddali, ale zamontowano wielkie ekrany i pokazywano tych ludzi w powiększeniu.

Inaugurację wyznaczono dokładnie na dziesiątą rocznicę ustanowienia demokracji w Południowej Afryce i w tłumie widać było szczęśliwą, swobodną mieszaninę ras, a wszyscy tacy… sama nie wiem, jakby nawilżeni, gładcy. Bądźmy szczerzy, to ludzie, którym nie bez powodu podoba się ich życie. Wszyscy są bogaci, ale czy to ma znaczenie, jeśli stoją po właściwej stronie? Całe widowisko było takie inspirujące i pokrzepiające, muzyka na żywo, jaskrawe afrykańskie kolory, przelot samolotów, oczywiście partii się należy, właśnie zdobyła ogromną większość głosów, może sobie pozwolić na samozadowolenie.

Ja nie wiem, mówi Astrid, co myśleć o Mbekim. Ma tylko dwie miny, zauważyłaś? Jak robi jedną, to twarz zamienia mu się w maskę, a jak drugą, tę z uniesionymi brwiami, to wygląda na zaskoczonego.

Przez okno salonu Amor widzi wąski pasek ciemnego, tajemniczo szeleszczącego ogrodu za domem, a dalej światła miasta i portu. Noc jest cicha, zimna i przejrzysta, w powietrzu w ogóle nie ma wilgoci. Doskonała jesienna pogoda. Najlepsza pora roku w tej części świata.

Wygłosił świetną przemowę, mówi Astrid. Przyznam, że trochę się wyłączyłam, ale bardzo dobrze potrafi opowiadać o nadziei.

A te chóry, te orkiestry, tyle imprez… Taka świąteczna atmosfera, w Pretorii nigdy nie było tak luzacko, nie poznałabyś miasta…

I powiem ci coś jeszcze. Astrid zniża głos, wydaje się, jakby była tuż obok ciebie, nachylona do szeptu. Podczas jednego z tych przyjęć, na kolacji w Teatrze Narodowym, widziała Mbekiego z bliska. I musi przyznać, że mimo tych dziwnych rzeczy, które wyczynia z brwiami, wygląda naprawdę dobrze. Wydaje się jej, jest prawie pewna, mówi siostrze, że ją zauważył.

Co?

Mbeki. Popatrzył na mnie, dzieliło nas może półtora metra. I sama nie wiem, ale to było tak, jakby prąd przeszedł między nami.

Och, mówi Amor.

Chyba chciał mnie poprosić o numer telefonu, ciągnie Astrid. Nie mógł tego zrobić przy tylu ludziach. Jego żona też chyba była w tłumie. Ale myślę, że chciał.

No, no, mówi Amor. Życie na pełnych obrotach. Nie wie, co jeszcze dodać, bo powinna zazdrościć Astrid, a nie zazdrości.

Lecz Astrid już wyczuła, że jej mała anegdota nie wywarła zamierzonego wrażenia, i zaczyna kierować rozmowę małymi słówkami ku końcowi. Sama nie wiem, po co się trudziłam, moja siostra nie ma pojęcia o takich sprawach jak status społeczny. Zresztą nie ma pojęcia prawie o niczym. Zawsze taka była, chociaż mnie się wydawało, że tylko udaje.

Susan już śpi, gdy Amor wchodzi do sypialni. Gdyby nie spała, dowiedziałaby się o rozmowie z Astrid. A może nie. Ostatnio Amor nie opowiada już jej o wszystkim, to nie zawsze im służy. Jednak położyć się obok towarzyszki życia w ciepłym mroku, objąć ją ramieniem i poczuć ludzkie serce bijące w dłoni, to napełnia otuchą, głęboką, cichą otuchą. Nie ma większego znaczenia, czy obejmujesz akurat Susan. Po prostu jest ciało, ludzka obecność. Nie jesteś sama.

Bo rankiem musisz wstać, włożyć ubiór pielęgniarki, wszystkie elementy we właściwej kolejności, i wrócić do szpitala. Na oddział, gdzie

pracujesz. Gdzie codziennie, dosłownie z dnia na dzień, przybywa chorych i umierających, których potrzebami trzeba się zająć, ale się nie da, bo człowiek o dwóch minach, który może chciał, a może nie chciał zdobyć numeru twojej siostry, na dobrą sprawę nie wierzy w ich chorobę.

Susan ma rację, ta praca jej nie służy. Ma rację, że Amor czuje jakiś pociąg do tego zajęcia i kompulsywnie szuka cierpienia, któremu próbuje ulżyć. Bo to się nie uda, akurat tej bitwy nie można wygrać. Więc po co raz za razem walić głową w mur, którego nic nie rozbije? Czy chcesz się zranić?

Może o to właśnie chodzi. Może w ten sposób wymierzam sobie karę.

Lecz już wypowiadając te słowa, Astrid wie, że to nieprawda. Klęczy w konfesjonale po raz pierwszy od pół roku i straciła talent do mówienia prawdy.

Mniej więcej rok temu zaczęła romans z partnerem Jake'a, politykiem, którego nazwiska teraz tym bardziej nie zdradzimy, nie ma co plotkować, i podejrzewa, że to właśnie dlatego, a nie z powodu relacji biznesowych, dostali zaproszenie do Union Buildings. No ale co z tego, przecież jeśli się zastanowić, to system zawsze tak działał, przysługa za przysługę, a ostatnio życie bardzo dobrze się układa Jake'owi i Astrid Moodym. Jej mąż właściwie powinien być jej wdzięczny za ten romans, jeśli kiedykolwiek się dowie.

Oczywiście nie z tego powodu się zaangażowała! Otóż Astrid uważa go, to znaczy tego polityka, za wprost niewyobrażalnie seksownego, jej nozdrza drgają, gdy przechodzi obok, a jej ciało chce się przed nim otworzyć. Nie sądziła, że można się tak czuć przy czarnym mężczyźnie! W każdym razie ona nigdy tak się nie czuła. Wprost przeciwnie, czarni zwykle nie wydawali się jej atrakcyjni, ale ostatnio zauważyła, że stali się bardziej pewni siebie, ubierają się i strzygą na własny sposób, i musi przyznać, że to robi wrażenie. Poza tym nie mają uprzedzeń wobec pulchniejszych kobiet, które czas największego rozkwitu mają już za sobą, i chętnie z nią flirtują.

Mimo to pomysł, żeby całować się z jednym z nich, był zbyt śmiały, nie zrobiłaby czegoś takiego, aż pojawił się on. Wyróżnia się w tłumie, sprawia, że inaczej patrzysz na świat. Jego mięśnie przesuwające się pod

gładką ciemną skórą, spojrzenie oczu spod ciężkich powiek. To, jak trochę niepoprawnie wypowiada twoje imię, kładąc akcent na drugą sylabę. Jego kutas, tak solidny, a nie różowy i łamliwy jak penisy białych. Jego złoty rolex na stoliku przy łóżku. Drobna, miękka tarka języka.

To się musi skończyć. Dałaś mi słowo!

Wiem, że musi, mówi. Po czym szybko dodaje: Ale dlaczego?

Dlaczego? Ty jeszcze pytasz. Nie widzisz, jak daleko odeszłaś?

Od czego odeszłam, Ojcze? Nie sprzecza się, lubi wzniosły ton, jaki przybiera duchowny, lubi ten styl pełen ozdobników jak wnętrze jego kościoła.

Od właściwej ścieżki, mówi ksiądz i wzdycha. Astrid. Astrid. Sądziłem, że skończyłaś z tym pół roku temu, po naszej rozmowie.

Tak, Ojcze.

Zza kratki widzi tylko ruchomy kształt, więc polega wyłącznie na głosie księdza, zna go jednak na tyle dobrze, by wychwycić nieznaczne obniżenie tonu. Intymna nuta. Ojciec Batty prowadził ją, gdy zmieniała wiarę, a później wyszła za Jake'a, i od tamtego czasu pozostają w bliskich relacjach. To jemu pół roku wcześniej wyspowiadała się z romansu i jego nieczystych konsekwencji, a on kazał jej obiecać, że z tym skończy. Naprawdę chciała, obiecywała szczerze, ale nie skończyła, w ogóle nie próbowała. Okazało się, że nie jest na to gotowa. Więc od tamtego czasu trzymała się z dala od kościoła, by uniknąć dokładnie takiej sceny, jaka się właśnie rozgrywa, oraz dręczących macek winy. Nieunikniony błąd!

Jest tu tylko dlatego, że gdy opowiedziała Amor o inauguracji, usłyszała wyraźną dezaprobatę w głosie siostry. Astrid bardzo zależy na aprobacie innych i ostatnio się martwi, że nawet Bóg może jej nie aprobować.

I ty, i Jake dzieliliście się ze mną swymi zmaganiami, mówi Ojciec Batty. Otwieraliście przede mną serce i opowiadaliście o swoich problemach. Dawniej, kiedy byłaś z… no…

Deanem, mówi i czuje kolejne ukłucie winy. Deanem, który teraz mieszka w Ballito z nową żoną Charmaine. Biedny człowieczek, tak go urządziłam. To były dla mnie stracone lata, Ojcze.

A jednak tu jesteś i powtarzasz błędy.

Ale to nie to samo! Zastanawia się, co jest inaczej, a to prowadzi ją do kolejnej rozterki. Czy sądzisz, Ojcze, że cudzołóstwo z czarnym jest gorsze?

Ojciec Batty ma złożone i sprzeczne uczucia wobec tej parafianki. Spędził w jej towarzystwie wiele godzin, więcej niż z typową konwertytką, bo też ma ona szczególnie wielkie potrzeby. Ojcu Batty'emu przyszło wręcz do głowy, że Astrid jest niczym piec, który pochłania wszystko, co się weń wrzuci, a potem domaga się więcej. Dochodzi do wniosku, że aby zgasić ten ogień, musi zastosować surowe metody.

Cudzołóstwo z dowolną osobą to grzech śmiertelny! Rozmawialiśmy o tym na zajęciach z katechizmu, czemu muszę ci przypominać? Przyrzekłaś mi, że już skończyłaś z takim zachowaniem. To była oznaka słabości waszego małżeństwa, powiedziałaś. Obawiam się, że to raczej oznaka twojej słabości.

Astrid wreszcie zaczyna łkać. Ta chwila zawsze ją oczyszcza. Katolicyzm pasował do jej temperamentu i łatwo na niego przeszła, czy też raczej nawrócenie wydawało się jej zupełnie naturalne. Nowa wiara, którą wyobraża sobie jako płaszcz przeciwdeszczowy, którym się szczelnie otuliła, nie powstrzymuje jej od postępków motywowanych lękiem czy pożądaniem, ale zapewnia możliwość późniejszego oczyszczenia. Dostanie pokutę, wskazówka karmicznego zegara przesunie się znowu na zero, a ona przysięgnie księdzu, że zrobi wszystko, co jej poleci, i że to już ostatni raz, naprawdę ostatni, kiedy zboczyła z właściwej ścieżki, i będzie mówić naprawdę szczerze.

Jednak tego ranka Ojciec Batty ma dość. Niekończący się cykl pokuty i powtarzania grzechu niczemu nie służy. Musisz z tym skończyć dzisiaj!

Rozumiem, Ojcze.

Na pewno? Powiedziałem ci ostatnim razem, że musisz to zrobić, żeby móc przyjąć komunię.

Od tamtego czasu nie przyjmowałam komunii.

I co, jesteś z tego dumna? Timothy Batty jest człowiekiem po sześćdziesiątce i gra w tę grę, przepraszam, spełnia powołanie od młodzieńczych lat. Jego moralne odkrycia zdążyły już się zestalić

w sztywnych, nawykowych formach. Niezbyt obchodzi go słabość charakteru Astrid, martwi się jednak, że ta kobieta wymyka mu się z rąk. Ostatnio była u spowiedzi przed sześcioma miesiącami, nie odpowiadała na jego telefony i teraz nadszedł moment, by pokazać siłę. Dziś nie otrzymasz pokuty.

Ale się wyspowiadałam!

To nie jest prawdziwa spowiedź, ponieważ wciąż pozostajesz w stanie grzechu. Nie okazujesz skruchy.

Okazuję, Ojcze, tylko jestem słaba. Mała kabinka robi się nagle ciasna, Astrid nie może oddychać, chce uciekać. Skończę z tym, Ojcze, mówi z nadzieją, że to przyspieszy sprawy i będzie mogła się stąd wydostać.

Zobaczymy. Ojciec Batty to człowiek blady i lekko piegowaty, lecz niektóre zakamarki jego wyobraźni żywo pracują. Od czasu do czasu przywołuje w myślach obraz Astrid, zawsze bardziej przyjemny niż widok jej prawdziwej postaci, bo lubi, jak kobieta jest pulchna, to oznaka końskiego zdrowia. Nigdy by jej nie dotknął, na pewno nie ręką. Ale człowiek może pomarzyć. Bóg ma wgląd w twoje serce, mówi jej poważnym tonem. Zawsze o tym pamiętaj. Siebie możesz oszukać, ale Jego nie oszukasz nigdy.

Nie chcę Go oszukiwać!

Dobrze. Bardzo dobrze. A teraz idź i rozmyślaj o tym, co zrobiłaś i jak naprawić małżeństwo. Zetrzyj tę plamę ze swojego życia, a gdy będziesz gotowa, wróć po rozgrzeszenie.

Wychodzi z konfesjonału niespokojna, w gorszym stanie, niż gdy do niego weszła. Nie dostała pokuty, ciężar jarzma się nie zmniejszył! Wie, że powinna się poprawić, ale chyba nie umie, ot, typowy ludzki dylemat, częsty nie tylko w życiu uczuciowym. Nie powinna była iść do księdza nieprzygotowana. Sama nie wie, co chciała tam osiągnąć, na pewno nie coś takiego. A teraz przeżywa kryzys.

Ma jeszcze parę godzin, zanim trzeba będzie odebrać dzieci ze szkoły, i żeby się pocieszyć, jedzie do Menlyn. W galerii handlowej zawsze czuje się najmniej nieszczęśliwa. Zagęszczone fasady sklepów i ludzkie masy przelewające się niczym kule w lampie z lawą otaczają Astrid i podnoszą na

duchu. W takim miejscu na pewno nie stanie ci się nic złego. Chociaż raz widziała, jak w alejce z żywnością dla zwierząt w supermarkecie pewien człowiek dostał jakiegoś ataku, może nawet zawału serca. Pomyśleć tylko, ostatni widok w życiu, torba psiej karmy! Ale i tak właśnie tutaj czuje się najbezpieczniej.

Lęki Astrid nie rozwiały się z upływem czasu. Jeśli już, to tylko się pogłębiły. Gdy czarni przejęli władzę, wprost truchlała ze strachu, ludzie gromadzili jedzenie i kupowali broń, wydawało się, że nadszedł koniec. Tymczasem nic się nie stało, wszyscy żyli jak dawniej, tylko zrobiło się przyjemniej, bo zapanowała atmosfera przebaczenia i ustały bojkoty. Niezbyt fajnie jest tak ciągle martwić się o własne bezpieczeństwo, ale na plus zaliczyć można to, że interes Jake'a rozwija się jak szalony. Nigdy nie było lepiej. Nie trzeba dodawać, że w domu mają system ochrony z najwyższej półki.

Wyprowadza załadowany wózek na parking i przepakowuje torby do bagażnika. Dobrobyt i obfitość! Czasami wymyśla powody, żeby pojechać na zakupy, to tak miłe przeżycie, zawsze czuje się rozczarowanie, kiedy trzeba już wycofać się z miejsca parkingowego i ustawić w kolejce do szlabanu przy wyjeździe. Z miętową landrynką przyjemnie postukującą o zęby wyjeżdża spod galerii handlowej i staje na końcu najbliższego rzędu aut czekających na zmianę świateł.

Astrid zazwyczaj ma oczy dookoła głowy, ale teraz nadal jest roztrzęsiona po tym, co się wydarzyło w konfesjonale, dlatego nie zachowała czujności. Trudno inaczej wyjaśnić to, że jakiś obcy mężczyzna zdołał nagle wsiąść na miejsce pasażera. Patrzy na niego zdumiona. Choć twarz ma kostropatą i pokrytą bliznami, jest dobrze ubrany i opanowany. Uśmiecha się nawet, jakby czekał tu na nią w umówionym miejscu. Cześć, wita się, pokazując pistolet.

Kim ty jesteś? pyta Astrid. Czego chcesz?

To nie są bezsensowne pytania, choć w pewnym sensie Astrid czekała na tego człowieka przez całe swoje życie.

Mam na imię Lindile, odpowiada mężczyzna. Chcę, żebyś ruszyła.

Ma na imię Lindile, ale ma też inne imiona, takie jak Hotstix i Killer, taki to z niego typ. Obecnie mieszka całkiem niedaleko, ale żył już w wielu

miejscach, nigdzie nie bawi długo, przyziemia na moment, a potem odlatuje, odjeżdża, dryfuje przez tożsamości i miasta, a może to one przepływają przez niego jak prąd powietrza. Nie ma w nim nic trwałego, nic, co pozostaje.

Strach wreszcie dotarł do Astrid wraz ze świadomością, że to, co nie ma prawa się zdarzyć, właśnie się dzieje. I to jej.

Jedź, mówi Lindile, a ona jedzie.

Nie obchodzi go ta rozhisteryzowana biała kobieta, jest tylko środkiem do celu, a cel to range rover, którego prowadzi. Przyszło zlecenie na dokładnie taki pojazd, zgadza się nawet kolor, szary metalik, i traf chce, że za kółkiem siedzi właśnie ona. To nic osobistego. Chociaż jeśli nie przestanie tak zawodzić i bełkotać, może zacząć przeszkadzać, a wtedy będzie musiał porzucić dobre maniery. Wciska jej lufę w bok i mówi, że nic jej się nie stanie, jeżeli zrobi, co każe. Wie, że kobieta właśnie to chce usłyszeć, od razu trochę się uspokaja.

Każe jej wjechać w opustoszałą boczną uliczkę i wysiąść. Co ze mną zrobisz? pyta ona płaczliwie. Zamknij się, rozkazuje. I słuchaj. Dlaczego ludzie zawsze chcą wiedzieć, co z nimi będzie? Tacy niecierpliwi. Kobieta ma na sobie trochę drogiej biżuterii, naszyjnik, kolczyki i obrączkę ślubną. Uwalnia ją od tego ciężaru oraz telefonu Sony Ericsson, fajny, po czym wpycha ją do bagażnika. Żeby zrobić miejsce, wyjął torby z zakupami i zostawił je przy drodze. Tyle jedzenia, szkoda, zmarnuje się. W ciemnej wnęce kobieta kuli się jak niemowlę. Zawsze tak robią.

Podoba mu się jazda, ciężki samochód tak łatwo się prowadzi. Biali potrafią żyć! Od wczesnego ranka pił piwo, palił daggę i brał mandrax, więc teraz jest jednocześnie wyluzowany i podekscytowany, krąży w nim burzliwe poczucie pełni. Wkrótce może się z niego wylać. Chciałby odwiedzić pewną koleżankę, to niedaleko, może mógłby zajechać teraz, jego umysł skłania się w tamtym kierunku, aż łomoty i jęki z bagażnika przywracają go do rzeczywistości i sprawy, którą trzeba się zająć. Jeszcze nie koniec. Ktoś mógł spostrzec, jak wsiadał do samochodu, może go właśnie szukają. Musi dostarczyć towar, odebrać pieniądze i zniknąć.

Nic, czego by wcześniej nie robił. Za każdym kolejnym razem trochę łatwiej niczego nie czuć. Ale w krytycznych chwilach zdarza mu się

zawahać, to słabość charakteru, którą musi przezwyciężyć, i kiedy wreszcie kobieta patrzy w lufę jego broni, w zwężającą się średnicę swojego życia, to on wściekle klnie, a nie ona. Dalej, tchórzu, zrób to, zrób to! Nagle zmienia ton, bo zauważa coś, co wcześniej przegapił.

Dawaj to, mówi zmienionym głosem.

Co?

Bransoletka, dawaj, dawaj.

Kobiecie ledwie udaje się ją zdjąć, tak bardzo się trzęsie. To ładna rzecz z niebieskich i białych paciorków, choć gdy się bliżej przyjrzeć, niezbyt wiele warta. Rozczarowująca. Wrzuca ją do kieszeni. Stuk, dzyń. Dość. Prawie robi mu się jej żal, ale tylko prawie. Nie może zostawić świadka. Przykro mi, mówi. I zaraz potem sprawa jest zamknięta, skończona głośno i gwałtownie, tak jak ta kobieta.

Stoi na skraju wielkiego parkingu na pustkowiu, dokąd już wcześniej przyjeżdżał. Nad jego głową wznosi się nieczynny, niemy jak przyszłość ekran baru drive-in, wyblakły od padających nań latami deszczów. Wszystko pokrywa brązowy nalot kurzu i jaskrawe ubrania kobiety odcinają się w tym jednorodnym krajobrazie jak plama farby. Leży pod ścianą budki, w której dawniej siedział kasjer. Popycha ją czubkiem buta trochę głębiej w cień. Następnie wsiada do samochodu i szybko odjeżdża. Najniebezpieczniejsze chwile, najbliższe dokonanego czynu. Nie chcesz, żeby cię zauważyli w takim momencie.

Dostarcza auto ludziom, którzy je zamówili, zatrzymuje sobie drobne fanty, po czym inkasuje pieniądze, sporą sumę jak na niego. Po robocie lubi się napić w pobliskiej knajpie. Alkohol podsyca przygasający rausz i w pewnym momencie rozmazanego, zawiesistego popołudnia Lindile wkłada rękę do kieszeni, skąd wyjmuje ukradzioną bransoletkę. Twarz kobiety staje mu wyraźnie przed oczami, wznosząc się nad horyzontem myśli jak księżyc w pełni. Biedna Astrid! Choć nie zna jej imienia, zostało w nim zasiane ziarenko jej strachu, więc musi je zgnieść, zdeptać butem, zanim zapuści korzenie. Nie oglądać się wstecz.

Oddaje bransoletkę kobiecie, która czasem płaci seksem za tanie świecidełka. Lecz gdy ta zakłada ją i wywija ręką, by nacieszyć się kolorami, niebieski biały niebieski, on nagle traci zainteresowanie

i wychodzi. Patrząc w przyszłość, a przynajmniej w ziemię pod stopami, Lindile/Hotstix/Killer chwiejnie oddala się drogą, poza kadr, nie zostawiwszy niczego po sobie.

Zostawiwszy po sobie Astrid. Tego ranka żyła, oddychała, płynęła w niej krew, w głowie powstawały myśli, była istotą z planami, łagodnym przypadkiem egzemy po wewnętrznej stronie przedramienia i zaplanowaną kolacją z przyjaciółmi. Być może podobną do was. Teraz jest kłębkiem włosów i ubrań pod ścianą. Już zaczyna się rozpadać. Trudno dopatrzyć się w niej człowieka, jeśli się uważnie nie przyjrzysz.

Stary człowiek przygląda się uważnie i wreszcie pojmuje. Ubrania jak szmaty, pochylona sylwetka. Nieprzypadkowo trafił do tego porzuconego baru, przy którym wystają z asfaltu rzędy samotnych tyczek. On tu mieszka, mieszka w budce kasjera czy raczej czymś, co kiedyś nią było. Zadomowił się tam jakiś rok temu, może dwa, czas nie ma dla niego kształtu.

Po chwili ogarnia go panika. A jeśli to jego oskarżą? Często tak robią, oskarżają go o rzeczy, o których nie ma pojęcia. Najlepsze wyjście, jakie przychodzi mu do głowy, to powiadomić jakąś białą osobę.

Na skraju miasta leży tani motel ze sklepem monopolowym, gdzie czasem robi zakupy, i menedżerka słucha przed drzwiami jego relacji z narastającym zaniepokojeniem. To na pewno biała kobieta? O mój Boże! Dzwoni na policję i wkrótce potem dwóch funkcjonariuszy, kwiat Południowej Afryki, konstable Olyphant i Hunter, przyjeżdżają, by go przesłuchać.

Każdy wie, co dalej, pytania, notatki, przejazd na miejsce zabójstwa, więcej notatek, pomiary, fotografie. Nawet tu, na kompletnym pustkowiu, zbiera się mała grupka ludzi, kilku dziennikarzy i gapiów z pobliskich farm.

Olyphant i Hunter starają się trzymać ich na dystans. Obaj zachowują powagę, przez co sprawiają jeszcze zabawniejsze wrażenie, bo jeśli zauważyć, jak bardzo różnią się od siebie wymiarami, można dojść do wniosku, że zrobiono z nich partnerów dla zgrywy. Roztaczają wokół siebie aurę dyscypliny, choć tak jak inni stróże prawa i porządku musieli czasem być kreatywni w wybieraniu źródeł dochodu, a nawet zdarzało im się

przejść na ciemną stronę. Ale teraz nie ma sensu rozwijać tego tematu, nie dotyczy sprawy, w ogóle nie trzeba było o nim wspominać.

Dzisiaj, kiedy zajmują się przypadkiem morderstwa białej Astrid Charlene Moody, który z pewnością będzie uważnie śledzony, obaj działają według ścisłych reguł. Lecz po solidnym przemaglowaniu wystraszonego starca i pogłębieniu jego duchowej trwogi nie wiedzą, co dalej, i rejestrują już tylko szczegóły, głównie w formie liczb. Znowu matematyka! Tyle metrów stąd dotąd, kąt taki a taki, rozmiar buta najprawdopodobniej męski, strzał z bliskiej odległości. Liczby faktycznie przedstawiają pewnego rodzaju prawdę, ale równie łatwo można je odesłać tam, skąd przychodzą, np.:

1. Wiek: Olyphant 53/Hunter 38
2. Lata w służbie: 34/12
3. Obwód w talii: 120/86
4. Iloraz inteligencji: 144/115
5. Liczba małżeństw: 1/3
6. Liczba dzieci: 0/6

Itp., itd., choć mimo sporych różnic ci dwaj spędzili wiele dni w swoim towarzystwie, a często się zdarza, że w tego rodzaju okolicznościach ludzie zlewają się ze sobą. Na przykład w pewnych małżeństwach, co sami na pewno widzieliście, a może nawet przeżyliście, kontury się rozmazują, a barwy mieszają.

Anton zauważa to natychmiast. Wy dwaj, mówi. Jesteście jak Tajniak i Jawniak. Nie, nie do końca. Raczej jak Vladimir i Estragon. Wiecie, o co mi chodzi.

Na szczęście dla niego nie wiedzą. Marszczą tylko brwi z konsternacją. Co temu gościowi dolega? Robi sobie żarty w takiej chwili? I to w kostnicy! Wydaje mu się, że jest policjantem?

Ale tak serio, co tu robicie? Przyszliście mnie aresztować?

Chcemy tylko z panem pomówić, panie Swart. Proszę się jednak nie spieszyć i najpierw zidentyfikować ciało.

Nie ma sensu, by szli razem z nim, w takiej chwili członkowi rodziny czy bliskiej osobie należy zapewnić prywatność. Czekają więc w holu z podłogą z ciemnych desek, zatopieni w dwóch identycznych fotelach, w otoczeniu smutnych roślin w doniczkach.

Jest tam również mąż, siedzi z twarzą w dłoniach, pochylony jak pijak. Jake Moody ma czterdzieści jeden lat i prowadzi dochodową spółkę zajmującą się systemami ochrony, w której partnerem jest znany polityk, o czym detektywi zdążyli się już dowiedzieć. To pokaźny facet, napakowany i wyrzeźbiony, musi często chodzić na siłownię, ale teraz jest tak wstrząśnięty, że wygląda, jakby prawie nie istniał. Wie, że jego żona nie żyje, czuje to w kościach. Dlatego poprosił Antona, żeby ją zidentyfikował.

Anton podąża za człowiekiem w białym fartuchu, który ma przyczepioną plakietkę z nazwiskiem Savage. Idą długim, chłodnym korytarzem w stronę metalowych drzwi. Wygląda jak w powieściach, rozmyśla na głos Anton, ale Savage’a to najwyraźniej nie oburza. Bardzo uprzejmym gestem przepuszcza Antona przodem. Można by się spodziewać rzędów stalowych szafek wypełnionych schłodzonymi zwłokami, ona jednak, przygotowana do oglądania, leży na pojedynczym stole pośrodku pomieszczenia. Oczywiście przykryta prześcieradłem.

Czy widział pan już wcześniej zwłoki? pyta Savage, stojący po przeciwnej stronie stołu. W jego tonie nie słychać satysfakcji, ale niech was to nie zwiedzie, on także ma swoje upodobania.

Nie. Znaczy się tak, widziałem.

Więc tak czy nie?

Kiedyś kogoś zabiłem, wyznaje nieoczekiwanie temu zupełnie obcemu człowiekowi, którego rysy twarzy, już i tak ściągnięte, po tej wiadomości wydają się ścieśniać jeszcze bardziej. Zastrzeliłem pewną kobietę, kiedy służyłem w wojsku. (Tylko czy to się liczy?)

Nie myślał o niej od lat. Nagle znów się przed nim pojawia, pada po uderzeniu kuli, ponownie umiera. Nieoczekiwanie uświadamia sobie, że choć to niedorzeczne, zaczął łkać, gdy Savage odciągał kurtynę. To znaczy prześcieradło.

Moja siostra. Leży tutaj. Martwa. Bez wątpienia ona. Niesamowite. Tak.

Słucham?

Tak, powtarza, z trudem wydobywając głos. Tak, to ona.

Savage z ledwie dostrzegalną niechęcią na powrót okrywa zwłoki. Pisze coś w dokumentach. Proszę tu podpisać. I tutaj. Anton nadal płacze i łza spada na papier. Czemu to go tak zawstydza? A jednak. Savage bardzo delikatnie osusza zmoczoną kartkę brzegiem rękawa.

Takie chwile bywają bardzo trudne, mówi.

Anton aż się pokłada ze śmiechu. A to dobre! Od lat tak się nie śmiał, to jest jak nagły skurcz. Kiedyś śmiech przychodził mi łatwo. Utracona sztuka radości. Och, Savage, mówi, kiedy w końcu udaje mu się opanować, ale z pana aparat.

Savage, obrażony, a przynajmniej skonsternowany, kroczy sztywno korytarzem jako pierwszy. Martwi są znacznie bardziej przewidywalni niż żywi z ich nastrojami i humorami. W ludzkiej mowie pełno jest nierozwiązywalnych zagadek i choć nie on jeden tak uważa, mało kto w takich okolicznościach pragnie milczenia.

Jeden z detektywów podpisuje dokumenty podsunięte przez Savage’a, a drugi przygląda się rozmowie brata denatki z jej mężem. Potwierdzanie tożsamości, biurokracja kontra życie osobiste. Jake dopiero po chwili unosi wzrok, a Anton twierdząco kiwa głową. Tylko tyle, ale wiadomość została przekazana i nadchodzi czas na dygotanie i lament. Nic w tym niezwykłego.

Gdy robi się spokojniej, detektyw Olyphant przystępuje do rzeczy. Nie ma sensu rozmawiać z mężem, gość jest w rozsypce, więc kieruje uwagę na tego drugiego, brata. Czy nikt nie mógł pragnąć śmierci pana siostry? Nie miała wrogów?

Nic mi o tym nie wiadomo. Chociaż, dodaje po chwili, każdy ma wrogów.

Tak pan sądzi?

A pan nie?

Jakich pan ma wrogów, panie Swart?

Och. Anton wykonuje niedbały gest, jakby wskazywał cały świat. Mam ich legion.

To niezły dziwak, nie ma co do tego wątpliwości. Wszystko, co mówi, jest tajemnicze. Żaden z detektywów nie rozumie sporej części jego wypowiedzi. Płacze jak dziecko, za chwilę śmieje się do rozpuku.
I dlaczego sądził, że chcemy go aresztować? Jest w to zamieszany?

Myślałem, że ktoś ją porwał, pyta niecierpliwie, żeby ukraść samochód?

Chcemy się tylko upewnić. Czasami za porwaniem stoi dodatkowy motyw.

Poważnie?

Ja, odpowiada detektyw Olyphant. Zdziwiłby się pan.

Ale Anton rzadko już się czemukolwiek dziwi, a jeśli nawet, to przeważnie samemu sobie. Dwaj detektywi też widzieli niejedno. Sprawa tego morderstwa to jeszcze nic. Gdyby pan był ze mną w zeszłym tygodniu… Rany, mógłbym panu opowiedzieć to i owo. Każdy powód wystarczy. Można odnieść wrażenie, że Południowoafrykańczycy zabijają się dla zabawy, dla kilku randów, przez jakieś drobne nieporozumienia. Ludzie zastrzeleni, zadźgani, uduszeni, spaleni, otruci, utopieni, zatłuczeni pałką/żony i mężowie mordujący się wzajemnie/rodzice zabijający dzieci albo dzieci rodziców/nieznajomi wykańczający się nawzajem. Ciała porzucone byle gdzie, niczym zmięte papierki. Każde z nich było życiem i od każdego, we wszystkich kierunkach, być może na zawsze, rozchodzą się koncentryczne kręgi cierpienia.

Biedny Jake tak osłabł, że Anton musi go podtrzymywać, gdy idą.
To niełatwe zadanie, facet jest wielki, ciężki i bezwładny jak zwłoki. Nigdy nie byli sobie bliscy, więc nieoczekiwany kontakt fizyczny wydaje się nienaturalny. Anton wyczuwa sztywne włoski na jego przedramieniu.
Spokojnie, już prawie doszliśmy. Otworzyć mu drzwi, pomóc wsiąść.
Uwaga na palce.

Anton obchodzi auto i zajmuje miejsce kierowcy. Jake poprosił go dzisiaj o podwiezienie, przewidziawszy dokładnie taki scenariusz. Nie wiem, czy sam dam sobie radę. Był tak przerażony, że bał się nawet o tym mówić.

Czy mogę cię dokądś zabrać?

Co?

To znaczy przed powrotem do domu, mówi Anton. Może chciałbyś pojechać do lekarza?

Jake zastanawia się nad odpowiedzią, marszcząc z wysiłku grube brwi. Nawet pochylony w fotelu sięga głową do podsufitki, choć dziś wydaje się mały. W końcu się odzywa. Do kościoła.

Do kościoła?

Tak. Podwieź mnie, proszę, do kościoła. Chciałbym porozmawiać z księdzem.

Jake jest zaskoczony nie mniej niż Anton. Nie był u komunii ani spowiedzi od kilku lat i potrzeba pomocy duchowej pojawiła się u niego zupełnie nieoczekiwanie. W jego zawodzie pracuje wielu paskudnych facetów, z których część sam zatrudnia. Uważa się za twardziela i z pewnością nie jest niewinny, musiał wyciąć wrażliwą część swojej natury, inaczej by mu przeszkadzała. Ćwiczy trzy razy w tygodniu, ma czarny pas w karate i lubi filmy z Charlesem Bronsonem oraz Clintem Eastwoodem grającymi samozwańczych stróżów prawa. I co, śmieciu, masz dzisiaj farta? Dalej, popraw mi dzień.

Dlatego sam siebie nie rozpoznaje w człowieku, który teraz siedzi skulony i zapłakany przed Ojcem Battym. Kim jest ten mały facio, wywrócony na nice, ocierający nos chusteczką i wśród pochlipywań bełkocący coś o karze? Szlag, to chyba ja.

Ksiądz na swój sposób także jest w szoku. Jeśli się zastanowić, prócz zabójcy był ostatnią osobą, z którą ta kobieta rozmawiała. Przebiega go dreszcz.

To, co przydarzyło się twojej żonie, nie było żadną karą, tylko atakiem zła!

Ale Jake sądzi, że to sprawa osobista. Pomimo wielkiej postury i napompowanych mięśni ma w sobie bowiem pierwiastek słabości i od dawna prześladuje go poczucie, że cokolwiek zrobi, będzie skazany na potępienie. Na przykład od dawna podejrzewał, że rozwód Astrid był występkiem przeciw Bogu, nawet jeśli poprzednim razem nie ślubowała przed księdzem, i prędzej czy później oboje za to zapłacą. Pod tym względem nigdy nie stracił wiary.

Nie mam żadnych wątpliwości, że ona w tej chwili jest już w ramionach Odkupiciela, mówi Ojciec Batty. Takie górnolotne słowa pokrzepienia przychodzą mu łatwo, zawsze tak było, nawet za młodu cieszył się niezawodnym autorytetem duchowym, lecz dzisiaj mówi po to, by zagłuszyć pewną nieprzyjemną myśl.

Pamięta Ojciec, że ona nie była katoliczką? Nawróciła się dla mnie.

Chcesz powiedzieć, że nawróciła się, bo Bóg ją wybrał. Nieważne, jaką szła drogą, odnalazła cel. Przykra myśl dręczy księdza coraz bardziej. Trudno w to uwierzyć, ale widziałem się z nią zaraz przed tym, nim to się stało.

Jak to?

Rozmawiała ze mną wczoraj rano.

Ta informacja zdumiewa Jake'a. O czym?

Och, mówi ksiądz, jakby się budził. Przyszła się wyspowiadać. Minęło wiele czasu. Sześć miesięcy. Pragnę zauważyć, dodaje, że ty nie spowiadałeś się jeszcze dłużej.

Co mówiła?

Nie mogę ci tego powiedzieć, Jake. Wiesz, że w konfesjonale obowiązuje tajemnica. Ale właśnie tu gnieździ się ta nieprzyjemna myśl. Wypuścił ją bez rozgrzeszenia na godzinę przed tym, nim zginęła! Czy teraz dźwigam ciężar jej duszy? Nie możesz na mnie naciskać. Na jej korzyść działa to, mówi stanowczo, że usilnie walczyła z własnymi grzechami. Pan będzie dla niej łaskawy!

Z grzechami?

Wszyscy grzeszymy, dodaje pospiesznie, by zamknąć temat.
To oczywiste!

Bardzo pokrzepia mnie myśl, mówi Jake, że dostała rozgrzeszenie przed…

Niezupełnie, nie, nie do końca. Dobry ojciec wolałby uniknąć tego tematu, tak byłoby znacznie lepiej dla wszystkich, ale już za późno.

Powiedział ksiądz, że się wyspowiadała. Nie udzielił jej ksiądz rozgrzeszenia?

Nie, bo miała… pewien problem do rozwiązania. Nie mogę powiedzieć ci nic więcej, Jake. Już i tak powiedziałem za dużo.

Ta rozmowa odbywa się w ogrodzie za kościołem. Nie, raczej w kościele, w jednej z ław, a miękkie światło przefiltrowane przez witraż kładzie rozmigotaną poświatę na twarzy Jake'a, który nieco później na zewnątrz czuje się oszołomiony i wytrącony z równowagi. Nie jest sobą, nie, w ogóle. Ale jeśli nie jest sobą, to kim? Jake, albo ktoś podszywający się pod niego, schodzi chwiejnym krokiem po frontowych schodach kościoła ku szwagrowi siedzącemu na masce jego auta.

Pomogło? pyta Anton, gdy jadą autostradą. Nie wiedzieć czemu, naprawdę go to interesuje. Rozmowa z księdzem ci pomogła?

Jake jakby nie słyszał pytania. Spojrzenie ma wbite w jakiś nieistniejący punkt. Po chwili odpowiada mechanicznie. W dniu śmierci Astrid mu się wyspowiadała.

Z czego?

Nie wiem. Nie chciał powiedzieć.

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę rozmyślają nad tym faktem z różnych perspektyw. Anton od kilku lat chodzi na terapię i wszelkie wyznania rozumie tylko z tego punktu widzenia. Lecz siedzący tuż obok niego szwagier patrzy na tę sprawę zupełnie inaczej. Coś się zmienia w Jake'u. Czuje się tak, jakby tkwił w długim tunelu, w którym dźwięki niosą się wibrującym echem, a prawdziwy świat widać tylko w jasnym kółku w oddali. Pewne jest tylko to, że aż do teraz we wszystkim zupełnie się mylił.

Mieszka w chronionej posiadłości w Faerie Glen z ośmiodołkowym polem do golfa pośrodku. Meldujesz się, przejeżdżasz przez bramę i trafiasz do podmiejskiego raju pełnego pastelowych domów, w którym uliczki wiją się łagodnie wokół niewielkiego zadrzewionego parku, a cała ta sceneria zdaje się coś przypominać, choć może coś, co nigdy się nie wydarzyło. Dom Jake'a stoi na skraju osiedla, tuż przy ogrodzeniu. Anton parkuje na podjeździe i szybko wychodzi, by pomóc, ale to już niepotrzebne. Jego szwagier samodzielnie wysiada i porusza się normalnie.

Bardzo ci dziękuję, mówi bezbarwnym głosem. Wyciąga rękę, Anton zaś nią potrząsa. Dziwaczny gest w tych okolicznościach, ale z tym facetem nie wszystko jest w porządku.

Dobrze się czujesz? pyta. To znaczy, może chciałbyś, żebym został?

Nie.

Okej. Czuje ulgę, a przed powrotem do auta musi się powstrzymać przed zadaniem naprawdę niestosownego pytania. Czy takie kraty antywłamaniowe dużo kosztują? Prawie wypowiada to na głos. Wyobrażacie sobie, w takiej chwili… Z Antonem jednak też nie wszystko jest w porządku. Zobaczył swoją martwą siostrę na stole. Znowu zaczyna płakać, mała ulewa gorących łez w drodze na farmę. Jedzie okrężną drogą z dala od śródmieścia. Długa samotna podróż wśród łez.

Zawsze myślałem, że to ja tak zginę. Zresztą wciąż mogę. Musi wymienić niektóre kraty w oknach domu na farmie i dlatego chciał o nie spytać. Ostatnio zaczęły się spore problemy. Od wschodniej strony posesji jest dużo wtargnięć, tną ogrodzenie i stawiają chaty zupełnie na widoku. Dodatkowo jeden czy dwa inne incydenty, raz w nocy włamano się do szopy, a jacyś obcy ludzie urządzili sobie spotkanie modlitewne na pagórku. Intruzi na naszej ziemi. Trzeba było dzwonić po policję, żeby się ich pozbyć, pojawiły się groźby przemocy. Idziemy po ciebie, szefie. Poczekaj, zobaczysz. Palec przesuwany po gardle. Kazał zrobić przegląd starej strzelby Pa, tak na wszelki wypadek. Poszedł na weld i strzelił parę razy, żeby nie wyjść z wprawy. Zastanawia się nad otoczeniem domu płotem elektrycznym. Musi o tych sprawach pogadać z Jakiem, ale teraz nie pora.

Gdy zajeżdża pod dom i gasi silnik, z dali nawet tutaj dobiega go pogłos śpiewanych w kościele hymnów. Prowadź mnie, o Zbawicielu / Pielgrzyma jałowych ziem. Każdego cholernego dnia. Panuje przyjemny popołudniowy chłód, lecz z głębi ziemi emanuje jakiś chłodny prąd, a może tylko tak mi się wydaje? Frontowe drzwi stoją otworem. Ciągle jej przypominam i ciągle mnie ignoruje. Dzisiaj wyobraża sobie, jak by to było wejść do środka i zobaczyć, że ona…

Jednak nie ma ani jej, ani jej samochodu. Na pewno znowu poszła na te zajęcia z medytacji, musiała akurat dzisiaj. To jak uzależnienie. Drażni go,

ile czasu poświęca temu ładniutkiemu chłopaczkowi z Rustenburga, jak mu tam, Mario czy Marco, jeszcze przed trzydziestką, który pojechał na rok do Indii w poszukiwaniu siebie, zaliczał jakieś duchowe lekcje w aśramach, a potem wrócił z nowym, nadanym mu przez guru imieniem, Moti czy Muti, żałosne, ponoć to znaczy perła, i wszystkie znudzone gospodynie domowe się teraz podniecają, jaki to on mądry, a może po prostu podoba im się, że naucza w przepasce biodrowej. Ludzie, dajcie spokój, historyjka jak z Księgi dżungli. Uczy ich medytacji i jogi i kto wie, może budzi uśpionego tantrycznego węża u podstawy kręgosłupa, a wszystko w tym jego tak zwanym Holistycznym Centrum Człowieka w mieście. Centrum pustych ludzi.

Intruz wszedłby tak, jak teraz wchodzi Anton, przekradłby się przez próg, przystanął w holu i nasłuchiwał. Dobiegają tylko dźwięki radia z kuchni, jakiś afrykański chór gospel. Salome zmywa naczynia. A może dla odmiany poleruje mosiężne ornamenty na blacie stołu. Tak, pociera zmatowiały metal, aż znowu zalśni. Salam, Salome. Gdzie moja urocza żona? Nie, nawet mi nie mów. Niech to szlag i kurwica, nie mogłaby chociaż raz, chociaż dzisiaj zostać w domu? Dla mnie? Wiedziała, dokąd on się wybiera i co go czeka. Ale nie. Raz za razem nie i nie. To już od pewnego czasu refren.

Idzie do barku w salonie, napełnia szklaneczkę jackiem daniel’sem i upija solidny łyk, a potem poprawia drugim. Zważcie jednak, że normalnie tak się nie zachowuje, absolutnie, za kogo wy mnie bierzecie? Słońce jeszcze nawet nie zaszło. Ale kto może go winić? Tyle już przeszedł, tyle jeszcze przed nim.

Najpierw Salome. Jeszcze jej nic nie powiedział, ani słowa. Jest stara, ma słabe serce, lecz on widzi w niej także dziecko, kogoś, kogo trzeba chronić. Stare dziecko ze słabym sercem.

Salome, mówi. Mam straszną wiadomość. Mosiądz błyska wesoło, gdy słowa wędrują do mózgu i wykwitają obrazami, a niektóre z tych obrazów trudno znieść. Tak, ludzi najbardziej dręczą obrazy w umyśle, jak pewnie zdążyliście się już przekonać. Ostatnio Salome nie dostrzegała oznak miłości ze strony Astrid, może nawet nigdy ich nie dostrzegała, ale ta

dziewczyna była jednym z trojga dzieci, które wychowywała jak własne, co teraz odbija się na jej twarzy. Musi usiąść, o ile już nie siedzi.

Anton upija łyk whisky, co wiele ułatwia. Proszę, weź wolne na resztę dnia.

Salome kiwa głową. Nie jest już młoda, zbliża się do sześćdziesiątki. Prawie skóra i kości, nie porusza się już tak szybko jak dawniej. Zwłaszcza tego popołudnia/wieczora, obciążona obrazami w umyśle. Idź już, proszę, jej cierpienie jest dla niego nie do zniesienia. Salome odczłapuje z wolna wokół pagórka w stronę swojego domu, znaczy, domku Lombardów, niewątpliwie z zamiarem odmówienia modlitwy za Astrid, sądząc po jej dawnych nawykach. Zostawia go, by się doładował, przegrupował, uzupełnił paliwo. Okropna jest rola posłańca, zawsze zostaje splamiony przekazywaną wiadomością. Wieści od Antona, co przynosi cierpienie. Jeden adresat z głowy, następny w kolejce.

Amor zadzwoniła tylko raz po przybyciu do Durbanu przed laty. Od tamtego czasu zamierzał się z nią skontaktować, ale dopiero po podjęciu pewnych kroków, których nie podjął. Jego apatia w tej sprawie stopniowo zyskała własną wolę, sama stała się decyzją. Wiadomości na temat młodszej siostry otrzymywał przez Astrid, która oczywiście uznała za swój przykry obowiązek utrzymywać kontakt i przekazywać strzępki informacji, najpierw o tym, że Amor pracuje jako pielęgniarka, a później, że związała się z kobietą. Antona żadna z tych zmian nie zaskoczyła. Wydawały się wręcz urocze, jeśli oglądać je z oddali. Z bliska jak wrzody na tyłku.

Zna tylko nazwę szpitala, w którym pracuje Amor, i nic więcej. Nie, mówi recepcjonistce, nie wiem, na jakim oddziale pracuje. Nie może jej pani wyszukać w systemie? Sekundkę, odpowiada recepcjonistka, łączę, po czym przekazuje połączenie na ten jeden oddział, którego, *ja*, można było się spodziewać. Męczeństwo bez końca. Czy mogę rozmawiać z siostrą, Siostro? Znacie ją jako Świętą Amor.

Co takiego?

Poproszę z Amor Swart.

Minutkę.

Posłaniec czeka, cichy przypływ szpitalnych dźwięków omywa jego ucho. Po chwili rozbrzmiewa głos Amor, nie do pomylenia nawet po tak długim czasie. Halo?

Halo, odpowiada. To ja.

Anton?

Tak. Posłuchaj. Przykro mi, ale mam złe wieści.

Jego głos dochodzi z powietrza, z oddali, z jakiegoś punktu w przeszłości, tylko do niej w dyżurce pielęgniarek o kafelkach białych i zimnych jak szok. Amor w uniformie. Stoi zupełnie nieruchomo, ani drgnie.

Później Anton uzupełnia szklankę. Nie poszło tak źle, jak się obawiał, chociaż ręce mu trochę drżą. Docenia, kiedy inni zajmują się swoim cierpieniem za kulisami, poza zasięgiem spojrzeń. Trudno sobie poradzić już z własnym życiem, a to zaledwie zwykła codzienna udręka. O wilku mowa, oto wreszcie ona, moja ukochana małżonka, prosto z medytacji. Idealny moment, tyle że, hm, chyba gdzieś po drodze zgubił godzinkę lub dwie, bo na dworze jest już zupełnie ciemno. Później, wcześniej, ostatecznie wszystko jedno, Czy było wspaniale, moja słodka, czy ogarnęły cię dobre wibracje z Mowglim?

Przygląda mu się. Czy ty jesteś pijany?

Trochę tak. Można tak powiedzieć. Odrobinkę. Żeby się odprężyć, biorąc pod uwagę, że niedawno patrzyłem na oblicze mojej zamordowanej siostry.

Jego żona przyciska dłonie do ust, a on czuje, że gniew zupełnie go opuszcza, czy może raczej zmienia się w coś innego, w jakiś desperacki apetyt. Obejmuje ją, a ona odwzajemnia uścisk i po chwili się całują, usta, języki, zęby, jakby chcieli się po kawałku przeżuć i pożreć. Choć poddaje się tej fali, wie, że źródłem owego nagłego pragnienia jest to, co zobaczył rankiem na metalowym stole, pożąda żony, bo jest tak bardzo żywa, jej twarz rozmazana i przejęta, włosy rozpuszczone, kończyny gorące i silne. Ważniejsze pytanie: Czemu ona pożąda jego? W tę i we w tę, rzucają się na siebie, pod skórą wibruje przemoc. Od dawna się nie dotykali.

Nagle uścisk się rozluźnia. Nie. Nie. Przestań. Tak nie można. Odsuwa się od niego. Zawsze to ona się odsuwa. Co my robimy? Przepraszam, ale nie mogę. Nie teraz, kiedy Astrid…

Okej, mówi i gniew natychmiast wraca. Nie ma sprawy.

Lecz gdybyście weszli teraz do ich sypialni, moglibyście uwierzyć, że leżą wyniszczeni po nagłej eksplozji płomiennego seksu. Na wpół rozebrani, na wpół wplątani w pościel, zdyszani. Oboje nadal nieźle wyglądają, choć już z pewnością nie młodzieńczo. Zwłaszcza jego twarz ma w sobie pewien kamienny chłód, a czy tam, na czole, to nie jest jakaś stara blizna?

Desirée jest istotą o łagodniejszych kształtach i kiedyś, jeszcze niedawno, musiała być prawdziwą pięknością. Jednak nuda i irytacja popsuły jej rysy, wyżłobiły drobną zmarszczkę między oczami i ułożyły dolną wargę w grymas nadąsania. Kurczy się w sobie, zapada ku jakiemuś gorzkiemu jądru, wciąż jest niezadowolona, choć nie zawsze nawet wie dlaczego.

Czasami źródłem rozczarowania jest farma. Kiedy wyszła za mąż, wyobrażała sobie, że będzie malować akwarelowe pejzaże na wzgórzach i jeździć konno po rozległej równinie. Snuła takie różne niejasne, cudowne marzenia. Nie spodziewała się, że dni będą się tak dłużyć, wypełnione ogromem niczego. Musi wynajdować powody, żeby pojechać do centrum albo do Rustenburga, gdzieś, gdzie można znaleźć odrobinę życia, akcji i koloru. Ludzi, z którymi można porozmawiać! Kiedyś co tydzień jeździła na paznokcie i do fryzjera, ale to powodowało gwałtowne spięcia małżeńskie. Nie mamy pieniędzy na takie bzdury, twierdził, a teraz patrzcie, na co sam wydaje. Dosłownie wyrzuca kasę w błoto. Ona przynajmniej mogła się czymś pochwalić! Choć musi przyznać, że ostatnio, odkąd odkryła medytację w Holistycznym Centrum Człowieka, czuje się szczęśliwsza. Moti zmienił imię i bywają takie dni, że miałaby ochotę zrobić to samo. Z innym imieniem możesz się inaczej poczuć.

Niekiedy rozczarowuje ją też RPA. Kto mógłby przewidzieć, że jej tata, którego każdy szanował i się bał, stanie przed Komisją Prawdy i Pojednania, gdzie przyzna się do tych wszystkich strasznych, koniecznych

rzeczy? Największy problem tego kraju polega jej zdaniem na tym, że ludzie zwyczajnie nie potrafią przestać myśleć o przeszłości.

Chociaż z tym już koniec, minęły lata i obecnie najczęstszym źródłem rozczarowań jest jej mąż. Anton był kiedyś uroczy, przystojny i zabawny, każdy wróżył mu wspaniałą przyszłość, ale jedyną osobą, która nadal w to wierzy, jest on sam. Tyle nadętych opowieści, cóż to on pewnego dnia zrobi z farmą/sobą/własnym życiem, ile to zarobi, chociaż niby jak, skoro właściwie nie pracuje, tylko pisze tę swoją powieść, której nikt nie ma prawa zobaczyć i która może nawet nie istnieje, chociaż słychać, jak klepie w klawiaturę za zamkniętymi drzwiami… podczas gdy ona obija się po milionach pustych pokojów i przygląda, jak tynk pęka na ścianach, a pająki snują sieci po kątach. I to spotkało ją, mnie, Desirée, wyobrażacie sobie? Jeszcze wczoraj laleczka adorowana przez wszystkich chłopaków, mogła wybrać dowolnego, i jak skończyła? Nie słuchała przestróg mamy, a teraz za późno na nowy start, czasu zostało tylko tyle, żeby samodzielnie zrobić nową laleczkę, zanim jajniki odmówią współpracy. Tylko że nawet na tym polu, ha, ha, ha, próbuje od dawna i nic. Wie, że problem leży po stronie jej męża, ale on nie chce iść na badania, a sytuacji nie poprawia fakt, że ostatnio rzadko ma ochotę go dotykać.

Zdejmuje z siebie jego rękę i obraca się na plecy. Leży i patrzy w sufit. Myśli o wytatuowaniu sobie kreski wokół oczu i ust, co ułatwia nakładanie makijażu. Część jej koleżanek ostatnio się na to zdecydowała.

Tak poza tym, odzywa się Anton, dałem Salome wolne na resztę wieczoru. Bardzo się zmartwiła wieścią o Astrid.

Zmartwiła się? Daj spokój. Stara jest niesamowicie leniwa.

Ona ma uczucia, moja słodka. Mamy historię, która…

Historię? Powinieneś się jej pozbyć. Jest powolna. Trzeba znaleźć kogoś świeżego i młodego.

Ona pracuje tu od zawsze, odpowiada Anton. Odkąd sama była świeża i młoda.

Ja, może. Ale te dni minęły.

Podniecony jej chłodem, zaczyna ją lekko gryźć w szyję. Daj spokój. Wyluzuj trochę. Ona go odpycha, wstaje i zapina bluzkę. Ech, przestań,

proszę, jesteś cały spocony. Po powrocie byłam bardzo ześrodkowana, a teraz patrz, co się stało.

W małej łazience pod schodami Anton próbuje wyrzucić napięcie z podbrzusza. Gdy zbliża się do finału, widzi własną poczerwieniałą twarz w okrągłym, pełnym ciemnych cętek lusterku nad umywalką, trzeba by je przemalować z tyłu, wtedy cętki znikną. Ciekawe, że też człowiek może się tak podzielić, orgazm i obserwacja w jednej chwili, oko patrzy na ego. Żadna z tych części nie jest mną, choć obie mogłyby. Myje ręce, spowity ponownie wznoszącą się mgiełką zmęczenia i odrazy do samego siebie, żałując, że to zrobił. Żałuję, że to zrobiłem. Ale zrobiłeś. Prawie natychmiast czuje znowu budzące się pożądanie. Tak, nadszedł czas, czyż nie, żeby się pozbyć tej żądzy, tej Desirée czy jakiekolwiek ona nosi imię.

Po jego twarzy przesuwa się blask odległych świateł samochodu, który zjechał z głównej drogi na pusty skrawek ziemi, żeby zawrócić. Wielki jeep cherokee właśnie cofa, a za kółkiem nie kto inny, jak twój szwagier Jake Moody. Nie zatrzymuje się, w każdym razie nie na wizytę, przystaje tylko na tyle, by zmienić kierunek i wrócić do miasta, skąd przyjechał.

Jeździ już tak od kilku godzin, bo nie potrafi znieść myśli o samotnym przesiadywaniu w domu. Jestem wdowcem. Na okrągło powtarza to sobie w myślach, jestem wdowcem, testuje dziwność tego słowa oraz określanego przez nie stanu. Dwoje dzieci Astrid odebrał już ich ojciec i w ciągu jednego dnia dom przeobraził się z miejsca pełnego ruchu i hałasu w wydrążoną, usidlającą skorupę. W przestrzeniach pozbawionych najbardziej swojskich elementów zdaje się rozchodzić echo, ale najgłośniejsza jest przestrzeń w jego głowie. Żeby ją wyciszyć, usiadł za kierownicą. I tam został, gdy tymczasem słońce zaszło, rozbłysły latarnie i we wszystko wniknęła noc.

Nadal się nie zatrzymał, wciąż jedzie i jedzie. Czarna, płynąca w nieskończoność rzeka drogi. Podąża szosami, które krzyżują się raz i drugi, siebie samego zawiązuje w supeł. Przejeżdża przez śródmieście, mija Paula Krugera na skalistym piedestale, potem zmierza na północ, ku grani wzgórz, ale zawraca i przejeżdża obok Union Buildings, tak rozświetlonych, jakby trwała tam impreza, miasto zaś bulgoce w dole niczym garnek z czymś mętnym. Mija ambasady jak paciorki nanizane na

sznurek, każda strzeżona i nieskazitelna, aż wreszcie prawdziwe życie wraca w postaci spłachetków brązowej trawy i tracących liście jakarand. Krawędzie wszystkiego są tu spieczone i kruche.

Domy na wschodnich rubieżach miasta wydają się odległe i malutkie, drobne iskierki światła wśród ciemnych połaci kukurydzy, która z szelestem zaciera swoje stwardniałe dłonie. Kieruje się na południe w stronę nowych osiedli, szeroko rozpostartych księżycowych kolonii w ciągłej budowie, satelitarnych przedmieść dla głodnej klasy średniej, która już otoczyła się murem, choć drogi i domy nie zostały jeszcze ukończone nawet w połowie. Kolejna grań prowadzi go do rejonów zabudowanych wcześniej, gdzie cement zdążył już wyschnąć, trawniki są idealnie utrzymane, a niektóre domy przypominają wielkością hotele albo rozjarzone transatlantyki w trakcie rejsu. Wszystkie potężnie ufortyfikowane, otoczone murami i masywnymi bramami. Niektórzy stojący przed nimi strażnicy są pracownikami Jake’a, co można poznać po mundurach.

Dalej w dół, przez filigran na poły rozebranych drzew do ronda Fountains Circle, możesz je objechać raz, drugi, trzeci, aż nagle podejmujesz decyzję i ruszasz w kierunku, który przyciągał cię przez cały ten czas jak północ na kompasie. Przypadkowa jazda stanowiła jedynie preludium, spiralę kierującą ku jednemu punktowi, to znaczy do miejsca, skąd wyruszyłeś jeszcze tego ranka, choć teraz wydaje się ono leżeć po drugiej stronie głębokiej, ciemnej doliny.

Parkuje na placu pod kościołem. To nieskromny gmach podświetlony od dołu w taki sposób, by sprawiać wrażenie, że pnie się w nieskończoność ku Niebiosom. Nic tu się nie porusza, z wyjątkiem bezdomnego, który obraca się na swym kartonowym łóżku pod bramą. Jake wysiada z samochodu i ciężkim krokiem idzie wzdłuż ściany kościoła do leżącego za nim domu księdza. Optymizm świecącej nad drzwiami żarówki w kształcie serca zaburzają nieco bramka strażnicza oraz elektryczny płot, który wskutek zwarcia gdzieś nieopodal sypie drobnymi błękitnymi iskrami. Jakiś nieszczęsny gekon smaży się na drucie? Może Boga nie obchodzą jaszczurki.

Jake wciska guzik domofonu. Czeka dłuższą chwilę, po czym dzwoni ponownie. I jeszcze raz.

Ojciec Batty jest rozespany. Kto tam?

To ja, Ojcze.

Kto?

Jake Moody, Ojcze. Przepraszam, że przeszkadzam.

Jest pierwsza w nocy, Jake.

Wiem, przepraszam, ale muszę z Ojcem porozmawiać.

Ojciec Batty zbudził się z przyjemnego snu o biuściastych kobietach i to nocne zapotrzebowanie na jego współczucie w ogóle mu się nie podoba, ale wpuszcza gościa, przywołując na twarz znośną imitację wyrazu troski. Chodź do salonu. Jake idzie za nim do dużego pomieszczenia z fortepianem, sztucznymi kwiatami i całą gamą innych ozdobników, których lepiej tu nie wymieniać. Ledwie starcza energii na nazywanie przedmiotów, nie mówiąc o ich opisywaniu.

Przepraszam, powtarza. Wiem, że jest bardzo późno.

Usiądź.

Siadają obaj, Jake na sofie, ksiądz w fotelu obok. Ojciec Batty otulił się batikowym szlafrokiem, otrzymanym w prezencie od jednej z owieczek, która odbyła wycieczkę na Daleki Wschód, lecz pod krawędzią materiału widać nogawki piżamy w tygrysie paski oraz puchate pantofle, nad nimi zaś kościste, pokreślone błękitnymi żyłkami golenie. Jake i duchowny już nigdy nie zobaczą się wzajemnie w takim stanie.

Co cię dręczy? pyta ksiądz.

Ojcze, chociaż konfesjonał jest świętym miejscem, czy jak to Ojciec określił, nie mógłby Ojciec zrobić wyjątku w tej jednej sprawie?

Co takiego? Umysł księdza przypomina łysą oponę buksującą w piachu. O czym ty mówisz?

Muszę wiedzieć, co Ojcu wyznała.

Ach, o to chodzi. Powinien był trzymać język za zębami. Nie mogę ci tego powiedzieć, Jake.

Ojcze, ja błagam.

Ten zmarniały człowiek dosłownie pada na kolana i przyciska mu twarz do kolan. Trzeba go oderwać i odsunąć, żeby się opanował. Na materiale zostaje wilgotna plama.

Nie, woła Ojciec Batty. Proszę! Jakby to on przyszedł po prośbie. Posłuchaj, człowieku, musisz się jakoś pozbierać. Ogarnąć.

Nie potrafię. Próbowałem, ale nie potrafię. Jake zrywa się gwałtownie na nogi, po czym znowu siada. Muszę, mówi. Muszę wiedzieć.

Ksiądz wzdycha. Sytuacja powinna być skomplikowana, lecz nagle robi się prosta. Jest bardzo późno/wcześnie, on nie ma siły na walkę, a ten biedak cierpi. Poza tym ksiądz musi iść do łazienki i może to przyspieszy sprawę. Czasem trzeba być człowiekiem.

Twoja żona miała romans, mówi.

I już. Tajemnica wyszła na jaw. Wypowiedziane słowa unoszą się przez sekundę w powietrzu, po czym docierają do Jake'a. Widać, jak zmienia mu się twarz, gdy zaczyna pojmować ich sens. Nie wygląda już na zranionego, ogarnia go gniew. Boże, wybacz mi, mówi ksiądz, a może tylko myśli, Lecz czasami najlepsza jest prawda.

Romans? Jake ogląda to słowo z zewnątrz jak jakiś dziwaczny eksponat. Z kim?

Tego nie wiem. Obawiam się, że muszę…

Ojcze, proszę. Pół odpowiedzi to żadna odpowiedź. Podaj mi jego nazwisko.

Nie mogę ci go podać z tej prostej przyczyny, że go nie znam. Wyspowiadała się z romansu, ale nie powiedziała z kim. Na świętą krew Chrystusa, to właśnie jest prawda, a ty musisz jechać do domu i położyć się spać.

Z Jake'a schodzi powietrze i dosłownie maleje w oczach. Gdy ksiądz wstaje, on robi to samo. Akceptacja daje spokój ducha, mówi Ojciec Batty, wypychając/wyprowadzając Jake'a.

Jak mogę zaakceptować coś, o czym nie wiem?

Słuszna uwaga, myśli Timothy Batty, wracając wreszcie pospiesznie korytarzem. Musisz poznać prawdę, zanim się jej poddasz. Ale prawda oczywiście może cię zabić. Rozmowa tak wstrząsnęła księdzem, że ledwie udaje mu się dojść do toalety. Chyba nikt nie przepada za tą czynnością, a jest ona jeszcze trudniejsza przy wzburzonych jelitach. Dziwne, że ludzie prawie w ogóle nie rozmawiają o wypróżnieniach, choć to codzienna

sprawa. Mózg chciałby się ich wyprzeć, choć dołem wychodzą fundamentalne prawdy. Żaden powieściowy bohater nigdy nie robi tego co on, tzn. nie rozwiera pośladków, żeby ułatwić wydalenie strapień. W ten sposób można sobie udowodnić, że nie jest się postacią z książki. Czy Jezus siadywał na klozecie? Ciekawe. Czy miał odbyt? Święta Księga o tym nie wspomina, a przecież nie można zjeść wielu chlebów i ryb bez konsekwencji po drugiej stronie. Wstydź się, Timothy, takich bluźnierczych myśli. Jak to? Nie wiem, ale na pewno są bluźniercze.

Wybacz, Ojcze, tej biednej kobiecie, która pragnęła pokuty. I mnie także wybacz, jeśli ją skrzywdziłem odmową. Ale czy złamał jakieś prawo, skoro nie spełniła warunków rozgrzeszenia? Czy on, Timothy Batty, nie postąpił słusznie, że ją odesłał? Myśl ta przychodzi księdzu do głowy, gdy już sięga po rolkę papieru toaletowego, i dochodzi do wniosku, że Bóg mu wybaczył. Przemawiałem z miłości! Do jej męża także. Biedak bardzo cierpiał, więc wyznałem mu prawdę, a to nie może być grzechem. Dzięki, Ojcze, że mi ulżyłeś. W ten sposób jeden ojciec przyklęka przed innym, tkwią jeden w drugim jak matrioszki. A może raczej są ułożeni w pryzmę, ciągną się w górę i w dół, aż po samo dno.

Tymczasem przed kościołem Jake Moody siedzi za kierownicą samochodu. Nie, jeszcze nie ruszył. Wielki miedzianoskóry facet, pochylony, ze zmarszczonymi brwiami. Chyba rozmyśla, tylko nad czym? Nie ma już dokąd jechać, może to go trapi.

Po długiej chwili bezruchu nagle przystępuje do działania. Siedzący u wejścia do kościoła bezdomny patrzy, jak Jake zapala silnik i z wolna odjeżdża. Coś tu jest nie tak. Bezdomny ma moc dostrzegania bytów z innych wymiarów i nie spodobała mu się postać uczepiona tego gościa.

Od kilku miesięcy jego miejsce na ziemi jest tu, na tym spłachetku, oraz przy ciągu sklepów i restauracji kilka przecznic dalej. Nie potrafiłby tego dowieść, ale dawniej miał świetnie płatną pracę oraz pozycję wymuszającą posłuch i szacunek. Aż wszystko się posypało. Zresztą to bez znaczenia, nawet on sam nie wydaje się tym przejmować, czas to rzeka obmywająca świat. Wraz z domem oraz wszystkimi osobami i przedmiotami, które zawierał, kloszard stracił także imię. Jego rodzina i przyjaciele są odlegli zarówno w czasie, jak i przestrzeni i nie został nikt, kto mógłby wskazać

mu właściwy kierunek, a nawet przypomnieć, kim jest, kiedy czasem przestaje być tego pewny, ponieważ jednak w kółko obsesyjnie śpiewa pierwszy wers Blowin’ in the Wind, nazwijmy go Bobem. Kto wie, może nawet trafiliśmy.

Bob sypia niespokojnie i budzi się przed świtem, gdy ptaki zaczynają śpiewać. Oddaje mocz w krzakach przy kościele, po czym składa swój karton i chowa go w kwietnym klombie. Przy budynku jest kran, pod którym każdego ranka się myje, planując wędrówkę po ulicach, by oglądać powolne rozpoczęcie dnia.

Kiedy miasto jest już porządnie rozbudzone, idzie dwie przecznice dalej, gdzie w tym czy innym sklepie dostaje czasem kilka monet.
W supermarkecie pracuje miła kobieta, która niekiedy daje mu nadpsute owoce, a poza tym można tam przejrzeć kosze na śmieci. Jest głodny, zawsze i ciągle głodny, i nie chodzi tylko o jedzenie.

Czas płynie inaczej dla ludzi wyłączonych ze świata. W pewnych momentach dnia mknie jak ruch uliczny albo pełźnie niczym cień po ziemi, albo porusza się w rytmie twojego ciała, które sygnalizuje różne potrzeby. Z pozoru przesuwa się wolno, lecz dni tylko migają i wkrótce twarz ci się zmienia, nie jest już do końca twoja. A może jest bardziej twoja niż kiedykolwiek wcześniej, to także możliwe.

Bob w zamyśleniu ogląda swoje odbicie w witrynie restauracji, lecz w pewnej chwili dostrzega, że ktoś po drugiej stronie szyby wykonuje szybkie gesty. Szef sali go przepędza. Idź gdzie indziej, ty odrażający, brudny człowieku! Unoszą się nad nim złe byty i Bob szybko odchodzi, natychmiast stając się własnym odbiciem.

Człapie po ulicy, rozglądając się za porzuconymi niedopałkami. Żadnych nie znajduje, podnosi za to niedawno upuszczony kupon loterii, który wygląda na nowy. Zabiera go do kafejki na rogu, żeby sprawdzić, czy mu się poszczęściło, trudno nie mieć nadziei, ale to nie jest tego rodzaju historia. *Nie* jest słowem, które słyszał najczęściej w życiu, i teraz również je słyszy. Nie. Nic dla ciebie nie ma. Nie. Żeby się pocieszyć, w drodze do wyjścia zwija ciastko z półki, dostrzega go jednak właściciel, człowiek pokryty pasożytniczymi istotami, które zaczynają skrzeczeć i oskarżać Boba wysokim, nieludzkim głosem. Pracowicie żując, odbiega truchtem

w boczną alejkę, może chce uciec, ale chwilę później zatrzymują go policjanci, trudno określić, czy ich nasłano, czy przypadkiem wszedł im w drogę. W vanie jest jeszcze ktoś. Gdzie masz dokumenty?

Potem to, co zwykle, tkwi w budzie pojazdu w towarzystwie innego cuchnącego moczem nieszczęśnika, oddzielony od świata stalowymi kratami. Na podłodze leży kilka mniejszych ektoplazmatycznych bytów, na szczęście nieszkodliwych, i cała ta menażeria widzialnych oraz niewidzialnych istot krąży ulicami przez kilka bezsensownych godzin, a za oknem przesuwają się różne miejskie widoki. W końcu zabierają ich na komisariat.

Wszystkie cele wyglądają jednakowo, na ścianach wydrapane imiona, daty, modlitwy i wulgaryzmy, wysoko w górze pojedyncze zakratowane okienko. I jeśli dla bezdomnych czas płynie inaczej, to tutaj stoi w miejscu. Wyciąga się na jednym z łóżek i udaje mu się zasnąć. Śni o innych miejscach, fragmenty przeszłości mieszają się z nienależącymi do niego żywotami, i w ten sposób na jakiś czas ucieka z zamknięcia.

Wraca do niego wieczorem, gdy nadchodzi pora posiłku, i ponownie nad ranem. Talerz kaszki i chleb. Jada tu lepiej niż zwykle na zewnątrz. Po śniadaniu każą mu opróżnić kieszenie. Zabierają wszystko, co ma, w tym sześćdziesiąt dwa randy i czterdzieści centów, które konfiskują tytułem grzywny, po czym pokazują drzwi. Chcę pokwitowanie, mówi.

Co? pyta policjant.

Chcę pokwitowanie za grzywnę.

Spierdalaj, odpowiada policjant, albo znowu cię zamkniemy.

Spierdala więc dość prężnym krokiem. Nie najgorsza noc w annałach kiepskich nocy, a Bob potrafiłby na ten temat opowiedzieć niejedną historię. Czeka go długi marsz z powrotem do kościoła, który uważa za dom, ale nie ma powodu, by mu towarzyszyć, i jeśli się zastanowić, nigdy nie było. Czemu zasłania nam widok ten niemyty, zeszmacony człowiek, domagający się współczucia, używający imienia, które do niego nie należy, jak to się stało, że zmarnował nam czas swoimi opowiastkami? Ależ on zabiega o uwagę, taki skupiony na sobie, co za egoizm. Nie przejmujcie się nim więcej.

Lepiej zostawić go w połowie drogi. Powiedzmy, że idzie cichą podmiejską ulicą i mija cichy podmiejski dom, na którym łatwo byłoby przeoczyć małą mosiężną tabliczkę reklamującą usługi psychoterapeutki. To kobieta koło sześćdziesiątki o krótkich srebrzystych włosach, nieskazitelnym wyglądzie i z notesem na kolanach. W tej chwili rozmawia z jednym ze swoich ciekawszych klientów, człowiekiem przed czterdziestką dręczonym pewnymi niedającymi się rozwiązać problemami. W tym tygodniu spotkała go potworna tragedia, lecz nawet na to wydarzenie potrafi patrzeć wyłącznie przez pryzmat swej narcystycznej rany, tzn. nieudanego małżeństwa.

Jeśli mam być szczery, mówi, ciągnąc opowieść o swojej żonie, to kiedyś ją kochałem, a przynajmniej tak mi się zdawało, seks potrafi zaćmić osąd, ale tak, na początku raczej ją kochałem. Z czasem miłość ustąpiła poczuciu winy, powinności i obowiązku.

Hmmm. Posłuchaj sam siebie, głupku. Nawet twoja przypadłość nie jest oryginalna. Terapeutka robi notatkę. Próbuje podejrzeć, co napisała, lecz ona przechyla notes. Malkontent? Czy tak o mnie myśli? Mogło być też Impotent… Oba te słowa trafnie by go czasem określały. Ale ja nie chcę rozmawiać o moich niedociągnięciach, zwłaszcza z terapeutką. Lepiej jej zaimponować, jeśli to możliwe. Chciałby wzbudzić w niej pożądanie.

Siedzą naprzeciw siebie w gustownie urządzonym pokoju z wyjściem do tylnego ogrodu, skąd dobiega chór ptasich poćwierkiwań. Pomijając kwestię winy, czy w małżeństwie nie bierzemy na siebie właśnie powinności i obowiązków? Obowiązków dorosłego człowieka? Czy twoje poczucie winy nie bierze się z obawy, że zaniedbujesz ten aspekt?

Nie, odpowiada. Czuję się winny, bo chcę ją opuścić.

Faktycznie?

Sam nie wiem. Czasami.

Powinności i obowiązki dotyczą obu stron. Odnoszę wrażenie, że według ciebie twoja żona nie spełnia oczekiwań w tym zakresie.

Tak. Nie. A czy musi? Nie potrafi i nie chce o tym myśleć, mimo że sam zaczął temat. Tak naprawdę małżeństwo według niego zawsze polegało na tym, że dwoje ludzi schodzi się, by zrobić trzeciego człowieka, dodatkową

złośliwą obecność działającą przeciwko nim, szykującą coraz to nowsze problemy, podkopującą dobre zamiary. Ale to wszystko jest zbyt skomplikowane, podczas gdy jego w tej chwili wścieka jedna prosta sprawa. Te pieprzone zajęcia z medytacji naprawdę go drażnią, Desirée powinna przechodzić żałobę razem z nim. To jego pierwsza sesja terapeutyczna od śmierci Astrid, jak zeszliśmy na ten temat? Chciałbym porozmawiać o mojej siostrze.

Oczywiście. Trudno się pogodzić z tak strasznym wydarzeniem.

Hm, chodziło mi o drugą siostrę.

Terapeutka opuszcza notes i przygląda mu się z zainteresowaniem. Masz drugą siostrę?

Tak, oczywiście. Na pewno o niej wspominałem.

A jednak nie wspominał, ani razu podczas terapii nie wypowiedział jej imienia, co by znaczyło, że albo jest dla niego zupełnie nieważna, albo wprost przeciwnie, bardzo się liczy. Nigdy sobie tego nie uświadamiał. To ciekawe, ile mogą ujawnić niektóre pominięcia. Jej zapowiedziany przyjazd wprawił go w wielkie zaniepokojenie.

Czemu tak się tym przejmujesz? Przecież to twoja siostra. A nie obca osoba.

Tak, ale czy nie w tym właśnie rzecz? Znam ją i wiele się między nami wydarzyło.

Opowiedz coś więcej.

Nie ma co opowiadać. Gdy się zastanawia nad tą prośbą, nawet nie wie, co takiego się wydarzyło. Normalne rodzinne sprawy, napięcia między rodzeństwem. Czym się tak przejmuje? W końcu potrafi powiedzieć tylko tyle, że ma wrażenie, jakby stali po przeciwnych stronach.

Stronach czego?

Dobre pytanie. Szczeliny, powiększającej się dziury, przepaści. Ale skąd się ta przepaść wzięła i gdzie dokładnie leży, to inna kwestia. Nie ma na to odpowiedzi, w każdym razie on jej nie zna, nie dzisiaj. Wie jedynie, że wizja spotkania z młodszą siostrą drażni go i niepokoi, lecz nie da się tego uniknąć.

Amor przyjeżdża na pogrzeb. Zgodził się odebrać ją z lotniska, bo ona wciąż, co za niespodzianka, nie zrobiła prawa jazdy. Sama też się pewnie niepokoi. Zapowiedziała się tylko na dwie noce, żeby wziąć udział w mszach, czuwaniu i requiem. Następnego dnia po uroczystościach zamierza wrócić do Durbanu. Twierdzi, że nie dostanie więcej wolnego, ale nie oszukujmy się, to nie jest prawdziwy powód. Też nie chce tu być, nie dłużej, niż to konieczne.

Jej lot się opóźnia, co daje mu dodatkową godzinę na zgryzoty. Krąży po obszernym nowym lotnisku, wielkim, prestiżowym projekcie obecnego rządu, popatrzcie, jacyśmy światowi i wystawni. Musi przyznać, że Mbeki zrobił na nim wrażenie, może ma wybiórczy obraz świata, lecz umie zaimponować. Kasa wciąż brzęczy. Jednak lotniskiem nie sposób się zachwycać bez końca, bezosobowa nijakość sal odbiera siedzącym tam ludziom część człowieczeństwa. Przynajmniej z pewnej odległości.

Rozpoznaje Amor w ostatniej chwili, gdy ta już się do niego zbliża. Ma inne włosy, znacznie krótsze niż poprzednio i siwiejące na skroniach, ale nie na tym polega główna zmiana. Zapamiętał ją jako piękną, zapamiętał wstrząs, jaki wywołała, lecz tamta świeżość prawie całkiem zanikła. Już nie jest taka młoda. Żadne z nas nie jest. Pokrętło z wolna ściemnia żarówkę. Trzydzieści jeden lat. Jeszcze nie wygląda całkiem zwyczajnie, lecz zbliża się do tego stanu. Po prostu kolejna twarz na lotnisku.

Hej, siostra. / Cześć, Anton. Potem króciutka chwila milczenia, podczas której najstarsze i najmłodsze z rodzeństwa patrzą na siebie poprzez nową, nietypową pustkę. Astrid w jakimś sensie zawsze była spoiwem. Jakim językiem będziemy teraz rozmawiać? Amor nie rusza naprzód, by go objąć, on także stoi nieruchomo. Jakby z góry się na to umówili. Mimo chłodnej rezerwy traktują się jednak przyjacielsko.

Amor ma tylko bagaż podręczny, mały plecak. Wybrała swobodę. I to tak wielką, że prawie się spóźniła na poranny lot. W Durbanie na lotnisku, dokąd podwiozła ją Susan, długo stała w miejscu, ogarnięta nagłą niepewnością, czy potrafi wykonać kolejny krok. Ale najwyraźniej potrafiła, bo oto jest, siedzi obok Antona w mercedesie i jadą na farmę.

Anton przez pół nocy zamartwiał się perspektywą tej właśnie chwili, długiej jazdy i konieczności wypełnienia czasu. W samochodzie nie da się od siebie uciec, do wyboru pozostają tylko rozmowa lub milczenie. Zawczasu przygotował sobie ekscentryczną gadkę, żartobliwą i samokrytyczną, taką, która dobrze działa w barze i której często używał dla rozluźnienia atmosfery. Lecz ona oczywiście nie jest kimś, kogo dopiero poznał, i żadne z nich, o ile potrafi stwierdzić, nie jest pijane, w dodatku Amor brakuje poczucia humoru, więc szybko porzuca swój występ i przechodzi do konkretów.

Musimy ustalić pewne sprawy, siostro. Rodzinna prawniczka próbowała się z tobą skontaktować, ale chyba w końcu się poddała. Są jakieś problemy z comiesięcznymi wypłatami ze spadku po Pa, wygląda na to, że nie mają twojego numeru konta. Tymczasowo odkładają te pieniądze na rachunku powierniczym, ale powiem ci, że sporo tracisz, mogłabyś wyżyć z samych odsetek, nie ma sensu się ukrywać.

Wiem. Dostałam te wiadomości.

Prawniczka twierdzi, że nie odpowiedziałaś.

Fakt. Przepraszam.

Dobra, może to i lepiej. Muszę cię spytać o coś jeszcze, możemy to załatwić za jednym zamachem.

Co takiego?

Być może będę musiał sprzedać trochę ziemi. Mały kawałek farmy, o ile się zgodzisz. Mam spore rachunki, raty i podatki ciągle idą w górę, koszta stałe to jakiś koszmar… Ale to teraz nieważne, możemy o tym pogadać później.

Już prawie powiedział za dużo, jeszcze nie czas na tę drobną prośbę. Zmienia temat, mówi o ogólnym stanie kraju, tej intrygującej mieszaninie optymizmu i obaw. Co, jeśli się zastanowić, opisuje także jego własny stan. A przynajmniej obecnie tak mu się wydaje. Paple, bo się denerwuje, ale zdumiewa go radość, jaką odczuwa ze spotkania, oraz to, jak łatwo rozmawia mu się z siostrą. Jest dobrą słuchaczką. Wcześniej tego nie zauważył. Masz ochotę czymś się z nią podzielić, wyznać coś takiego, dzięki czemu wydasz się wyjątkowy. W ostatnich latach takich rzeczy jest

coraz mniej, osuwasz się w zasłużony banał. Została mu tylko jedna ambicja zdolna być może go odkupić.

Piszę powieść, mówi jej.

Naprawdę?

Wiesz, to na razie tylko kilka stron, reszta głównie w postaci notatek. Lecz jeśli jestem czegoś pewny, to tego, że skończę. Możesz powiedzieć, że zawiodłem na wszystkich innych frontach, nie będę oponował. Przynajmniej pozostanie po mnie książka. Choćby kiepska. Słyszy własne słowa i oblewa się gorącym rumieńcem.

Amor spogląda na niego z zainteresowaniem, przekrzywiając głowę. Wcale nie uważam, że zawiodłeś.

No tak, ty zawsze byłaś uprzejma. Mówi sardonicznym tonem, lecz uświadamia sobie, że to prawda. Uprzejmość ją wyróżnia. To jej specjalna cecha.

Jaki ma tytuł?

Jeszcze nie ma żadnego. Wymyślę go pewnie na samym końcu. Przestaje odczuwać zażenowanie i zaczyna otwarcie rozmawiać z nią o powieści w sposób, w jaki nigdy nie rozmawiał, powiedzmy, z żoną. Mówi, że zaczął pisać kilka lat temu, pewnej gorączkowej nocy. Że od tamtego czasu ciężko pracuje, prawie codziennie, czasami po kilka godzin. Że nawet gdy nie pisze, tylko siedzi i myśli o książce, daje mu ona coś w rodzaju schronienia.

Schronienia przed czym?

Przed życiem, odpowiada i wybucha śmiechem, jak to dawniej miał w zwyczaju, takim prawie do łez.

Przez parę ostatnich lat Amor nie przeczytała zbyt wielu powieści. Jakiś czas temu, po kilku latach pracy w szpitalu, przestała czerpać z nich przyjemność. Prawdziwy świat stał się zbyt wielki i ciężki, by dało się go nosić w torbie. Chciałaby jednak przeczytać książkę brata, kiedy ją pewnego dnia ukończy.

Docierają do bramy i Anton wysiada, żeby ją otworzyć, a potem zamknąć. Ostatnio założył dwa zamki na szyfr, najprościej będzie, jeśli obsłuży je samodzielnie. Na szutrowej dróżce pozwala wreszcie zapanować

milczeniu. Widok taki sam, za ich życia w ogóle się nie zmienił. Lecz gdy parkują na podjeździe, Amor dostrzega, że budynkowi przydałoby się malowanie, a klomby, wytyczone, obsiane i doglądane przez matkę, zarosły chwastami.

Choć Antonowi zależy na tym, by zauważyła oznaki rozpadu i mu współczuła, raptem ogarnia go potrzeba obrony. *Ja*, ostatnio to i owo zaniedbałem. Ale niedługo wszystko uporządkuję, konkretnie w przyszłym tygodniu, czekam tylko na zamówiony sprzęt…

We wnętrzu także widać rysy, pęknięcia i drobne kapitulacje. Brakującą nogę stołu zastąpiła sterta encyklopedii. W oknie, zamiast szyby, gazeta. Wszystko jest lepkie i zakurzone, niezbyt często się tu sprząta.

Szkoda, że nie przywita cię moja cudowna żona, ale właśnie synchronizuje wibracje ze swoim guru. I żałuję, że nie mogę cię umieścić w którymś pokoju na piętrze, ale wszystkie pełnią teraz inne funkcje.

Mój pokój także?

Tak, przepraszam, to obecnie mój gabinet. Tam piszę! Teraz śpimy w dawnym pokoju Pa. Wygodniej ci będzie w gościnnym na dole.

Nigdy wcześniej nie było takiego pokoju. Okazuje się, że to stary gabinet Pa na parterze, w tylnej, ciemnej części domu. Kwadratowe, pozbawione uroku pomieszczenie z linią trzech wąskich prostokątnych okien pod sufitem. Przypomina więzienną celę, chociaż wyposażenie jest tu rodem z hotelu. Łóżko, biurko, krzesło, szafka, wszystko zwiezione za jednym zamachem z sieci meblowej Morkels.

Nieważne. To tylko dwa dni. Stawia swój mały plecak na podłodze.

Przyniosę ci świeżą pościel, mówi Anton. Jednak nie wychodzi. Znowu jej się przygląda, otwarcie i szczerze. Zauważa, że jego młodsza siostra, teraz już jedyna, ma pewną trudną do zdefiniowania cechę, której nigdy nie utraciła. I co, jak wyglądam? pyta ją.

Amor powoli kręci głową.

No wiesz, mogłabyś skłamać.

Linia włosów biegnie coraz wyżej, odsłania starą bliznę, a w kącikach oczu ma ciemne zmarszczki. Lecz uwagę Amor zwraca co innego, głębokie znużenie widoczne na jego twarzy.

Nie wyglądasz dobrze, mówi mu.

Ty też nie tryskasz zdrowiem.

Właśnie straciłam siostrę.

Traf chce, że ja też. Szybki uśmiech rozcina jego twarz i zaraz się zabliźnia. Zdajesz sobie sprawę, że zostaliśmy już tylko we dwoje.

Wychodzi, by przynieść pościel. Spędza na tym sporo czasu, ale gdy wraca, Amor wciąż siedzi na skraju łóżka i podejmuje rozmowę, jakby żadnej przerwy nie było.

To może zgodzimy się co do jednej rzeczy, Anton.

Jakiej?

Salome. Domek Lombardów.

Powoli odkłada pościel na łóżko. A ty wciąż, mówi zdumiony. Ty wciąż o tym.

Tak. Ja wciąż o tym.

Czy to musi być pierwsza rzecz do omówienia?

Sama się zdziwiła, że ta pogrzebana sprawa sprzed wieków nadal jest dla niej tak ważna. Przez lata wielokrotnie wspominała Salome, to jasne. Ilekroć wędrowała myślami w stronę domu, czy raczej po prostu farmy, bo to nie jest już jej dom, zawsze znajdowała w głowie wiele kwestii do załatwienia, w tym kwestię Salome. Jednak układanka wciąż się rozsypywała, jakkolwiek próbowała ją ułożyć.

Nie zostanę tu długo, mówi.

Chciałem się tym zająć. Naprawdę. Ale… No wiesz, życie.

No dobrze, mówi Amor ugodowo. Możemy to zrobić teraz?

Jak to, w tym momencie? Przecież na pewno widzisz, że to zła chwila. Ale zajmiemy się tym, mówi Anton. Oczywiście. To proste. Załatwimy tę sprawę.

Zanim wyjadę?

Może nie być czasu. Tak czy inaczej, nie musimy teraz, prawda? Możemy to sfinalizować zdalnie. To nie takie pilne. Zwłaszcza że niedługo zaczyna się pogrzeb. Lepiej się przygotuj.

Wychodzi swobodnym krokiem, lecz gdy tylko znika jej z oczu, biegnie na górę do swojego gabinetu, by raz jeszcze przestudiować plany, które

wyjmuje z ogólnego bałaganu i rozpościera na podłodze. Wpatruje się w nie z zachłannością i strachem, jakby przedstawiały mapę ogromnego, wspaniałego imperium.

To tam zastaje go żona po powrocie z zajęć jogi w Holistycznym Centrum Człowieka. Nawet długa sesja pranajamy nie ukoiła niespokojnej energii, którą dziś odczuwa. Tupie, prycha i zarzuca grzywą niczym koń. To pewnie przez zbliżający się okres, a dodatkowo przytłacza ją negatywna, niszczycielska karma rodziny męża. Co też oni musieli nawyczyniać w poprzednich życiach, że w obecnym sprawiają tyle kłopotów!

Czy ona tu jest?

Anton budzi się z głębokiego rozmarzenia. Tak. Jest.

I…?

I nic, odpowiada. Wszystko w porządku.

Oby sobie nie wyobrażała, że specjalnie dla niej będę robić osobne posiłki bez mięsa. Co to, to nie. Desirée ciągle o tym wspomina, ta myśl dręczyła ją, odkąd usłyszała o zbliżającej się wizycie Amor. Szwagierka nie pojawiła się na jej weselu przed trzema laty i nawet nie okazała żadnej skruchy. Poza tym mnóstwo ludzi wspominało, jaka jest piękna, co w ostatnich latach stało się dla Desirée drażliwym tematem. O, to ona?

Gdzie?

Desirée staje przy oknie, w którym żaluzje są stale opuszczone, i wygląda przez lukę między listewkami. Tam, gada z pokojówką przy sznurze na bieliznę.

Hmm, bardzo podejrzane. Dwie kobiety się obejmują, niepotrzebna czułość międzyrasowa, podczas gdy suszące się ubrania drgają i tańczą na wietrze. Tak, to na pewno ona.

Nie taka cudowna.

Fakt, jej uroda trochę zblakła.

Naprawdę? Hmmm. Desirée trochę się do niej przekonuje. Co one tam robią we dwie?

Obmyślają rewolucję, odpowiada Anton. I faktycznie, splecione ze sobą wyglądają, jakby spiskowały. Nawet gdy już się od siebie odsunęły, wciąż się nie puszczają do końca. Rozmawiając, stoją bardzo blisko siebie,

trzymają się za ręce i niemal stykają czołami. Tę moją siostrę zawsze ciągnęło do niższych klas. Chociaż nie, niezupełnie. Ona w ogóle nie myśli politycznie. Ciągnie ją do ofiar, im kto słabszy, tym lepiej, myśli, że musi zadośćuczynić za wszystkie historyczne krzywdy, i między tymi dwoma powstał jakiś niecny sojusz, Bóg wie, w jakiej sprawie.

Cóż, mówi Desirée, gdy scenka zaczyna ją nudzić, jeśli tylko nie będzie się domagać specjalnych posiłków…

Widok Salome w ubraniu do kościoła przypomniał jej, że musi się przygotować na czuwanie. Nigdy nie była na katolickim pogrzebie, jak właściwie trzeba się ubrać?

Ksiądz ma na sobie swoje wszystkie regalia, ludzki ekwiwalent pawia. Patrzcie, wychodzi z przytulnej plebanii za kościołem, czy nie czuje się absurdalnie? Jego żółty fiat stoi zaparkowany na podjeździe. Już zamierza wsiąść, gdy dostrzega bezdomnego siedzącego na krawężniku po drugiej stronie.

Nie możesz sikać w krzaki przy kościele, mówi. Proszę cię.

Nie będę, odpowiada Bob.

W ogóle nie załatwiaj się w pobliżu kościoła. Po chwili, by okazać współczucie biedakowi w nieszczęściu, dodaje: Rób to gdzieś dalej.

Jest już spóźniony na mszę, która odbywa się w kaplicy przy domu pogrzebowym kilka minut jazdy od kościoła. To dość ponura, ciasna i niska sala, zna ją dobrze, a po licznych autach na parkingu poznaje, że będzie tłoczno. Na szczęście jedno miejsce zarezerwowano dla takich jak on, więc nie musi daleko iść, dzięki czemu jednak punktualnie, albo prawie, z połyskującym torsem przekracza próg kaplicy.

W ciężkich szatach liturgicznych wyraźniej odczuwa wagę urzędu. Choć rzecz jasna w niczym nie przypomina siebie z nocy, owiniętego w szlafrok, z odsłoniętymi bezwłosymi kostkami, wolałby uniknąć spotkania z mężem zmarłej, ale nie może tego zrobić, gdyż Jake będzie w gronie osób niosących trumnę. Trzeba się więc oczywiście przywitać, udaje im się jednak ograniczyć do wymiany krótkich, skrzywionych półuśmiechów.

Dzieje się to na schodach przed kaplicą w niespokojnym zmierzchu. Trumna znajduje się w salce obok, przed którą stoją ludzie wyznaczeni do

jej niesienia. Wchodzą teraz do środka i wynoszą trumnę przez drzwi ku oczekującemu księdzu, ten zaś kropi ją wodą święconą.

Dochodzi do kolejnego drobnego spięcia, ponieważ pierwszy mąż Astrid, Dean, został wbrew własnej woli zwerbowany do niesienia trumny. W ostatniej chwili zajął miejsce Wessela Laubschera, który się zgubił i nie przyjechał na czas. Mały, okrągły Dean de Wet, ostatnio okrąglejszy niż kiedykolwiek i czerwony na twarzy z wściekłości, staje z przodu, po przekątnej od uzurpatora, drugiego męża, którego ani teraz, ani nigdy więcej nie zamierza obdarzyć spojrzeniem czy słowem.

Mimo to lepsza strona jego charakteru każe mu się podjąć zadania. Głównie z uwagi na bliźnięta. Nigdy nie wybaczy Astrid cierpień, na które go skazała, a zwłaszcza tego najgorszego, jakim było odebranie mu dzieci. Ależ to życie dziwne. Po pogrzebie Neil i Jessica pojadą do Ballito, by spędzić z nim oraz Charmaine resztę swojego okresu dorastania. Przewrotny rodzaj sprawiedliwości wśród tych wszystkich krzywd. Z uwagi na obrażenia, jakich doznała nieboszczka, zdecydowano na szczęście, że trumna będzie zamknięta, i teraz w poważnej atmosferze muzyki organowej niosą ją do kaplicy, po czym ostrożnie stawiają, skierowaną stopami we właściwym kierunku. Skrzynia zostaje okryta białym całunem, padają odpowiednie słowa po łacinie, mnożą się obrzędowe gesty, kwiaty, kadzidlane obłoki, hymny i modlitwy, a wszystko to skoncentrowane na ciele w pudle, które zaraz rusza w drogę. Ale dokąd? Odpowiedź na to pytanie wciąż podlega dyskusji, więc usłysz nas, Panie, okaż miłosierdzie duszy naszej siostry Astrid, nie zsyłaj jej do Czyśćca, albo nie na długo, a na pewno nie do tego drugiego miejsca. Już się nacierpiała, nie zasługuje na gorszy los.

Ojciec Batty jako wątek przewodni wybrał historię Kaina i Abla. Tego wieczora jest w refleksyjnym nastroju, skłonny do głoszenia moralnych przestróg, zwłaszcza po tym, gdy wczoraj zauważył tego menela sikającego na klomb pod kościołem. Zaprawdę, barbarzyńca stoi u bram, czarna powódź Szatana bije już o brzegi itp., itd.

Dobry ojciec przemawia wyjątkowo donośnym głosem, okazja wymaga tragicznego tonu. Powiadam wam, bracia i siostry, że czasami sam nie wiem, gdzie my żyjemy, w Edenie czy w kraju wygnańców. Ta piękna,

szczodra ziemia przypomina raj. Ale zdarzają się chwile takie jak ta, gdy można odnieść wrażenie, że jesteśmy uchodźcami pośród plemienia Kainowego, a Pan odwrócił od nas swoje oblicze… Ciągnie dalej w tym stylu, ale kto dałby radę długo tego słuchać, wzmożenie moralne staje się zbyt wielkie dla ludzkich uszu, a i głos księdza trochę piskliwy. Chyba trochę przedobrzył, bo nie potrafi stłumić nieprzyjemnej myśli o tym, co zaniedbał, która wciąż do niego wraca. Znacznie łatwiej winić Kaina! Większość zebranych z ulgą przyjmuje chwilę, gdy podsumowuje swoje metafory, nalegając, aby byli stróżami braci swoich i powrócili do świętego pierwszego ogrodu, gdzie z pewnością mieszka Astrid. A teraz módlmy się.

Ja, mówi Anton po mszy, siedząc w samochodzie, żyjemy na uchodźstwie w kraju wysrańców… Potem na resztę drogi do domu zapada cisza, reflektory wykrawają w przestrzeni wąski żółty tunel. Gdy wchodzą do domu, pozwala wszystkim się rozejść. Salome rusza ścieżką wokół pagórka, Desirée idzie na górę do sypialni, on sam tymczasem kieruje się do barku w salonie. Potrzebuje znieczulacza, by ukoić nerwy.

Gdy się odwraca, z zaskoczeniem dostrzega Amor. Chcesz drinka, siostra? Nie? To kolejna życiowa przyjemność, której sobie odmawiasz? Ból jest prawdziwszy?

Nie, odpowiada i siada na sofie. Tylko boleśniejszy.

Otóż to, i zbędny. Dlaczego zawsze musisz cierpieć? Trzymaj, naleję ci. Napełnia kieliszek winem i wyciąga go ku niej. Śmiało. Poluzuj sobie śrubę.

Po chwili wahania Amor sięga po kieliszek ze skrzywionym uśmieszkiem. Tak mnie widzisz? Podokręcane śruby i cierpienie? Nic o mnie nie wiesz, Anton.

To nie do końca prawda. Wiem to i owo. Byłem tu przy różnych wydarzeniach. Ten piorun!

To było dawno temu. A potem wyjechałam z domu.

Przez moment patrzy na nią poważnym wzrokiem. Dobra. Masz trochę racji. Ale możemy to zmienić. Wypijmy za nowy początek.

Unosi kieliszek, popija. Patrzy, jak ona ostrożnie robi to samo. Po chwili to Amor wznosi toast.

A jeśli mówisz poważnie, to teraz wypijmy za dom Salome.

Anton wzdycha teatralnie. Powiedziałem, że się tym zajmę.

Dziewięć lat temu mówiłeś to samo.

Słuchaj, zróbmy tak. Anton odzywa się takim tonem, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy. Pomóżmy sobie nawzajem. Poczekaj sekundę. Wychodzi i biegnie na górę do pokoju Amor/swojego gabinetu, po czym wraca ze zrolowanymi arkuszami. Rozpościera plany na podłodze salonu, rogi przyciska butelkami wina. Patrz, ta parcela tutaj. Puk, puk palcem. Na skraju posiadłości, bezużyteczna. Nikomu nie będzie przeszkadzać.

Ona jest zaraz obok kościoła Alwyna Simmersa. Im może przeszkadzać.

Cóż, *ja*. To fakt. Ale nam nie, a to najważniejsze.

Znów patrzy na niego zaciekawiona, z przechyloną głową. Myślałam, że rozmawiamy o domu Salome.

Bo rozmawiamy. Ale możemy zorganizować spotkanie z prawniczką i upiec dwie pieczenie na…

Co jedna pieczeń ma wspólnego z drugą?

Ech, mówi głośno, uzupełniając swój kieliszek, w duchu nowego początku musimy sobie nawzajem pomóc!

Nie.

Słucham?

Nie, powtarza Amor powoli. Nie, nie zgodzę się na to.

Dlaczego nie?

Anton, mówi, to nie jest żadna wymiana. Salome obiecano dom. Dlaczego nie chcesz jej go dać?

A jeśli dam, to się zgodzisz…?

Nie.

Zaczyna tracić rezon, zwija plany. Dlaczego nie? Jaka to nowa szlachetna pobudka?

Chcesz sprzedać tę parcelę, żeby zaszkodzić kościołowi. To jedyny powód.

Wcale nie jedyny, ale nawet gdyby, to co z tego? Wpada w zimną, stalową wściekłość. Powinnaś nienawidzić tego człowieka równie mocno jak ja.

Ale tak nie jest.

To może spytaj Salome, co sądzi. Nie sprzedam parceli, nie będzie domu, to mój warunek.

Cokolwiek sądzi Salome, mówi mu Amor, nasza matka chciała jej oddać domek Lombardów. To było jej ostatnie życzenie, a Pa zgodził się je wypełnić. Obiecał.

Ty tak twierdzisz.

Bo tam byłam.

Ty tak twierdzisz.

Więc kłamię?

Nie wiem. A kłamiesz?

Amor po raz pierwszy zaczyna się wahać. Nie, na pewno nie kłamie. Ale czy mówi prawdę? Jest tego prawie pewna, choć niezupełnie. Teraz jednak nie może już się wycofać. Na tym też polega zmiana, którą Anton dostrzegł w jej twarzy, stała się pewna swego i nieustępliwa. Kiedyś taka nie była. Dawna słabość zniknęła.

Nie, odpowiada Amor. Nie kłamię.

Anton kiwa głową ze zrolowanymi planami pod pachą. Dobrze. Nie chcę stać się przyczyną twojej pierwszej moralnej porażki. Jeden błąd, a potem już z górki. Coś o tym wiem. Tak czy inaczej, wzdycha. Mówię dobranoc.

I wychodzi. Amor słyszy, jak oddala się korytarzem. Z odgłosu jego kroków wyczytać można wahanie, lecz nie wraca. Ta chwila także nie wróci, co cechuje zresztą każdą chwilę, choć nie wszystkie w jednakowym stopniu.

Sama w gabinecie Pa, bo tym właśnie zawsze będzie dla niej ten pokój, kładzie się, zamyka oczy i próbuje odnaleźć w swoim wnętrzu miejsce, w którym nie wieje zimny wiatr. Nie potrafi. Za oknem dmie zresztą prawdziwy mroźny wicher, który szarpie dachówki, stuka w drzwi i porusza zasłonami.

Problem polega na tym, myśli, że ja nigdy nie nauczyłam się porządnie żyć. Zawsze czegoś było mi za mało albo za wiele, świat mi ciąży. Ale

nabieram wprawy! napomina się. Ostatnio coraz częściej stwierdza, że potrafi robić to, co musi, lecz robić to lekko.

Jednak dzisiaj, przykro stwierdzić, tak się nie dzieje. Życie i śmierć mocno ją przygniotły i ani na jedno, ani na drugie nie ma żadnego remedium. A jutro ciężar jeszcze wzrośnie. Może przyjazd był błędem. Za późno na żale. Leżąc bezsennie w twardym, wąskim łóżku, Amor postanawia skrócić wizytę o jeden dzień. Wyjedzie rano po mszy, może jeszcze przed jej końcem, nie mówiąc nikomu ani słowa, a do brata więcej się nie odezwie. Nie jest na niego zła, po prostu ma go dość. Chyba że.

Poranek jest ładny, cichy i przejrzysty, doskonały jesienny dzień na Wysokim Weldzie. Idealna pogoda na pogrzeb! Przy takich okazjach Ojca Batty'ego ogarnia dobry nastrój, Przecież nie ma powodu się smucić, powtarza rodzinie, skoro Bóg powołał Ukochaną do Siebie. To ten rodzaj banalnych zapewnień, które zamiast współczucia wywołują zażenowanie u wielu osób z jego trzódki, ale on się tym nie przejmuje, bo zbytnio rozpiera go radość.

Bo czemu miałby się nie cieszyć, skoro czeka go wielka msza pogrzebowa, której kolejne etapy i formalności otwierają się przed nim na podobieństwo bogato wystrojonego pasażu? Timothy Batty jest bardziej świadomy własnych słabości, niż to okazuje, lecz najmniej omylny czuje się właśnie wtedy, gdy stoi przed tłumem żałobników w roli mistrza Bożej ceremonii.

Znów wszyscy zbieramy się w kościele wbrew własnej woli. Jeśli nawet w takich chwilach nie można liczyć na wzajemną lojalność członków klanu, to przynajmniej wiadomo, że stawią się tłumnie, i teraz spoglądamy jeden na drugiego ze swoich małych okopów. Swartowie przeważnie trzymają się razem, choć nasza gromada znacznie się przerzedziła i zajmujemy już tylko jeden rząd ławek od frontu, Amor, Anton, Desirée i rozmaici dalecy krewni, którzy prawie niczym się nie odróżniają od pozostałych gości. Bowiem w rodzinie Swartów nie ma niczego wyjątkowego czy niezwykłego, ani trochę, przypominają rodzinę z sąsiedniej farmy i jeszcze kolejnej, są po prostu zwyczajną gromadą białych Południowoafrykańczyków, a jeśli nie wierzycie, to posłuchajcie, jak rozmawiamy. Nasze głosy brzmią tak samo jak inne, gadamy jednakowo, opowiadamy jednakowe historie i mamy

akcent rozpłaszczony butem, a wszystkie spółgłoski skrócone o głowę i poprzetykane nadmiarem samogłosek. Coś zardzewiałego, zmytego deszczem i wyszczerbionego siedzi nam w duszy i wybrzmiewa w głosie.

Ale nie mówcie, że wcale się nie zmieniamy! Bo zgadnijcie, kto jeszcze dziś tkwi we frontowej ławce w roli honorowej krewnej. Patrzcie, jak daleko zaszły zmiany w tym kraju, czarna niania siedzi z rodziną! Założę się, że Salome nigdy, nawet w świątyni Pierwszego Zgromadzenia pod wezwaniem Objawienia na Wysokim Weldzie, nie przebywała wśród tak bogatych dekoracji, chociaż dla niej to tylko rozmazane złote plamy, ponieważ ma zaćmę, przez którą wydaje się jednocześnie mądrą, powściągliwą kobietą.

W dodatku nie jest jedyną czarną w kościele! Jeśli spojrzycie o tam, tylko nie teraz, zobaczycie tego wziętego polityka, nigdy nie umiem wymówić jego nazwiska, bo nie radzę sobie z mlaskami, w każdym razie facet płynie dziś na wznoszącej fali. Jest oczywiście biznesowym partnerem męża Astrid, ale i tak miło z jego strony, że przyszedł, uprzejmy gest zajętego człowieka.

I nie jest tu nawet jedynym politykiem! Aczkolwiek, prawdę mówiąc, ojciec Desirée oficjalnie zakończył działalność polityczną, w dodatku w dzisiejszych realiach jego obecność jest trochę niewygodna. Na Komisji Prawdy i Pojednania wyszły na jaw takie rzeczy, że skóra cierpnie, ale przecież zła sława to także sława, a jeśli przyjrzeć mu się z bliska, wygląda po prostu jak zwykły stary wujek, całkiem nieszkodliwy, mógłby uchodzić za sprzedawcę mebli w małym miasteczku. Przyszedł pewnie pod przymusem, zaciągnięty przez żonę, platynową dziunię po czterdziestu pięciu liftingach i w zabójczych szpilkach.

Ale dość tego, jesteśmy tęczową nacją, a co za tym idzie, ludzie zebrani w kościele to gromada pstra, skundlona i wymieszana, w dodatku wszyscy nerwowi i skrępowani, nastawieni do siebie jak antagonistyczne pierwiastki w układzie okresowym. Ksiądz jednak zwraca się do wszystkich bez różnicy, po równo obrzuca ich łacińskimi frazami, Requiem aeternam dona eis, Domine, nieprzejrzystość Boga jednoczy ich na moment, zanim to, co w nim klarowne, znowu zacznie dzielić.

Idźmy dalej i na zewnątrz. Przez boczne drzwi kościoła na cmentarz, gdzie ziemia otwarła już paszczę w oczekiwaniu. Nie ma sensu rozwodzić się nad opuszczaniem trumny, rozdzierającym serce smutkiem pożegnania itp., itd. To bardzo stara scena, być może najstarsza ze wszystkich, i nie ma w niej nic wyjątkowego.

A na pewno bezdomny Bob już to wszystko widział. Ze swojego stanowiska w przeciwległym rogu wiele razy oglądał podobne grupy, moczące łzami prostokątny otwór. Choć dzisiaj jest może trochę inaczej, bo w zgromadzeniu bierze udział więcej bytów niż zwykle. Widzi na przykład pokręconą istotę przyssaną do księdza, futrzasty sapiący kształt między nagrobkami, uskrzydlonego stwora, który od czasu do czasu przecina powietrze. Dziedziniec kościoła kipi dzisiaj aktywnością.

Amor wychodzi jako pierwsza. Wcześniej w domu, nic nikomu nie mówiąc, zamówiła na odpowiednią godzinę taksówkę i teraz, tuż przed końcem ceremonii, spieszy na zewnątrz ze swoim małym plecakiem. Bob przygląda się jej z bliska, kiedy go mija, ale ta kobieta jest całkiem wolna od bytów, jeśli nie liczyć nieustającego nikłego blasku czy też czegoś w rodzaju delikatnego błękitnego ognia, który się z niej wydobywa.

Dzień dobry, mówi do niej Alphonse z szerokim uśmiechem. Przez te wszystkie lata od pogrzebu Pa miała zapisany jego numer, a on, co niesamowite, wciąż się nim posługuje. W życiu wiedzie mu się lepiej, podszkolił angielski i znajomość ulic Pretorii. Amor wsiada do jego taksówki i odjeżdża, a tymczasem pogrzeb za jej plecami dobiega końca i tłum się rozprasza. Bob patrzy, jak ludzie i towarzyszące im organizmy falami opuszczają podwórze, tworzą promieniste wzory, które wydają mu się wcale niebrzydkie. Jest tam też jednak pewien mężczyzna, którego zobaczył już kilka wieczorów temu i przejął się nim, bo wygląda jak najsmutniejszy człowiek świata. Porusza się powoli, ze wzrokiem wbitym w ziemię, a gdy mija Boba, unosi spojrzenie.

Czy wiesz, pyta go bezdomny, że masz na plecach stwora?

Co?

Trzyma się ciebie. Mackami.

Bzdury, mówi przerażony Jake.

Ja widzę takie rzeczy, wyjaśnia mu Bob. Nie da się mnie oszukać.

Co widzisz?

Istotę na twoich plecach. Jest ogromna i ma dużo ramion. Znaczy się macek.

Jake stoi. Ten kloszard jest obłąkany, to jasne, ale jego słowa na dobrą sprawę mają sens. Coś wielkiego i mrocznego siedzi na Jake'u, wyczuwa ssanie macek.

Zdejmiesz to ze mnie?

Pytanie bardzo rozśmiesza Boba. Bracie, tylko ty jeden możesz to z siebie zdjąć!

Nie wiem jak.

To ja ci nie pomogę. Może spróbuj otrzeć się o ścianę?

Jake rusza. Nie powinien był zaczynać tej rozmowy, ale obecnie jest otwarty na wszelkie sygnały, dosłownie wszelkie. Zaledwie kilka dni temu nie brałby czegoś takiego pod uwagę, lecz czasami reguły błyskawicznie się zmieniają. Wszystko, w co da się uwierzyć, może być prawdą.

Po powrocie do domu szuka kogoś bliskiego, najlepiej kobiety, musi się jednak zadowolić szwagrem, który grzebie w kuchennych szafkach, zapewne w poszukiwaniu alkoholu. W jego przypadku można przynajmniej liczyć na szczerą odpowiedź. Czy ja mam coś na plecach? pyta.

Że co?

Bezdomny pod kościołem powiedział, że coś mi siedzi na plecach.

Ech, bzdety, mówi Anton. To pewnie wariat.

Trochę się niepokoi o Jake'a, facet ewidentnie sobie nie radzi. Zupełnie nie jest sobą. Proszę, stoi tak z mackowatym stworem na plecach we własnym domu pełnym ludzi, którzy przyszli go wesprzeć w trudnej chwili, i nie dowierza, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Muszę cię o coś spytać, odzywa się.

Dobra.

Wiedziałeś, że Astrid miała romans?

Nie.

Mówisz prawdę? Nie wiedziałeś?

Anton kręci głową. Nie, nie wiedział. Niesamowite! Ale z kim?

Liczyłem, że ty mi powiesz.

Nie wiem. Przykro mi.

Anton patrzy, jak szwagier sztywno dryfuje w dal niczym patyk w strumieniu, i nachodzi go rzadki odruch współczucia dla innej ludzkiej istoty, choć i tę reakcję otacza skorupka lodu. Nie ma szczerych odpowiedzi bez zimnych pytań. Ani wiedzy bez prawdy.

A tu nie ma alkoholu, w żadnej szafce. Co z tym gościem jest nie tak? Anton jeszcze przez chwilę siedzi samotnie w kuchni, na razie niegotowy na błahe pogawędki, i rozmyśla o siostrze. Nie, nie o Astrid, o tej drugiej. Zobaczył, jak Amor wymyka się z kościoła. Zauważył to, bo wiedział, że tak postąpi, wyczuł jej zamiar, jeszcze zanim przemilczała cały ranek i zabrała plecak na ceremonię. Zaskakuje go, że jest mu z tego powodu przykro, choć przecież to tylko emocje, w końcu jakie to ma znaczenie, że się nie pożegnała? Może zadzwonić do niej w każdej chwili, zaskoczyć nowiną, Hej, Salome ma już swój dom. Może nawet to zrobi. Może naprawdę to zrobi.

Chciałby już wracać do domu, ale nie może wyjść tak wcześnie, najpierw musi zrobić rundkę w towarzystwie. Wejść do salonu, znaleźć jakichś krewnych, wywołać sprzeczkę. Pogadać trochę z Tannie Mariną czy raczej z jej pękatą resztką rozlewającą się w wózku inwalidzkim jak stara świeczka na spodku. Nie ma jeszcze osiemdziesiątki, ale kiedy Ockiego zabrała rozedma płuc, szybko się rozsypała. Trzyma go za ręce i je gładzi, dawniej nic takiego nie robiła. Dawka łzawych uczuć od starej megiery. Och, zgroza, zgroza.

Ostatnio dogląda jej bezużyteczny kuzyn Wessel, który teraz w kółko przeprasza za coś, co wczoraj zrobił albo czego nie zrobił. Co z nim nie tak? Prawie nie wychodzi z domu i nawet nie ruszy palcem, żeby zapracować na życie. Stracił wszystkie włosy, nawet brwi, a ponieważ większość czasu spędza pod dachem, jest blady jak twaróg. Nosi powłóczyste, skrojone jak kaftan ciuchy, pod które pewnie nie zakłada majtek, nawet w taki dzień jak dzisiaj. Sam jego wygląd tak bardzo zwraca uwagę, że trudno się skupić na tym, co mówi, tymczasem on w kółko opowiada, że wadliwy telefon zwiódł go na manowce. Naprawdę przepraszam, tak mi wstyd…

W czym rzecz? Nie rozumiem.

Wczoraj miałem nieść trumnę, ale się zgubiłem. GPS pokierował mnie do złej kaplicy!

Ech, nic się nie stało… Anton lekceważąco macha ręką. Nie obchodzi go to. Ani to, ani nic innego, chociaż udawać trzeba. Gdy tylko pozbywa się dziwnego kuzyna, jego miejsce zajmują oszołomieni siostrzeńcy, dzieci Astrid. Neil i Jessica wyjeżdżają właśnie do Ballito. Uważajcie na siebie. Zadzwońcie czasem! Do widzenia!

W ich okrągłych, pryszczatych nastoletnich twarzach trudno dopatrzeć się jakichś wyrazistych cech, jednak w duchu przeżywają kotłowaninę emocji. Odkąd dawno temu, gdy mieli zaledwie siedem lat, zobaczyli na farmie swojego martwego dziadka, przesiąkli pierwotnym lękiem, że oni również zamienią się w woskowe, sztywne, niezamieszkane ciało, a fakt, że podobny los spotkał matkę, leżącą właśnie w tej chwili pod ziemią na przykościelnym cmentarzu, rozstroił ich kompletnie i w niemal identyczny sposób, jak to się z różnych zawiłych powodów przydarza bliźniętom. Co gorsza, oboje wiedzą, że nadchodzi nieodwołalna zmiana i z jednego życia zostaną przeniesieni do zupełnie innego w samym środku okresu dojrzewania, gdy ich ciała zajęte są produkcją łoju, włosów i żądzy. To wszystko tak strasznie niesprawiedliwe! Do widzenia!

Czego od niego chcą? Do czego służy rodzina? Ciekawe pytanie, które Anton postanawia zadać później w swoim dzienniku. Namysł przerywa mu żona, mówiąc cicho, że wysiedzieli dość długo, czy mogą już jechać? Chce, żeby ten szczeniak Mowgli rozmasował jej czakry, a Anton ma ochotę na whisky, której niestety nie znajdzie w domu Jake’a. Medytacja za medykament, uczciwa wymiana, więc tak, moja słodka i piękna, zaraz pojedziemy, tylko najpierw się pożegnajmy. Uważaj na siebie, dawaj znać, gdybyś czegokolwiek potrzebował. I proszę, pozostańmy w kontakcie.

W drodze do domu pyta: Wiedziałaś, że Astrid miała romans?

Nie! Desirée dziwi się szczerze. Z kim?

Dobre pytanie. Myślałem, że może ty wiesz.

Kręci głową. Zdumiewa ją ta wiadomość. Chociaż, hmm, właściwie nie jest taka zaskakująca. Ale kto tak twierdzi?

Jej mąż.

Jake? Widzisz przecież, że on jest teraz w złej formie.

Anton potwierdza. Nie wiem, co mu jest, ale się pogubił. Powinniśmy go niedługo zaprosić, okazać troskę.

Faktycznie kilka miesięcy później dzwoni do Jake’a z farmy. Zaprasza go na obiad, drinka i ogólne pogaduchy, by podtrzymać wrażenie zainteresowania, a poza tym chce dostać wycenę na ogrodzenie elektryczne wokół domu plus może kilka czujników w ogrodzie. Obiad wypada całkiem nieźle, przynajmniej zdaniem Antona. Świat na trzeźwo, pełen dolegliwości i krzywd, wydaje mu się ostatnio zabawny, dlatego wiele się śmieje, zwłaszcza wieczorami.

Jake’a wciąż dręczy ta sama, teraz już stara kwestia. Gdybym tylko poznał jego nazwisko.

Po co? pyta Anton. W czym by to pomogło?

Nie chcę mu nic zrobić, po prostu chcę wiedzieć. W tej chwili podejrzewam każdego. Nawet jej przyjaciółki. Gdy się upewnię, przestanę cierpieć.

Wcale nie! Słuchaj, kiedy się dowiesz, pojawią się kolejne pytania, Dlaczego, Kiedy, Gdzie, a potem jeszcze kolejne…

Może, mówi Jake obojętnie. Ale i tak chcę wiedzieć.

Desirée dramatycznym gestem uderza w stół. Wie, jak to rozwiązać! W jej grupie medytacyjnej w Rustenburgu jest pewna stara kobieta, medium, która porozmawia z Astrid i spyta ją o to nazwisko.

Jake bierze to na poważnie, co bardzo rozśmiesza Antona. Jak ona będzie rozmawiać z Astrid? Trzeba będzie zapłacić zgodnie z taryfą operatora komórkowego?

Przez jej przewodnika, oczywiście. Desirée zbytnio się przejęła dramatem Jake’a, by zwracać uwagę na męża. Obecnie ta kobieta, Sylvia, komunikuje się za pośrednictwem pewnego Egipcjanina z przełomu wieków, mieszkańca Aleksandrii. On nas skontaktuje z Astrid.

Ale Astrid nie zna arabskiego. A może będą napisy? Anton, zgięty w pół, prawie sika ze śmiechu. Jednocześnie robi na nim wrażenie gorliwość, z jaką Jake pragnie poznać odpowiedź. Jak daleko się posunie, żeby się

dowiedzieć? Najwyraźniej aż za granicę śmierci. Grób poza grobem! Anton biegnie na górę, żeby to zanotować, może wykorzysta w powieści.

Staje oczywiście na tym, że Desirée umawia spotkanie z Sylvią, która na swojej stronie internetowej obiecuje, że podniesie przed tobą zasłonę, i w pewien weekendowy poranek zawozi do niej Jake'a. Dom niczym się nie wyróżnia, jest brudny i kiepsko utrzymany, w czym trochę przypomina samą właścicielkę, przysadzistą, siwiejącą kobietę o długich przetłuszczonych włosach i skrzeczącym głosie. Nigdzie nie widać żadnych spirytualistycznych akcesoriów. Jake'owi podoba się jej proste podejście. Inne osoby, które wypróbował, otaczały się rekwizytami, lecz oszukiwały. Siadają w salonie na zapadającej się sofie z koronkowymi serwetkami na poręczach. Sylvia pyta, co go do niej sprowadza, chociaż zdążyła już poznać całą historię.

Ehm, zaczyna Jake, moja żona zmarła sześćdziesiąt dwa dni temu.

Sylvię ogarnia oburzenie. Nie używaj tego słowa! Ci, którzy odeszli, bardzo go nie lubią.

Jakiego słowa? Nie ma pojęcia, o co jej chodzi.

Nawet nie potrafię go wypowiedzieć. Stan, który ono określa, nie istnieje!

W końcu pojmuje. Chodzi jej o śmierć. Nie istnieje nic takiego jak ów stan. Jej oburzenie dodaje mu otuchy.

Moja żona… odeszła? A mnie trudno się z tym pogodzić. Wciąż mam pewne pytania…

Czy masz przy sobie coś, co do niej należało? Coś, co nosiła albo trzymała blisko siebie?

Ma, ponieważ zawczasu przez telefon powiedziała mu, żeby przyniósł taką rzecz. Oczywiście niektóre osobiste przedmioty odebrano Astrid przemocą, rozeszły się, należą teraz do innych ludzi. Życie przedmiotów, nie macie pojęcia, jak daleko potrafią zawędrować… Znalazł jednak przy łóżku jej okulary do czytania i teraz zawsze mu towarzyszą.

Podaje je Sylvii, a ona zaciska na nich drobną dłoń, po czym zamyka oczy. Nuci i mruczy coś do siebie. Kołysze się w przód i w tył. Otwiera oczy.

Mustapha mówi, że twoja żona jest bezpieczna. Chce ci przekazać, że wszystko z nią dobrze.

Jake kiwa głową, boi się oddychać.

Widzę, że stoi przy wodospadzie, otoczona lasem. Ciepło, słonecznie. Jest szczęśliwa, nic jej nie grozi.

To dobrze, mówi Jake.

Twoja żona mówi, że jeśli będziesz musiał się kiedyś wybrać w długą podróż, powinieneś zabrać mocne buty. Nie oddalaj się od rzeki.

W porządku, mówi Jake. Postaram się.

Ktoś jej towarzyszy. Mężczyzna. Bardzo się nią opiekuje.

Kto to jest? pyta Jake, nachylając się.

Emmm. Sylvia znów zamyka oczy, mocno ściskając okulary. Sprawia wrażenie, jakby usiłowała zrozumieć odległy głos wśród obłoków szumu, i faktycznie jej samej to doznanie przypomina wsłuchiwanie się w trzeszczącą transmisję radiową na kiepskim odbiorniku, z której docierają tylko pojedyncze słowa. Wysoki. Brodaty. Okulary? Czy to ci się z kimś kojarzy?

Imię, mówi Jake. Czy twój przewodnik może podać imię?

Emmm. Mmmm. Mmmm. Mustaphie trudno zdobyć tę informację.

Choćby fragment?

Może Roger? Czy to ci coś mówi?

Nie znam żadnego Rogera.

Richard? Otwiera oczy i wychodzi z transu. Chyba Richard, ale słyszałam niewyraźnie. Może Robert. Coś w tym rodzaju. Nie wiem. Przepraszam, dzisiaj ścieżkę blokuje jakaś przeszkoda. Może spróbujemy znowu za jakiś czas?

Antona nie ma, gdy wracają na farmę, ale Jake dzwoni do niego później tego samego wieczora. Czy imię Roger coś ci mówi?

Jakie? Połączenie jest słabe, to się polepsza, to pogarsza, i Anton myśli, że się przesłyszał.

Czy Astrid znała jakiegoś Rogera? Albo Roberta, albo Richarda? Miała jakiegoś bliskiego znajomego o takim imieniu?

Pytasz niewłaściwą osobę, mówi mu Anton, lecz połączenie już się urwało. Roger/Robert/Richard. Biedak traci rozum. Trzeba się za niego wziąć, spędzić z nim trochę czasu. I przejąć się losem dzieciaków, moich siostrzeńców, niewinnych stateczków płynących ku przyszłości itp., itd., chociaż ledwie pamiętam ich imiona. Powinienem się przejmować, ale to czysta forma, treść rozpływa się w powietrzu i abstrakcji. Zwykle forma wystarczy.

Anton siedzi sam w domu, służba wyszła, żona jest na zajęciach jogi. Zamierzał przez kilka następnych godzin pracować nad powieścią, ale tego wieczora silnik nie chce ruszyć i nic nie da się z tym zrobić. Łatwiej po prostu koić nerwy. W jednym ręku trzyma szklaneczkę whisky, a w drugim połówkę dżointa. Już jest dość solidnie upalony i pijany, a w kolejnych godzinach będzie ten stan pogłębiał.

Dzwoni jego telefon. To znowu Jake. W tej chwili nie potrafię się zmierzyć z jego wariactwem, mam dość własnego. Przełącza aparat na tryb cichy i wsuwa do kieszeni. Próbuje sobie przypomnieć, czym się zajmował. Ach tak. Czegoś szukał. Podejmuje te poszukiwania, chodzi z pokoju do pokoju, włącza światła, szuka i szuka, ale za cholerę nie pamięta czego. Jak to zobaczy, będzie wiedział. Cokolwiek to jest, jest mu potrzebne, a przynajmniej było, gdy zaczynał szukać, co oznacza, że będzie tego potrzebował w przyszłości. Ale spokojnie, na pewno zaraz to znajdzie. Już za chwilę.

ANTON

Anton krąży po domu. Już czwarty raz w tym tygodniu wysiadł prąd, a w generatorze skończyła się benzyna, więc nic nie działa. Mógłby zająć czymś ręce, na przykład naprawić poręcz przy schodach albo powymieniać spękane płytki na patio, ale nie jest w nastroju. Ostatnio nigdy nie ma nastroju na nic.

Trwa publiczne święto, Dzień Pojednania czy jak tam go teraz nazywają, więc służba nie pracuje. Połapali się w swoich prawach i zaczęli domagać podwyżek za dni świąteczne, chociaż tak naprawdę chcą siedzieć po domach i schlewać się do nieprzytomności. Tak samo jak ja.

Anton zajmuje się tym sumiennie już od kilku godzin i dryfując między pokojami z butelką w dłoni, stara się wyłączyć myślenie. Za dużo ma w głowie. Nie, to tylko kiepski okres i nic więcej, tak kiepski, że wydaje się ciągnąć od zawsze. W rzeczywistości tkwi w tym dołku od, hm, od czwartku? Odkąd roztrwoniłeś małą fortunkę w Sun City. Dureń, dureń, dureń. To było w zeszłym tygodniu? A może jeszcze tydzień wcześniej. W dołku traci się poczucie upływu czasu i następstwa zdarzeń, chociaż bądźmy szczerzy, Anton, to się dzieje nie od dziś. Wszystko to dzieje się nie od dziś. Na tym polega problem z tym światem, nie ma nic oryginalnego, nic nie zaskakuje, wydarzenia się powtarzają jak u starej ciotki z demencją. Czy ja wam kiedyś opowiadałam, Tak, opowiadałaś, więc weź się zamknij, do cholery.

Anton sam na sam z myślami w swoim zbyt wielkim, rozpadającym się domu. Miał coś robić, ale tego nie robi, bo Po co. Doznanie rozmazania, roztarcia krawędzi, nawala mi wzrok czy mózg? Dobre zdanie, trzeba zapisać, zanim uleci.

Może wyskoczyć na drinka? Już pije, jednak zawsze lepiej w towarzystwie, można trochę odetchnąć. Tylko alkoholicy piją w samotności, a nie chciałbym, żeby ktoś mnie pomylił z alkoholikiem. Gnarr harr har, jak mawiał ten pies z komiksu.

Anton za kółkiem swojego pikapa, próbuje wydostać się z posesji. Ile zamieszania z tym otwieraniem i zamykaniem, najpierw dom, potem brama przy drodze. Szyfry i klucze stanowią wyzwanie nawet na trzeźwo, a dzisiaj zdecydowanie trzeźwy nie jest, lecz wreszcie pędzi w stronę miasta, niepewny, czy zamknął za sobą drugą kłódkę. Nieważne, teraz już nie wróci. Jedzie nową autostradą, płatną, ale szybką, bez żadnych spowalniających człowieka świateł, w dodatku biegnącą daleko od okropnej wielkiej świątyni Alwyna Simmersa, chociaż gdzieś tam miga czubek iglicy. Anton wznosi ku niej toast otwartą butelką jacka, którą trzyma na siedzeniu pasażera. Na zdrowie, stara wszawa suko. Przeżyłaś swojego twórcę i, jak widzę, dalej masz się nieźle.

Dopiero trzecia po południu. Poprawka, piąta. Siedzi w lokalu, w którym ostatnio bywa, położonym na lepszym skraju Arcadii. Tu też nie dochodzi prąd, mają jednak generator i nad głową mdławo mrugają żarówki. Osobliwe, podejrzane miejsce, ale właśnie dlatego je lubi. Podobają mu się przyćmione światła, żółte tapety i pozory elegancji, chociaż ostatnimi czasy bywalcy są dość niewyszukani. Nie ma wśród nich dostojnych gości, wszystkich łączy podobna przypadłość, a wszelka wspólnota dodaje otuchy. Tak, na to mu przyszło.

Dopiero siódma. Poprawka, ósma dwadzieścia. Desirée wróci z jogi, pewnie będzie z Mowglim, nie ma po co spieszyć się do domu. Barman, jeszcze raz to samo. Trochę więcej lodu.

Anton sika w kabinie toalety. Nie do końca pamięta, jak się tam znalazł, ale sikanie to na wskroś szczere zajęcie. Tak samo sranie. Żadnych maskujących konwenansów. Dyplomację powinno się uprawiać z deski sedesowej. Zapina suwak, rozchwianym krokiem zbliża się do lustra. Dobry Boże, kto mi tak rozjechał twarz? Gdzie ten złoty chłopak, którym byłem, kto go ukrył pod tą poobijaną metalową maską?

Szybko, uciekać, z powrotem do baru. Przy kontuarze nowy przybysz, wydrążony stary facet, który długo gapi się na Antona, aż ten w końcu na niego spogląda.

Co tam, jak leci?

Ja cię znam, mówi stary.

Skąd?

Nic się nie zmieniłeś.

Przykro mi, kolego, ale ty tak.

Nie pamiętasz mnie? Popatrz uważnie. Nachyla się do światła.

Anton się przygląda. Nie, ja cię chyba nie… Jednak w tym człowieku jest coś znajomego, jakiś nieuchwytny ślad. Być może w głosie. Kim jesteś?

Dam ci wskazówkę. Ostatni raz widziałem cię przez płot. Trzydzieści… nie, trzydzieści jeden lat temu.

Wykonuje obliczenia. Nagle sobie przypomina. Payne! Zastanawiałem się, co się z tobą stało!

Podają sobie rękę z większym entuzjazmem, niżby wymagała tego okazja, niepewni, co teraz powinno się wydarzyć.

Postawić ci drinka? Co pijesz?

Przyjaciele z wojska, wyjaśnia Payne barmanowi.

Co najwyżej znajomi, ale Anton nie mówi tego na głos, gdy idą do stolika w rogu. Cieszy się ze spotkania i faktycznie niekiedy się zastanawiał, co u Payne'a. Dziwne, jak niektórzy ludzie, czasem zupełnie przypadkowi, mogą pulsować znaczeniem w twoich myślach, twoich snach. Co się z tobą działo?

Payne po wojsku pracował jako rozliczeniowiec w budowlance. Studiował na Witsie, gdzie poznał swoją żonę Diane. Od dwudziestu ośmiu lat jest szczęśliwym mężem i ma dwoje już dorosłych dzieci. Jedno mieszka za granicą, w Australii, i Payne planuje za kilka miesięcy przeprowadzić się z żoną do Perth, by być bliżej wnuka. A także dlatego, że, przykro to mówić, ale kompletnie stracił wiarę w ten pieprzony kraj.

A co z tobą? pyta Antona. Co się działo u ciebie, odkąd się ostatnio widzieliśmy?

Całkiem nieźle mi się układało.

Co studiowałeś?

Właściwie to nic. Włóczyłem się przez kilka lat, potem osiadłem. Ożeniłem się z dziewczyną z młodych lat i od tamtego czasu prowadzę rodzinną farmę.

Słucha sam siebie w zdumieniu. To wszystko prawda, to wszystko fałsz.

Byłem pewny, że ktoś taki jak ty pójdzie na uniwerek, mówi Payne. Taki mózg! Prawdę mówiąc, myślałem, że masz przyszłość w polityce.

Pisałem powieść, przypomina sobie nagle Anton.

Powieść? Jaki ma tytuł? Wydałeś ją?

Jeszcze nie. Jeszcze nie skończyłem. Już prawie!

A o czym jest?

No, o udręce kondycji ludzkiej, mówi Anton. Nic szczególnego.

Ho, ho, ho! Payne klepie w stół. Swart, odwieczny żartowniś! Mam nadzieję, że kiedyś przeczytam twoją książkę.

Kiedyś tak. Ale co cię sprowadza do tej nory? Bo Anton uświadomił sobie przed chwilą, że ten bar to naprawdę nora i już nigdy nie może tu wrócić, chociaż wie, że wróci.

Mieszkam za rogiem, odpowiada Payne, często tu bywam. Hej, a może wpadniesz do mnie i poznasz Diane?

Diane?

Moją żonę, przed chwilą ci o niej mówiłem.

Racja. Przepraszam. To znaczy teraz? Czemu nie? Okej. Ale w jego głowie ta rozmowa już się skończyła, już jest zanikającym wspomnieniem, choć widzi, że Payne ekscytuje się na myśl o spotkaniu.

Ja? Super! Tylko skoczę na chwilę do łazienki i możemy się zbierać.

Pewnie, mówi Anton. Jednak, prawdę mówiąc, ten człowiek go nudzi, tak jak jego zwyczajne życie i zwyczajna żona, i prawie wszystko inne, wszelkie znaczenie zdążyło już wyciec z rzeczy, toteż nie widzi nic złego w tym, by poczekać, aż Payne zniknie z widoku, a potem ruszyć w noc, jakby od początku pił samotnie. I pewnie tak było.

Anton znowu za kółkiem. Dryfuje jak we mgle po ulicach miasta. Na światłach jakiś rozjuszony człowiek wydziera się na wyobrażonego towarzysza: Myślisz, że oszalałem? Wyglądam ci na wariata? Rosnąca armia obłąkanych i zabiedzonych, wielu białych. Hej, Worzelu Gummidge, trzymaj się ode mnie z dala, ta twoja przypadłość jest zaraźliwa. Ulga, kiedy światła się zmieniają i można ruszyć. Nie jest pewny swojego położenia ani kierunku, lecz się tym nie przejmuje. Choć w pewnym

momencie będziesz musiał obrać kurs na dom pełen nieprzebranych rozkoszy.

Wychodzi jednak na to, że najpierw musisz spotkać błyskające niebieskie światła i rękę uniesioną w nakazie zatrzymania. Anton przy blokadzie drogowej. Fala strachu prawie go otrzeźwia, adrenalina oczyszcza. Proszę, tylko nie to. Jeśli umysł ma jakąś moc, niech to zniknie, niech to się nie dzieje. Lecz umysł nie ma mocy.

Zgubiłem się, mówi wesołym tonem do funkcjonariuszki, jakby go to usprawiedliwiało. Nie wiem, gdzie jestem.

Proszę w to dmuchnąć.

Słucham?

Pan przyłoży usta do ustnika i dmuchnie.

Policjantka to czarna kobieta, zapewne o połowę od niego młodsza, która ma władzę go zamknąć. Pamiętaj o tym, Anton, weź się w garść. Świeci mu latarką w twarz i na pewno się domyśla, jak spędził ostatnich kilka godzin. Nie ma między nimi tajemnic. Anton dmucha bez przekonania w urządzenie, a wtedy jej ton staje się ostrzejszy.

Proszę to zrobić porządnie. Długie, równe dmuchnięcie.

Wdmuchuje w ustnik cały swój przegrany smutek. Policjantka odczytuje wynik i ich spojrzenia się spotykają.

Na pewno możemy to jakoś załatwić.

Anton przy bankomacie wypłacający pieniądze. Ma na koncie limit na wypadek takich właśnie sytuacji, tzn. rabunku. Może wypłacić tylko dwa tysiące randów, ale na szczęście konstabl Maswana jest rozsądną osobą. Podają sobie nawet ręce, kiedy podrzuca ją z powrotem do blokady, jakby przed chwilą zakończyli negocjacje biznesowe. Z jej punktu widzenia tak właśnie było.

Anton przez całą drogę do domu trzęsie się i bulgocze jak trujące bagno. Dwa tysiące randów! Odebrane mu w biały dzień na poboczu drogi.
To tylko metafora, bo przecież jest dwudziesta druga. Poprawka, dwudziesta trzecia. Nieważne, bezczelna kradzież niezależnie od pory dnia. Chrup, chrup, chrup, małe termity chrupią drewno. A prezydent, ich tłusta królowa, przysypia w głębi kopca.

Fakt, sam też się w życiu nachrupałem. Ale dwa tysiące randów! Bolesna suma, zwłaszcza gdy jedzie na oparach, bo ogromną kasę przepuścił w pijackim widzie w Sun City, spłaca wysokie procenty od pożyczki bankowej, dochody z inwestycji Pa zmalały, żona uważa, że ma prawo do drogiej operacji plastycznej każdego roku, a gadzi park bankrutuje, odkąd Bruce Geldenhuys uciekł z kasą do Malezji. To tylko kiepski okres, Anton, przebrniesz przez niego, ale czy faktycznie tylko okres i czy na pewno przebrnie? Już nie ma wrażenia, że to chwilowe, raczej że tak wygląda przyszłość.

Na innych frontach też jest oblężony. Wspólnota, którą dawno temu przymusowo usunięto z terenu farmy, zamierza ponoć oficjalnie zgłosić roszczenia do ziemi. Zresztą granice posiadłości wciąż są naruszane, po wschodniej stronie ludzie uszkadzają ogrodzenia i stawiają nowe chaty. Cena tych gruntów wciąż spada, już są prawie bezwartościowe, więc po co to wszystko? Powinien działać z głową, odpuścić sobie wiejskie życie, przenieść się do miasta i dogadać z Amor sprawę sprzedaży posesji, póki jeszcze się da. Może taki układ ocali jego małżeństwo. Kto wie, może nawet i jego samego.

To dlaczego nie działa z głową? Nie wiadomo, zawsze taki był. Rozumie, co trzeba zrobić, i tego nie robi. Podejmuje natomiast inne działania, niewłaściwe, żeby tylko kogoś rozdrażnić, w tym także samego siebie. Zresztą nigdy nie podobało mu się życie w mieście.

Anton biedzący się z szyfrem i kluczami w świetle reflektorów auta. Anton wreszcie pod domem. Obok samochodu żony stoi zaparkowany volkswagen beetle, a na górze i na dole świeci się światło. Nareszcie włączyli prąd. Głośna muzyka, jeśli tak można to nazwać, mieszanina buddyjskich zaśpiewów i elektronicznego beatu, napływa z salonu.

Na chwilę przysiada na schodkach od frontu, by przyzwyczaić oczy do ciemności. Nadchodzi środek lata i gwiazdy w swym głębokim czarnym łożu błyszczą jak rozkwitłe pąki. Ładny obrazek. Do zapisania w dzienniku. Słyszy, jak etapami schodzą na dół, dużo chichotów i zniżone głosy. Wyjście z domu to cała procedura, mimo że frontowe drzwi stoją otworem. Nagle wielkie zdziwienie, że on tam siedzi, chyba nieudawane. Od jak dawna tu jesteś, kochanie? Właśnie pokazywałam Motiemu moje akwarele.

Motiemu? Myślałem, że nazywa się Mowgli. Ale spójrzcie, dzisiaj jest po cywilnemu, gdzie twoja pielucha z trawy, dzikie dziecko? Zaskoczony mocą własnych uczuć, ich toksyczną czystością, odrzuca głowę i wyje jak wilk. Ja i ty zdechniemy w jednej krwi.

Próbuję ich na to namówić na swoich zajęciach, odzywa się Mowgli z uznaniem. Większość ludzi nie jest tak wyzwolona emocjonalnie jak ty, hamują się.

Nie ma nic złego w odrobinie pohamowania, mamrocze Desirée.

Ale Anton tej nocy nie ma zamiaru się hamować. I jak ci podeszły akwarele mojej żony?

Hm, bardzo ładne, spodobały mi się.

Pokazuje ci też swoje pędzle, swoją wyjątkową paletę? Naciągnąłeś jej płótno?

On jest bardzo pijany, mówi Desirée.

Tak, widzę. To ja już jadę.

Tobie dawno odjechał peron, mówi Anton. Już na samym początku.

Napaść obraca się przeciw napastnikowi.

No nie wiem, wydaje mi się, że napadnięty cierpi bardziej. By to udowodnić, wykonuje szybki wypad, kiedy ten dureń próbuje zejść obok niego po schodkach, i spanikowany Mowgli wymierza mu przypadkiem kopniaka w głowę. Jasny rozbłysk i zaraz potem jeden ze stopni zbliża się, by go chwycić. Ups. Żadnego bólu. Nie powinno coś boleć? Ze śmiechem przewraca się na plecy.

Dobra robota, mówi, trzymając się za bok szczęki. Zaczyna czuć odległe migotanie bólu. Co za bohater.

To był przypadek, mówi Mowgli. Choć nie całkiem. Twój własny gniew trafił cię jak bumerang.

Innymi słowy, sam sobie zasłużyłeś, mówi Desirée.

Ty też zasługujesz na to i owo, nie sądzisz? A może zła karma należy się wyłącznie innym?

Lepiej już idź, mój drogi. Zanim on wywinie kolejny numer.

Mowgli okazuje troskę na pokaz. Nic ci się nie stanie…? Jesteś pewna, że nic nie…? Bo ja mogę…

Co możesz? Co, mój drogi? Obronisz ją? Zabawne! Próbuje zerwać się na nogi, ale traci równowagę i znowu upada.

Idź już. Nic mi nie będzie. Przepraszam za męża.

Mowgli odchodzi, ale najpierw wygłasza końcową homilię. Wierzy, że materia to duch, który wypadł z łask. Najbardziej materialną formę przybiera wtedy, gdy korzysta z przemocy. Duch nigdy się nie przejawia w taki sposób. Przykro więc patrzeć, jak Anton upokarza i upadla własnego ducha. Tylko tyle ma do powiedzenia, lecz mówi to przyjaźnie i ma nadzieję, że tak właśnie zostanie odebrany.

Jeny, dzięki. A teraz spieprzaj z mojej ziemi i więcej nie wracaj.

Moti będzie wracał, gdy tylko zechce, ale faktycznie lepiej już idź, mój drogi.

Teraz lepiej widzę, Desirée, przez co musisz przechodzić.

Wreszcie Mowgli zamienia się w parę czerwonych światełek niknących w mroku.

Moti to człowiek niezwykle uczciwy, obdarzony bardzo starą duszą. Żona mówi to Antonowi ściszonym, zimnym, wściekłym głosem. Tyle się od Motiego nauczyła! Pomógł jej się odnaleźć. Nie pozwoli odzywać się do niego w tak chamski, wulgarny sposób ani napadać go, gdy przychodzi zaproszony do jej domu.

Wiesz, ja też tu mieszkam. I nie mogę uwierzyć, że taka łachudra przyprawia mi rogi. Nawet już nie jest szczególnie ładny, zauważyłaś? Przytyło mu się o parę rozmiarów.

Nie jest żadnym łachudrą! Wręcz przeciwnie, on prawie na pewno znajduje się na wyższym poziomie. I nigdy, przenigdy nie zrobiłby tego, o co go podejrzewasz. Jest moim przyjacielem, przewodnikiem i wzorem do naśladowania, nie kochankiem. A nawet gdyby był, dodaje po chwili, to co z tego? Ludzie nie posiadają się na własność! Ja bym się cieszyła, gdybyś znalazł sobie kogoś, kto towarzyszyłby ci w poszukiwaniach.

Też bym się cieszył, wierz mi. Ale czy ta cała niezależność, to dzielenie się sobą nie jest trochę hipisowskie i komunistyczne? Twój tata by się pogniewał.

Mój ojciec poznał Mowgliego, ech, Motiego, i bardzo go lubi.

Jemu się pomieszało w głowie, lubi każdego! W tym stanie polubiłby Stalina, gdyby go poznał. Rozbawienie zmienia się w płacz, a potem znowu w śmiech. Och, z tragedią sobie radzę, ale farsy nie potrafię znieść.

Co to ma znaczyć?

Zmarnowałem życie.

Aha, bardzo dziękuję. Sama też nie bawię się przednio, jeśli nie zauważyłeś. I nie wspominałabym o marnowaniu niczego, gdybym miała tak mało plemników jak ty.

Chciała go zranić, bo niedawna diagnoza, która bardzo dotknęła ich oboje, ale zwłaszcza ją, jednoznacznie wskazuje, że to przez niego nie mogą wydać na świat potomstwa i rozmnożyć się na tej ziemi, lecz on prawie nie zauważa przytyku. Wciąż jest oszołomiony prostym wnioskiem, do którego właśnie doszedł. To prawda, zmarnowałem życie. Pięćdziesiąt lat, pół wieku, i już nie zrobi żadnej z rzeczy, których osiągnięcie dawniej wydawało mu się pewne. Nie przeczytał klasyków na sławnym uniwersytecie, nie nauczył się obcego języka, nie zwiedził świata, nie ożenił się z kochaną kobietą. Nie sprawuje żadnej realnej władzy. Nie nagnie losu do swojej woli. Nie skończy nawet powieści, bo skoro już rozmawiamy szczerze, po prawie dwudziestu latach ledwie ją zaczął. Nie dokona już prawie niczego.

Anton krąży po domu przed świtem, przystając czasem pod drzwiami zamkniętej przed nim sypialni, gdzie śpi jego żona. Mógłby jeszcze trochę powalić w te drzwi pięścią i pokrzyczeć, ale ten scenariusz nie przyniesie żadnych zwrotów akcji. Lepiej podjąć wędrówkę z butelką w ręku, oglądać ponury krajobraz, który już przemierzył, i ten jeszcze gorszy, który dopiero przed nim.

Później w pokoju hotelowym próbuje wyjąć pieniądze z sejfu, lecz ta cholerna puszka nie chce się otworzyć. Szarpie za drzwiczki śliskimi, spoconymi rękami, nie potrafi niczego utrzymać i w tym momencie ktoś puka do drzwi. Bam, bam! Zamiera ze strachu, bo pieniądze w sejfie nie należą do niego, nie powinno go tu być, a stukający człowiek nie ma dobrych zamiarów. Gdzie się ukryć?

Bam, bam! Ten dźwięk, jakiś dźwięk, wyrywa go z pokoju hotelowego i wbija z powrotem w ciało, na wpół zsunięte z domowej sofy. Światła są

włączone, działa telewizor, drzwi wejściowe stoją otworem. Anton się budzi.

Co to za łomoty? Jest bardzo późno/wcześnie, tuż przed świtem, i coś waliło, gdy spał. Jest tego prawie pewny. Coś tam, na zewnątrz.

Wstaje, zlękniony, wbrew protestom nerwów. Czy właśnie tej chwili się bałeś, czy coś się teraz wydarzy? W panice biegnie po schodach do gabinetu i pod stertami ubrań szuka mossberga. Mija chyba wieczność, nim jego palce trafiają na metal. Amunicja w szufladzie. Szuka, grzebie. Trudno mu wykonać nawet najprostsze czynności, głowę ma jak zapchany zlew, a w ustach smak pomyj. W końcu chwiejnie schodzi po schodach ze strzelbą w ręku, wciskając naboje do kieszeni. Wypada przez przednie drzwi w ogromną, przerażającą ciemność, a gdy idzie podjazdem, ma wrażenie, że powiększa go jakaś podniebna lupa. Mały, okrągły pas trawy, płot elektryczny, dalej reszta farmy i dopiero potem świat. Kręgi wewnątrz kręgów, a pośrodku ja.

Łomot mógł dobiegać od strony skupiska szop i zabudowań gospodarczych za ogrodzeniem. A może całe to stukanie tylko mu się przyśniło? Jeśli się zastanowić, to bardziej prawdopodobne. Jaki intruz ogłasza wtargnięcie? Może najgorszy ze wszystkich. Otwiera bramę, przechodzi na drugą stronę. Czemu jest tak cicho? Nie słychać brzęczenia owadów, gdzie są ptaki, przecież niebo bieleje już od wschodu.

Kiedy zbliża się do szop, wciska nabój do komory, przesuwa uchwyt i słyszy trzask zamka. Ka-czink! Dźwięk jest ostry i wyraźny, przypomina ostrzeżenie. Teraz to ja pukam! Jeśli ktoś tam jest, teraz zrozumie, że on nie żartuje. Odbezpiecza broń i czeka przez chwilę, ale nie słychać żadnych hałasów ani tupotu uciekających stóp.

Robi rundkę wokół budynków, wyglądają na nienaruszone, drzwi i okna są pozamykane. Idzie dalej, niepewny, czego właściwie szuka. W głowie narasta mu mętlik i czuje mdłości. Staje na moment i próbuje zwymiotować, ale nie daje rady. Podejmuje więc marsz, a jego złe samopoczucie pasuje do terenu, który przemierza, krzewy i kępy traw pozbawione barw i detali.

Anton wędruje przez swoją farmę o brzasku, na wpół pijany, na wpół skacowany, w porozpinanych, wiszących na nim ubraniach, jakby rozdarty

w szwach, z których wystaje wypełnienie. Czym ty jesteś wypełniony, Anton? Ach, tym, czego zawsze pełno na Boże Narodzenie, słodyczami, ciasteczkami z przepowiednią, odrobiną dynamitu.

Here comes the sun, little darling… Sylwetki słupów odciśnięte na tle czerwieni. Zaszedł dość daleko, domu stąd już nie widać. Ptaki się wreszcie rozwrzeszczały. Głupia stara ziemia, ciągle wraca i się powtarza. Nigdy nie opuszcza żadnego przedstawienia. Jak ty to znosisz, strupieszała kurwo, raz za razem ten sam występ, wieczorki i poranki, chociaż teatr wokół ciebie się rozpada, tekst ciągle ten sam, nie mówiąc już o makijażu, kostiumach, ekstrawaganckich gestach… Jutro i jutro, i jeszcze dzień później…

Nie. Nie potrafi tak dłużej. Nie może znieść swojej malutkiej rólki w tej sztuce, nie da rady wrócić do domu i podjąć na nowo życia jak znoszonej koszuli, którą rzucił na podłogę. I co dalej? Włożyć ją, jak gdyby nigdy nic, cuchnącą, całkowicie prześmierdłą nim samym? Zna ten smród aż nazbyt dobrze. Zabierzcie tę koszulę, ten dom. Zabierzcie te słupy. Niech ktoś to zatrzyma.

Chciałem…

Bam!

Znów ten dźwięk. Jakby ktoś mocno stukał w drzwi. Już jakiś czas temu, we śnie, zdawało jej się, że coś słyszy. Po tej strasznej nocnej scenie Desirée musiała się znieczulić pigułkami, żeby zasnąć, i teraz, rankiem, czuje się rozespana, a biała koszula nocna i włosy wiszą na niej, wciąż niedobudzone. Oczywiście ostatnio obwisa jej więcej niż dawniej.

Podchodzi do okna i unosi żaluzję, ale na zewnątrz widzi tylko zbrązowiałą trawę. Oto moje życie, myśli, całe kilometry brązowej trawy. Nawet ciekawe momenty utraciły kolor. I co ma robić dama w tych chaszczach, z pijakiem do towarzystwa? Wiadomo, że zacznie się nudzić i szukać pocieszenia gdzie indziej, kto może ją winić?

Desirée zwykle nie upatruje w sobie winy, nigdy tego nie robiła. Według niej naturalny porządek rzeczy wygląda tak, że zadaniem świata jest próbować ją zadowolić, jej zaś odczuwać rozczarowanie. W koszuli nocnej i pluszowych kapciach schodzi na dół, gdzie dziewczyna na pewno przygotowała dla niej kawę. Dzień dobry, Salome. Widziałaś pana?

Nie, proszę pani.

Za dużo cukru. Ciągle ci powtarzam.

Przepraszam panią.

Nie ściel mi łóżka, dobra? Miałam okropną noc, może jeszcze się położę.

Przykro mi, proszę pani.

Ta służąca pracowała tu od zawsze, jeszcze zanim urodził się Anton. Na pewno się napatrzyła i nasłuchała! Bo oni zawsze są w pobliżu, jak duchy, prawie się ich nie dostrzega. Błędem jest myśleć, że to działa w obie strony, to oni zawsze patrzą i słuchają, pomagają sobie nawzajem. Znają wszystkie twoje sekrety, wiedzą o tobie wszystko, nawet rzeczy nieznane innym białym ludziom. Plamy na twojej bieliźnie, dziury w skarpetkach. Trzeba się ich pozbyć, nim zaczną spiskować. Tę starą należało zwolnić już dawno temu.

Z tymi myślami wychodzi z kawą na przednią werandę. Lubi tu stać wczesnym rankiem i wypływać na powierzchnię rzeczywistości, udawać, że jest żoną farmera. Czasem wyobraża sobie rozległe, żółto-zielone pola kukurydzy, która wibruje na wietrze.

Wśród kukurydzy, to znaczy trawy, biegnie postać. Lśni za nią wschodzące słońce, a jej kpiący, przedrzeźniający cień kładzie się daleko przed nią.

Co jest? Co się stało?

Kiedy postać przekracza otwartą bramę, spostrzega, że to tylko Andile, jeszcze jeden człowiek, który pracuje tu od wieków. Co rano przychodzi pieszo z miasta, bo jego rodzina wyprowadziła się z farmy. Coś do niej krzyczy, opowiada, co zobaczył. Daleko, pod słupami elektrycznymi. Och, Boże, dopomóż.

Trudno go zrozumieć, musiała się przesłyszeć.

Co? pyta. Co powiedziałeś?

Lecz nawet gdy słowa padają ponownie, wydają się oderwane od realnego świata. Nie. To nie może być prawda. To nie ma sensu. Przecież jeszcze tej nocy on. To się nie trzyma kupy. Nie.

Nie, mówi.

Ale odmowa działa tylko na innych ludzi, losu nie obchodzi. Może sami zauważyliście, że protestowanie przeciw przeznaczeniu jest stratą czasu, co ma się stać, to się stanie, niezależnie od waszego Nie. To fakt równie neutralny jak pogoda, że tego ranka twój mąż wstał, wyszedł na dwór ze strzelbą i poplątał się niemożliwie, aby odstrzelić sobie głowę, bo taką miał zachciankę.

Dotychczas najgorsze wydarzenia w życiu Desirée dotyczyły kogoś innego, np. jej ojca, i także w tym wypadku samobójcza śmierć spotkała oczywiście Antona, lecz w pewnym sensie przytrafiła się także jej, co już zaczyna odczuwać. Tak będą to widzieć inni, tak będą widzieć ją.
Na zawsze pozostanie żoną mężczyzny, który popełnił samobójstwo, a kto wie, może to ona go do tego doprowadziła.

Kto wie, może doprowadziłam. Tak myśli i będzie wciąż się zadręczać, aż w końcu dojdzie do stanu, w którym będzie musiała zacząć zaprzeczać, chociaż nikt jej o nic nie oskarżył. Nie, nie, ja nie zawiodłam Antona, nigdy nikogo nie zawiodłam, to on mnie rozczarował!

Ćśś, uspokój się, schatzi. Musisz się uspokoić. Nikt cię nie obwinia.

Jak to, wszyscy mnie obwiniają, nawet ty.

Desirée to osoba ognia, jest zbyt emocjonalna i zmienna, by poradzić sobie z tragedią, potrzebuje więc dla równowagi osobę ziemi, kogoś solidnego i niewzruszonego, może z odrobinką wiecznej tundrowej zmarzliny. Oczywiście zadzwoniła do matki. Maman lubuje się w rodzinnych skandalach, więc natychmiast popędziła na farmę w swoim porsche, uzbrojona w listę wpisanych do telefonu kontaktów męża i stertę środków uspokajających. Można radzić sobie z problemami bez wywoływania większych turbulencji, ale trzeba w tym celu zachować zimną krew i wiedzieć, z kim porozmawiać. Słówko do właściwego ucha i sprawy ruszają w przyspieszonym tempie. Policyjny lekarz przyjedzie, by wydać akt zgonu, padnie tylko kilka delikatnych pytań i ciało zostanie zabrane, zanim zrobi się większa sensacja.

Później pozostają do załatwienia proste kwestie praktyczne.
Po pierwsze, trzeba wszystkich powiadomić, co Maman bierze na siebie. Zadanie to nie okazuje się zbyt wymagające. Anton był samotnym wilkiem, miał trochę znajomych, ale niewielu przyjaciół, kontakty w jego telefonie to

głównie numery dostawców zaopatrzenia na farmę oraz kilku przypadkowych kumpli od kieliszka. Obdzwonienie tych, którzy wydają się ważni, zajmuje mniej niż pół godziny i chociaż wszyscy są wstrząśnięci, nikt nie płacze.

Dopiero gdy wszystkich już powiadomiono, Desirée coś sobie przypomina. O mój Boże, a co z Amor?

Z kim?

Z młodszą siostrą Antona. Spotkałaś ją parę razy, nie pamiętasz…?

To on ma drugą siostrę? Naprawdę? Myślałam, że tylko jedną.

Maman musi solidnie wysilić pamięć, by przywołać imię Amor sprzed lat, jej twarzy w ogóle nie pamięta. Prawdę mówiąc, cała rodzina Swartów to takie utrapienie, że woli wymazać ich ze świadomości. W dodatku Anton zawsze wyglądał na człowieka pozbawionego krewnych.

Nie mogła być zbyt barwną osobą, stwierdza w końcu. Inaczej bym jej nie zapomniała.

W telefonie Antona nie ma jej numeru. Od dawna nie rozmawiali.

Czemu nie? Starsza pani wietrzy krew. Doszło do kłótni?

Nie, nie do kłótni. Raczej nieporozumienia. Właściwie nie pamiętam, o co chodziło. Chyba o kawałek ziemi?

Gdy biali ludzie się kłócą, oznajmia jej matka bez cienia racjonalnego dowodu, to zawsze o nieruchomości!

Ale jak my ją teraz powiadomimy? Nagle Desirée przypomina sobie, że poprzednim razem rozwiązali ten problem w ten sposób, że namierzyli jej miejsce pracy. Szpital w Durbanie! Oddział dla zarażonych HIV!

Kilka rozmów owocuje numerem telefonu i w końcu odzywa się pogodny głos. Tak, tak, Amor tu pracowała, ale kilka lat temu odeszła z przyczyn osobistych. Mogę pani podać inny numer, może zadziała…? Pod tym nowym odbiera kobieta imieniem Susan, która stwierdza krótko, że już dawno nie widziała się z Amor. Wydaje się zła i nieszczęśliwa, chyba ma ochotę się rozłączyć. Nie, nie wie, jak się z nią skontaktować. Chyba wyjechała do Kapsztadu. Nie, nie może przekazać wiadomości.

Maman, choć nie pamięta Amor, już się na nią wkurzyła. Co za nieznośna osoba! Wygląda na to, że bardzo się starała, żeby zniknąć.

Dobrze, więc zostawmy ją w spokoju, skoro tego chce. Zrobiliśmy, co się dało. Poza tym im mniej ludzi, z którymi trzeba się skonsultować, tym łatwiej zaplanować pogrzeb.

Maman skłania się ku nabożeństwu kalwinistycznemu, gdyż to dla niej naturalny wybór, a surowy obrzęd wyraźnie podkreśla ostateczność zdarzeń. Jej córka się jednak nie zgadza, uważa, że dusza męża najbardziej skorzysta na obrządku w stylu wschodnim. Odkąd zaangażowała się w te jogistyczne historie w Rustenburgu, otworzyła się na nietypowe pomysły, co zaowocowało utarczkami z ojcem, zanim pogłębiła mu się demencja. Maman też ma pewne wątpliwości, ale w tej sytuacji udziela swojego błogosławieństwa. Anton wściekłby się na niekonwencjonalne nabożeństwo, a to dobry powód, by takie właśnie zorganizować. W ostatnich latach był dla niej co najmniej nieprzyjemny i niezbyt żałuje, że odszedł. No dobrze, schatzi, pogrzeby są dla żywych, nie dla zmarłych, a zresztą on się już niczemu nie sprzeciwi, prawda?

Racja, osobiście nie. Jednak biorąc pod uwagę jego charakter, mógł przewidzieć nawet pośmiertne próby upokorzenia go i stawić opór. Następnego ranka dzwoni rodzinna prawniczka. Cherise Coutts-Smith dodała sobie nowe nazwisko, kolejne trofeum w kolekcji mężowskich skalpów, i pod jego ciężarem ton jej głosu obniżył się tak bardzo, że brzmi, jakby wydobywał się z najgłębszych pokładów jej klatki piersiowej. Informuje stamtąd Maman, że Anton złożył w aktach poświadczony notarialnie dokument, w którym zapisał następujące życzenia na okoliczność obecnego scenariusza, mianowicie:

1. Żadnego obrządku religijnego. Absolutnie żadnych modłów.
2. Kremacja, nie pochówek.
3. Kaplica przy krematorium nada się w sam raz.
4. Prochy rozsypać w jakimś dogodnym miejscu na farmie. Gdziekolwiek.
5. Żadnego niepotrzebnego zamieszania czy emocjonowania się, jeśli to jeszcze nie jest oczywiste.

Wszystko bezpośrednio i prosto wyłożone, nie ma tu właściwie żadnego pola manewru. Niech ci będzie, Anton, zrobimy, jak sobie życzysz. Traf chce, że i nam to odpowiada. Ale zanim się rozejdziemy, mówi starsza pani do Cherise Coutts-Smith, czy ma pani może numer do Amor?

Do kogo?

Siostry Antona.

Ach tak, siostra! Nie, od lat próbujemy się z nią skontaktować. A teraz to już naprawdę konieczne. Proszę jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła.

Pani nie słucha, mówi Maman, rozdrażniona przez tę asertywną, nadętą kobietę, która kojarzy jej się z kimś, kogo nie potrafi sobie dobrze przypomnieć. Gdyby pani słuchała, toby zrozumiała, że my nie wiemy, jak ją znaleźć.

Amor zniknęła. Amor się rozpłynęła. Już to kiedyś słyszeliśmy, ale jeżeli się wie, gdzie szukać, ona zawsze w końcu się pojawia, zupełnie materialna i namacalna.

Co robi dzisiaj, w tej chwili? Myje słabe, leżące w łóżku ciało. Jest na oddziale szpitalnym i opiekuje się chorą. To stary obrazek, nic się nie zmienił, więc co to znaczy, że zniknęła? Pracuje w innym szpitalu, to wszystko, natomiast chorzy i umierający są wszędzie podobni, ich cierpienie jednakowe, opieka nad nimi taka sama. Patrzcie, jak ostrożnie i delikatnie przesuwa flanelową szmatką po uszkodzonej, wrażliwej skórze. Jak osusza i opatruje ranę, po czym pomaga starej pacjentce się ubrać. Jest dobrze, moja droga? Nic nie uwiera? Pomogło trochę? Parę godzin takich zabiegów już za nią, wiele przed nią.

Spójrzmy, co robi później tego wieczora. Idzie piechotą kilka przecznic do domu i gdyby nie uniform, nie rozpoznalibyście jej w tłumie ludzi wracających z pracy, bo niczym się nie wyróżnia. Ani ona, ani jej kawalerka na trzecim piętrze nijakiego bloku. Wchodzi się do skromnego salonu, skąd jedne drzwi prowadzą do malutkiej kuchni, a drugie do łazienki. Sypia na materacu zwiniętym teraz w rulon pod ścianą i ma bardzo mało mebli, jedynie krzesło, stół i szafę wnękową. Tyle. A sądząc po prostokątnych odbarwieniach na ścianie, zdjęła też chyba kilka obrazów i gdzieś je schowała.

Czuje, że uniform jest lepki od potu, więc się rozbiera i wbrew własnym skłonnościom zmusza się do zdjęcia części garderoby w przypadkowej kolejności. Nic się nie stanie, Amor, nie ściągniesz na siebie żadnej klątwy… Chciałaby wziąć porządną kąpiel, lecz to zabronione. Zbiorniki retencyjne są niemal puste, a woda racjonowana, bierze więc dwuminutowy prysznic, zachowując wszystko, co spływa do wanny, na potem. Normalnie przygotowałaby teraz kolację, ale znowu nie ma prądu. Tak, tutaj to też się zdarza, podobnie jak w całym kraju, pokrytym mozaiką ciemnych stref. Sieć energetyczna w ruinie, nie sposób jej utrzymać, nie ma pieniędzy, koledzy prezydenta uciekli z gotówką. Brak światła, brak wody, chude lata w krainie obfitości.

Amor się nie przejmuje, zje później, kiedy wróci prąd. Tymczasem, owinięta tylko w ręcznik, siada w salonie przy oknie i patrzy na góry w niknącym świetle dnia. Na kolanach trzyma zwiniętego kota. Nie, jednak nie, nie ma żadnego kota. Ale pozwólmy jej chociaż posiadać kilka roślin w doniczkach, które zazieleniają parapet. Podlewa je odrobiną zaoszczędzonej w wannie wody.

Już prawie nadeszła pełnia lata, dni są długie, białe i szkliste. Nawet grudnie bywają deszczowe, ale całą zimę tylko mżyło, więc i teraz raczej nie będzie padać. Pogoda zmienia się wszędzie, trudno tego nie zauważyć, jednak to, co dzieje się teraz, jest wprost niewyobrażalne, całe miasto bez wody! Rzeczywistość wyje wysokim ostrzegawczym tonem, to raczej wibracja niż dźwięk, ziemia rozsycha się pod stopami. Skrzyp, stęk, wyskakują nity. Ludzie się niepokoją, niepokój gęstnieje w lęk, bo nadciąga Dzień Zero, kiedy krany ostatecznie wyschną. Wyobrażacie to sobie? Być może tak szybko nie nadejdzie.

Trudno jednak nie cieszyć się ciepłem słonecznego, sypiącego się z góry złota. Jak się nie otworzyć na tę promienistość i jasność? Wydaje się, że w całym Kapsztadzie umysł jest w odwrocie, a jego miejsce zajmuje ciało, które obnaża się na plażach, przecina fale, rozdeptuje górskie ścieżki. To miasto młodych popisujących się swoją siłą. A co z resztą, z tymi nie-młodymi i nie-silnymi? Na chodnikach, pod mostami, wokół lamp ulicznych rosnący tłum zmarnowanych, wyczerpanych i okaleczonych, którzy pokazują swoje rany. Robisz, co się da, tu koszula, tam talerz

jedzenia, ale tłum jest nieprzebrany, jego potrzeby nie do zaspokojenia i Amor jest ostatnio bardzo zmęczona.

Czasem można odnieść wrażenie, że w tej pracy zupełnie się spala, choć robi to ochoczo. Nie ma sensu trzymać rezerw. Obecnie jedyne ciała, jakich dotyka, należą do ludzi pozostawionych na poboczu, tych, którymi opiekuje się w szpitalu. Stara się ulżyć ich cierpieniu. Resztka mojej czułości zachowana dla osób, których nie znam i które nie znają mnie. Miłość się wyczerpała, pozostała tylko życzliwość, choć być może jest to silniejsze uczucie. A w każdym razie trwalsze. Chociaż w swoim czasie, kiedy jeszcze potrafiłam, kochałam kilka osób. Kogo, Amor? Paru mężczyzn, parę kobiet spotkanych na drodze życia. Ale jakie znaczenie mają te ciała, te imiona, teraz jestem sama. Już dość trudno kochać siebie.

Ostatnio rozmyśla, jak by to było przejść pewnego dnia na drugą stronę i zasilić szeregi słabych i chorych. W środku dnia, jeśli nie wieje wiatr, czasem trudno wytrzymać, temperatura nie spada i nie da się znaleźć wytchnienia. Energia buzuje jej w głowie. Właśnie teraz przeżywa taką chwilę, ma wrażenie, że płonie. Przerywa karmienie pacjenta, żeby się powachlować. Nagle robi się jej słabo i musi przysiąść na skraju łóżka. Co się stało? Czy pan też to poczuł?

Dopiero po chwili się orientuje, że nikt inny się nie roztapia. Tylko ja. Ogień płonie w moim wnętrzu, zbiorniki z paliwem prawie się wyczerpały i rozstrojony silnik pracuje na oparach. A przynajmniej takie ma wrażenie. Już od ponad roku miewa uderzenia gorąca i powinna do nich przywyknąć, lecz wciąż ją zaskakują. Kto mnie podpalił?

Niebiesko-żółte płomyki zasilane gazem. Z wysokiego komina ku niebu unoszą się oleiste czarne smugi. Na każdego przyjdzie kolej. Uch. Nie myśl o tym, o skwierczącej skórze i topiącym się tłuszczu. Oczywiście liczy się tylko dusza.

Na pożegnanie Antona przychodzi tylko mała grupka, pstrokata mieszanina złożona ze znajomych i krewnych oraz kilku przypadkowych gości. Tak chyba lepiej, żadnych wybuchów emocji czy dramatycznych gestów, każdemu będzie łatwiej przejść do porządku dziennego nad tym w gruncie rzeczy upokarzającym incydentem. Maman wszystko zorganizowała, lecz i tak może na nich patrzeć tylko przez szkła

najciemniejszych okularów przeciwsłonecznych. Jej mąż, uroczy stary zbrodniarz wojenny, też tam przyjechał, ale przez ostatnie pół roku demencja zrobiła takie postępy, że tylko rozgląda się łagodnym wzrokiem dookoła i mruga oczami, bo nie wie, gdzie jest, chociaż podoba mu się na tym trawniku pod niskim ceglanym budynkiem. Jeszcze nie można wejść, kończy się poprzednia uroczystość, toteż tych kilkanaście osób, z których większości Desirée nigdy wcześniej nie widziała, stoi w oczekiwaniu. Tego ranka miała ochotę wrzeszczeć, choć zażyła pigułkę od matki i poćwiczyła pranajamę, co zwykle ją uspokaja.

Na szczęście jest tu też Moti, stoi z zamkniętymi oczami i założonymi ramionami, kontemplując jądro swojej istoty. Taka kojąca, ześrodkowująca obecność! Desirée poprosiła go o wygłoszenie kilku słów podczas dzisiejszej ceremonii, a on się zgodził, choć oczywiście tylko dla niej, bo Antona ani zbyt dobrze nie znał, ani za nim nie przepadał. Jak się okazało, właściwie nikt dobrze go nie znał ani za nim nie przepadał i nawet bliscy mu ludzie byli daleko.

Ale gdzie jest Amor?

To pytanie pada w końcu z ust Salome, gdzie tkwiło od dłuższego czasu i czekało, by się uwolnić. Bo i ona tu jest, rzecz jasna, nie można się jej pozbyć, stoi wyprostowana jak wykrzyknik w swoich sztywnych ubraniach do kościoła.

Nikt nie wie, jak się z nią skontaktować, odpowiada Desirée, żeby ją uciszyć.

Czemu do niej nie zadzwonicie?

Bo nie mamy numeru.

Ja mam.

Co?

Ja mam numer Amor.

Po czym nieszczęsna kobieta gmera w torebce w poszukiwaniu telefonu, wyjmuje go, przygląda się, naciska. Kilka dni za późno!

Czemu mi nie powiedziałaś? Pytanie wydostaje się jak syk pary pod ciśnieniem, bo Desirée nagle sobie uświadamia, że to również zostanie jej policzone jako niewybaczalne przeoczenie. Doprowadziła męża do

samobójstwa, a potem uniemożliwiła rodzinie przyjazd na pogrzeb! Ludzie będą tak gadać, a można było tego uniknąć, gdyby ta głupia pokojówka coś jej powiedziała.

Nie spytała mnie pani, stwierdza Salome.

Dobrze, nie teraz, później o tym pomówimy! Desirée, zła i zawstydzona, przysuwa się ku matce. Czy ty dasz wiarę, szepcze, że ona przez cały czas miała jej numer…

Kto? Czyj numer? Maman zazwyczaj nie ma pojęcia, o czym opowiada jej córka. Jej zdaniem to wina tych wschodnich wierzeń, w które weszła, choć miejmy nadzieję, że to tylko taka faza.

Pokojówka. Miała numer Amor. Czemu ona go ma, a my nie?

Amor? To imię budzi się w niej ze snu. Och, rozumiem. Za późno, schatzi, teraz nic już nie poradzisz.

Kwestia młodszej siostry ma według Maman znaczenie wyłącznie techniczne, zresztą tak czy inaczej właśnie otwierają się drzwi kaplicy i wychodzi poprzednia grupa. Wielu żałobników, zmarły był ewidentnie lubiany. W gronie czekających na wejście daje się wyczuć nastrój wymuszonego luzu. Nie mówi się o tym głośno, ale żadna grupa, nawet w takich okolicznościach, nie jest wolna od pewnej potrzeby współzawodnictwa i teraz wszystkich ogarnia zażenowanie, że Anton Swart nie był lepiej znany czy bardziej lubiany, wchodzimy więc szybko do środka, żeby zejść z widoku.

Na zewnątrz zostaje tylko jedna osoba. Salome dotąd zakładała, że Amor jednak się pojawi, choćby w ostatniej chwili, tak jak poprzednio. Nie przyszło jej do głowy, że nikt nie powiadomił siostry. Ktoś musiał! Stoi więc samotnie na trawniku z telefonem przy uchu. Sygnał, który wysyła, przemyka po niewidocznych pasmach pomiędzy wieżami i w końcu przybiera słyszalną postać w rogu odległego pokoju. Automatyczna sekretarka odzywa się głosem z przeszłości. Och, Amor. To ja. Salome. Bardzo mi przykro, mam złe wiadomości.

W kaplicy Moti zaczął już przemawiać do zebranych. Poproszono mnie o wygłoszenie kilku słów na temat naszego przyjaciela Antona. Mam

jednak nie mówić nic religijnego. Taka była jego wola, więc to pierwsza rzecz, którą o nim powiem. Nie był religijnym facetem.

I nie ma w tym nic złego. Mnie to w ogóle nie przeszkadza. Ja też nie jestem religijny. Bardzo się jednak troszczę o sprawy ducha, więc powiem kilka słów na ten temat.

Moti uśmiecha się dobrotliwie do widowni. Jego słodki, kojący uśmiech, tylko częściowo skryty pod zarostem, dobrze pasuje do tembru głosu, kojarzącego się niektórym kobietom z głosem lekarza przycupniętego na skraju łóżka, zresztą dzięki temu głosowi często faktycznie lądował w łóżku, chociaż oczywiście było to dawno temu, nim zaczął się troszczyć o sprawy ducha.

Słuchajcie, zróbmy mały test. Jakie słowa przychodzą na myśl, gdy wspominamy Antona? Sam kilka podsunę. Proszę, mówmy o rzeczach pozytywnych. Co jednak nie znaczy, że nie możecie się wypowiadać szczerze, on sam by to docenił.

To właśnie moje pierwsze słowo. Szczery! Mówił, co uważał, nawet jeśli się mylił. Opowiadał własną prawdę. I każde z nas w pewnym momencie ją usłyszało. Ech, czasem wolałbym, żeby nie był taki prawdomówny! Na pewno niektórzy z was też tak myślą.

Fala cichego śmiechu zachęca go do kontynuowania przemowy.

Gniewny. To drugie słowo ode mnie. Najbardziej szczery bywał w gniewie. Co przysparzało mu cierpień, więc dorzucę i to. On cierpiał.

Inteligentny. Bardzo. Uparty. Bardzo. Do tego zabawny. Słyszałem, że potrafił być szczodry dla ludzi. Miał w sobie także tę cechę. Choć również bywał niemiły, sam tego zaznałem.

Może teraz któreś z was chciałoby dodać kilka słów…?

Gdzieś z tyłu odzywa się była dziewczyna Antona: Nie zawsze był szczery.

Tu i ówdzie rozlega się śmiech. Pamiętajmy, by mówić o dobrych sprawach, wtrąca Moti. Nie jesteśmy tu po to, by go osądzać.

Stanowczy, woła ktoś.

Wrażliwy.

O szerokich horyzontach?

Dziki!

Desirée, lekko spanikowana kierunkiem, jaki obrała ta ceremonia, mówi: Był kochający.

Siedzący obok niej otumaniony ojciec wydaje z siebie rechot, po czym woła: Seksowny!

Zapada cisza i Moti lekko klaszcze w dłonie. Wystarczy! Takie właśnie cechy miał duch Antona. Takie i inne, rzecz jasna.

Miałem przywilej rozmawiać z naszym przyjacielem na noc przed jego śmiercią. Powiedziałem mu to, co teraz powiem wam, że materia to duch, który wypadł z łask. Jak wiemy, Anton miał naturę człowieka wątpiącego, ale chyba mnie usłyszał. Usłyszał, co chciałem mu przekazać.

W świecie materii chyba nigdy nie zaznał spokoju, więc miejmy nadzieję, że odnalazł go w domenie ducha. Lecz tylko na chwilę! Przed nami bowiem, moi przyjaciele, kolejne żywoty i następne ciała czekają, by otrzymać naszego ducha. Znowu spotkamy Antona Swarta, my wszyscy, którzy byliśmy z nim połączeni. Będzie miał nowe imię, podobnie jak wy, lecz wasz duch rozpozna jego ducha i będzie pamiętał o wszystkich niedokończonych sprawach między wami.

Znów ten dobroduszny uśmiech. Wśród zgromadzonych, z których większość to dobrzy chrześcijanie, daje się wyczuć pewne napięcie. Co to za bzdury o kolejnych życiach? Jakaś pogańska, obca, nowoczesna gadanina, objaw moralnego upadku, który już widać wszędzie wokół. Maman zastanawia się teatralnym szeptem, jakim cudem to przemówienie można uznać za niereligijne, a Desirée cicho odpowiada, że to tylko filozoficzny punkt widzenia i nie padło ani słowo o żadnym bogu. W sali słychać pomruki, na szczęście Milo Pretorius, znany jako Moti, zakończył swoje rozważania.

Czas, by znów objawił się świat materialny. Dzieje się to za pośrednictwem Dereka, dawnego kumpla od kieliszka Antona, który śpiewa ułożoną przez siebie piosenkę. Kiepsko nastrojona gitara, twarz, która sprawia wrażenie, że zaraz się rozpuści. Hej, Ant, to kawałek dla ciebie!

Byliśmy towarzyszami,
Czy te czasy już za nami?

Wciąż się wszędzie pojawiałeś,
Przychodziłeś, wszystkich znałeś,
Czemu już musiałeś odejść?
Itp., itd.

A potem jeszcze tylko Leon, brat Desirée i kolega z klasy Antona, recytuje wiersz N.P. van Wyk Louwa, bo błędnie sądzi, że Anton bardzo go lubił. Uważa tak z powodu pewnej rozmowy, którą, jest tego pewny, odbył z nim przed laty, choć w rzeczywistości rozmawiał wtedy z ich wspólnym znajomym, rok temu tamten także tragicznie zginął, tyle że na jachcie. Zresztą jakie znaczenie ma ta drobna pomyłka, wszyscy oni już nie żyją, i Anton, i znajomy, i N. P. van Wyk Louw wrócili do krainy ducha, dokąd wszyscy się udamy, jeśli Moti ma rację, kiedy ta ziemska szarada dobiegnie końca.

Możemy iść? Tak, możemy, na szczęście to już wszystko, kres tej gehenny, zebrani płyną ku drzwiom na brudnej fali muzyki organowej, a ich potok zakłóca jedynie mężczyzna z wystającym zębem i sporym kawałkiem podszewki widocznym pod peruką, który podchodzi do zmierzającej ku wyjściu Desirée i mówi, że prochy będą gotowe do odbioru za parę tygodni, o czym poinformuje ją biuro.

Nie przewidziano żadnych dalszych wydarzeń. Z pewnością nie będzie stypy, ludzie czuliby się zbyt niezręcznie, a zresztą Anton nie życzył sobie żadnego zamieszania, więc po pospiesznych pożegnaniach na podwórzu poszczególne grupki rozpraszają się niczym cząstki dymu wylatującego z komina krematorium.

Jedną z tych cząstek, Desirée, matka wiezie na farmę. Ojciec siedzi ogłupiały na tylnej kanapie obok pokojówki. W samochodzie niewiele rozmawiają. Każde z nich tkwi pogrążone w rozmyślaniach o minionej uroczystości, z wyjątkiem starca, który doszedł do radosnego wniosku, że leci helikopterem w towarzystwie dziwek, co faktycznie raz mu się przytrafiło w dniach jego chwały.

Po przyjeździe na farmę Maman postanawia zadzwonić do młodszej siostry Antona i choć spodziewa się trudnej rozmowy, nie zamierza tolerować żadnych pretensji z jej strony. To straszne, że nikt nie potrafił się

z nią skontaktować, ale czyja to wina? Ta cała Amor narobiła sporo kłopotów i ktoś silny, lecz uprzejmy, powinien ją przywołać do porządku.

Głos w słuchawce jest jednak spokojny i cichy, niemal zaspany. Tak, mówi. Wiem, co się stało z moim bratem.

Wiesz? Ale skąd? Próbowaliśmy się z tobą skontaktować…

Salome zadzwoniła dziś rano z kaplicy. Dziękuję, że wszystko zorganizowałaś. Chwila przerwy, po czym dodaje: To moja wina, że nie mogliście mnie znaleźć. Ukrywałam się.

Żadnej walki, nie tak to sobie wyobrażałaś. Ostatecznie nie mają prawie nic do omówienia, Amor dodaje tylko, że pozostanie w kontakcie. Choć nie wydaje się, by zamierzała dotrzymać słowa.

Ale w dali, na południu kraju, na drugim końcu przerwanego połączenia, po głowie Amor siedzącej samej w małym mieszkaniu krąży tylko jedna myśl. Muszę wrócić. To sobie właśnie powtarza. Muszę wrócić. Została już tylko ona i musi wrócić. Ostatni raz. Ta świadomość narasta w niej powoli, w końcu stoi samotnie w pejzażu jej umysłu niczym skalna iglica na równinie. Przywykła już do samotności, ostatnio żyje już tylko tak, lecz nigdy nie będzie bardziej osamotniona niż podczas ostatniego pobytu na farmie.

Jeszcze nie jest na to gotowa. Nie może tam pojechać słaba, a teraz tak się czuje, czyn jej brata całkowicie ją wydrążył. Na samą myśl o tym chwieje się na nogach. Cała jego moc i wściekłość rozpalone do białości i skupione w metalowej rurze skierowanej w sam środek jego życia. Tu/nie tu/nigdzie. Anton, którego nigdy naprawdę nie znała. Był zbyt wysoko, zbyt daleko, zbyt inny. A teraz nie został żaden ślad.

Choć niezupełnie. Potrzeba bowiem dwóch, trzech godzin, by spalić ciało, pieców jest niewiele, a zmarłych mnóstwo. Każdy z nich nieskończenie cierpliwie czeka na swoją kolej w chłodzonym przedsionku. Wśród nich Anton w łatwopalnej skrzyni. To co prawda bez znaczenia, ale żona wybrała mu sandały, niebieskie spodnie z serży i obszerną zieloną koszulę, którą, jest tego prawie pewna, miał na sobie, gdy się jej oświadczał, choć może to było z innej okazji. On nic więcej nie musi robić i niczego więcej nie trzeba robić dla niego.

Z wyjątkiem jednej rzeczy, choć może nie zdarzy się to dziś ani nawet jutro, gdy otworzą się wrota i Anton wejdzie w ogień. Serce komory świeci się na biało. Płomienie wszystko strawią, lecz powoli, bo niełatwo rozerwać węzły, które zaciskały się przez pół wieku.

Cały proces nadzoruje Clarence, ten z wystającym zębem i źle dopasowaną peruką, w lipcu miną trzydzieści cztery lata, odkąd zajmuje się piecami niczym mały demoniczny urzędnik. To on nastawia pokrętła i określa, kiedy ciało zostało całkowicie spopielone. Zdziwilibyście się, jakich problemów mogą nastręczać zmarli, na przykład otyli, z których wytapia się łatwopalny tłuszcz, co raz doprowadziło do pożaru urządzenia, albo ludzie z ukrytymi mechanicznymi częściami, takimi jak rozrusznik serca, który kiedyś eksplodował. Jednak Anton jest prosty w utylizacji. To człowiek szczupły, wręcz wychudzony, sprawnie przeobraża się w popiół. A dokładniej w kupkę żwiru pełną fragmentów kości. Zaskakująco małą kupkę.

To także Clarence, kiedy Anton już wystygnie, zgarnia wszystko, co z niego pozostało, sprawdza, czy nie ma w nim kawałków metalu, srebrnych plomb, śrub ortopedycznych i innych podobnych elementów, a następnie wsypuje go do kremulatora, który miele wszystko prawie na proch. Teraz można go przelać niemal jak płyn do zamówionej wcześniej urny, opatrzonej wyraźnym numerem i etykietką, by uniknąć pomyłek, choć w tym momencie to już chyba nie miałoby większego znaczenia, tym bardziej że szczątki Antona nie są wcale czyste, zmieszały się z resztkowymi osadami tych, którzy wcześniej trafili do krematorium, zwłaszcza z prochami bezpośrednio poprzedzającego go profesora języków słowiańskich, który zadławił się bananem.

Tego samego dnia Clarence dzwoni z biura do pani Swart, aby poinformować, że może odebrać męża, więc Desirée podjeżdża po niego, łączy ten wyjazd do miasta z wizytą u fryzjera. Urna lepiej wyglądała w katalogu, jest wielka i nieporęczna, Antona zostało zaś całkiem dużo. Wyobrażała sobie, że zmieści się do małego woreczka, ale choć stracił formę, nadal sporo waży i ma pokaźną objętość ukształtowaną przez wnętrze naczynia.

Nie wie, co z nim zrobić. To wariactwo, lecz ma wrażenie, że Anton wciąż tam jest. Faktycznie jest, ale. Jego zminiaturyzowana wersja, skulona niczym kret w tunelu. Desirée wciąż unosi wieczko, by pomacać zawartość. Czasem mówi do niego matczynym tonem. Och, już cicho, dość się nagadałeś. Tego typu zdania. List instruował, by rozsypać prochy, lecz ona nie może się do tego zmusić. Żadne miejsce nie wydaje jej się dobre i w końcu, zanim wymyśli, co dalej, stawia urnę na gzymsie nad kominkiem w salonie.

Czekają ją, rzecz jasna, wielkie zmiany. Nie wie jakie, ale wie, że nadchodzą. Cherise Coutts-Smith zostawiła jej wiadomość z prośbą o telefon i Desirée ogarnia jakieś przeczucie. Niezbyt dobre. Anton zawsze głośno zapewniał, że to ona wszystko odziedziczy, ale czy kiedykolwiek mówił prawdę? Nawet jeśli tak mu się zdawało?

Tak, mówi Cherise Coutts-Smith, jego zapewnienia są zgodne z prawdą, tylko że.

Tylko że co?

Tylko że w papierach panuje wielki bałagan. Anton miał dwie polisy na życie, ale żadnej nie uda się spieniężyć, bo zginął z własnej ręki. Poza tym jest winien dużo pieniędzy wielu ludziom. Rozwikłanie tego zajmie sporo czasu i może się okazać, że odziedziczy pani, hm, wielką czarną dziurę długów. Rodzinny interes, wie pani, ten park z wężami, jest w stanie upadłości od czasu kłopotów z partnerem, więc tu nie należy spodziewać się wiele dobrego. Jest jeszcze kwestia farmy. Co chciałaby pani z nią zrobić?

Desirée nigdy zbytnio nie lubiła życia na tych rubieżach i mogłaby się wynieść, ostatnimi czasy nie jest już jednak taka przekonana. Moti twierdzi, że to miejsce przepełnione wielką energią, bo najwyraźniej na szczycie pagórka zbiegają się linie mocy, nadawałoby się więc doskonale na ośrodek medytacji, zresztą kilka tygodni temu spróbował jej tam nawet z grupą uczniów i weszli w idealną harmonię. Zaczęła się więc zastanawiać, czy w jej negatywnym stosunku do farmy nie odzwierciedlały się tak naprawdę problemy małżeńskie, i może wreszcie nadszedł moment odrodzenia? Ktoś jej niedawno powiedział, że jej duchowym zwierzęciem jest feniks!

Na pani miejscu, mówi prawniczka, sprzedałabym to miejsce i nie brnęła w straty. Być może ostatecznie nawet coś pani zarobi. Jednak niczego pani nie wskóra bez zgody drugiej siostry. Teraz jesteście równoprawnymi partnerkami.

Równoprawne partnerki z Amor! Ale jej tu nie ma, nie chce tu być, nikt nie potrafi się z nią nawet skontaktować. Powiedziała, że będzie dzwonić, i od tamtego czasu ani widu, ani słychu, a pod jej numerem, swoją drogą stacjonarnym, czy to do pomyślenia w tych czasach, nikt nigdy nie odbiera. Pozostaje chyba tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia się pokaże.

I faktycznie pokazuje się miesiąc później. A raczej kontaktuje, tak jak obiecała. Odzywa się bardzo uprzejmym, wręcz profesjonalnym tonem, o ile rola szwagierki to profesja. Chciałaby przyjechać w odwiedziny na farmę. Ma pewną propozycję do przedyskutowania, najlepiej osobiście. Może jutro?

Jutro! Poczekaj chwilkę, sprawdzę kalendarz. Desirée nie ma kalendarza ani prawie żadnych zaplanowanych zajęć, ale i tak mówi: Czy może to być jednak pojutrze?

Popatrz, mówi później Motiemu, będzie chciała, żeby ją obsługiwać. Co to, to nie!

Już wznosisz mury obronne, odpowiada cicho Moti ugodowym tonem, choć jeszcze nie przyjechała. Spróbuj otworzyć się na to, co przynosi wszechświat.

Desirée wie, że on nie mówi tak ze względu na Amor, tylko dlatego, że ostatnimi czasy podczas zajęć wyczuwa w niej blokadę, więc ciągle dąży do kontaktu fizycznego, dotyka jej i próbuje skłonić do opuszczenia gardy, ona zaś stara się przepracować swoje problemy z nieufnością. Od niedawna bardziej się na niego otwiera, natomiast Moti po tamtych zajęciach medytacji tak jakby się do niej wprowadził, mimo że nawet o tym nie porozmawiali. Zaproponowała, żeby został na noc, z czego zrobiły się dwie noce, potem tydzień i tak jakoś zostało. Ten układ, ogólnie rzecz biorąc, wydaje się jej bardzo odpowiedni i zyskał błogosławieństwo jej wyższej jaźni, choć Desirée jest świadoma, że Amor pewnie spojrzy na niego inaczej. Może na czas jej pobytu Moti powinien się wyprowadzić?

Strach, zauważa Moti. Pretensje i gniew mają korzenie w strachu.

Rzecz jasna ma rację, a raczej jest pewny, że ma rację, co w jego przypadku niczym się nie różni. Ona jednak w niego nie wątpi. Rzadko bywała tak otwarta na drugą osobę, choć czuje, że mogłaby się otworzyć jeszcze bardziej. Mówi mu o tym, a później na widok jego zmarszczonych brwi zastanawia się, czy nie pozwoliła sobie na zbyt wiele.

Ostatecznie, choć trudno w to uwierzyć, łączy ich Jacob Zuma. Wieczorem, kiedy leżą na podłodze, piją czerwone wino i rozmawiają o Amor, działający dotąd w tle telewizor zaczyna pokazywać nagłe poruszenie, prezydent składa rezygnację. Moti podgłaśnia, ale materiał już się prawie skończył. Krótki komunikat i Zuma wychodzi. Cześć, hasta la vista, już go nie ma! Trzymał nas latami dla okupu, a teraz sobie odpuszcza i idzie. Na żywo, właśnie teraz! Tak po prostu! O rety, niewiarygodne!

Może to z powodu czerwonego wina, a może dlatego, że są walentynki, w każdym razie Desirée doświadcza nagłego przełomu. Polityka, zwłaszcza po tym, co spotkało ojca, jej nie interesuje, ale oczywiście poznała się na Zumie na tyle, by dostrzec w nim czarny charakter wprost stworzony do tego, by nim gardzić, i po rządowym oświadczeniu ogarnia ją poczucie wyzwolenia. Zrzuca kolejne ograniczające ją dotąd części garderoby, powtarzając: Czuję się taka wolna! Zrzuca buty. Sama nie wiem, Moti, czuję się wolna! Zrzuca sukienkę. Wolna, wolna! Kraj się odmienił! Już się pozbyła bielizny. Każdy musi czuć tę zmianę nastroju, przecież zły człowiek zrezygnował… W narodzie zapanuje dobro, Guptowie zostaną aresztowani, pozamykają wszystkich kombinatorów! W Kapsztadzie skończy się susza! Sieć energetyczna już nigdy nie zawiedzie! Wszyscy jesteśmy wolni, wolni, wolni, a odrzuciwszy ostatnie ograniczenia, otwiera się na Motiego jak nigdy wcześniej. To, co się między nimi wydarza, jest pięknym, wyjątkowym doświadczeniem, więc może lepiej jej nie mówić, że w noc rezygnacji Zumy liczba stosunków seksualnych w całym kraju zdecydowanie wzrosła.

Oczywiście następnego dnia czuje się niezręcznie, gdy musi wyjaśnić Amor, kim jest Moti i co tutaj robi. Całą trasę na lotnisko pokonuje w godzinach szczytu, bo chociaż Amor przyjeżdża późnym popołudniem, o najgorszej porze dnia, Desirée nie może nie zaoferować transportu, a ta

przeklęta kobieta, co niewiarygodne, nadal nie zrobiła prawa jazdy. Podczas jazdy Desirée próbuje się przygotować, zburzyć mury obronne, wyzbyć strachu i pretensji. Odpuść, Desirée. Bądź swoim własnym aniołem. Ale jednocześnie nie zdradź zbyt wiele!

Nie rozpoznają się w hali przylotów. Amor pozostaje ostatnią osobą na tej planecie, która nie ma komórki, ale nie złość się, Desirée, odpuść. Problem w tym, że w pamięci masz tylko jej wyblakłe wspomnienie sprzed lat, ona zaś tak już oczywiście nie wygląda. Drobna pani w średnim wieku o siwiejących, ostrzyżonych na jeża włosach i z niepewnym wyrazem twarzy, która w końcu przed tobą staje, to ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałaś.

Nie jest tak źle. Na pewno nie sprawia groźnego wrażenia. Dość pospolita i sterana życiem, wydajesz się przy niej niemal lśnić. Przydałby jej się makijaż!

To ty, mówi. Równie dobrze mogłaby powiedzieć: To ja, te słowa też osiągnęłyby pożądany efekt. Oto one, równoprawne partnerki, które odnalazły się tylko dlatego, że tłum w hali przylotów się rozrzedził.

Po drodze na farmę Desirée mówi jej o Motim. Postanowiła od początku nie ukrywać sprawy, tylko swobodnie o wszystkim opowiedzieć, jakby to nie było nic wielkiego. Mój nauczyciel duchowy, uzdrawiacz, od lat uczy mnie medytacji.

Nie musisz niczego mi wyjaśniać, mówi Amor. To przecież nie mój interes.

Wspominam o tym, bo twój brat za nim nie przepadał, zwłaszcza gdy sobie wypił. Doszło wręcz do rękoczynów tej nocy, zanim… Niepewnie zawiesza głos. Nie podoba ci się, że tak mówię?

Amor przecząco kręci głową. Bynajmniej. Anton był trudnym człowiekiem. Każdy to wie.

Ha! Po tej wymianie zdań Desirée robi się niemal gadatliwa. Łatwo jest się zwierzać Amor, jest cicha i uważna, a kiedy się odzywa, trafia w samo sedno. *Ja*, otóż to, wie, o co zapytać, i potrafi słuchać. Więc Desirée mówi jej… cóż, stanowczo zbyt wiele, w tym o sprawach osobistych, o których normalnie wspomina tylko matce, takich jak różne przypadki i epizody

małżeńskie, nawet te dotyczące sypialni. Nie może nie wspomnieć o kwestii dzieci, tak bardzo chciała je mieć, i ta cielesna wręcz potrzeba niezwykle ją frustrowała, bo Anton oczywiście był bezpłodny… jeszcze zanim stał się impotentem. Tak, o tym także opowiada Amor!

Zaraz potem spogląda nerwowo na szwagierkę. A ty? Nigdy nie chciałaś mieć dziecka?

Amor wpatruje się przed siebie. Za młodu, odpowiada cichym głosem. Teraz już nie.

Czemu nie? Druga, mała ty, żeby podtrzymać ród…? Och, nie potrafię sobie wyobrazić nic lepszego…

Amor potrafiłaby pewnie wymyślić lepsze rzeczy, ale nic nie mówi, zresztą już i tak docierają na farmę. Nastaje noc i atmosfera robi się niezręczna. Desirée ma wrażenie, że powiedziała za dużo, i chce to jakoś naprawić. Kierowana na poły panicznym odruchem podchodzi do kominka i zdejmuje z gzymsu pojednawczy dar.

Weź, mówi. Myślę, że ty powinnaś to zrobić.

Amor dopiero po dłuższej chwili uświadamia sobie, co trzyma w rękach. Och. Cześć, Anton.

(Hej, siostra).

Nim wyjedziesz, mówi Desirée, wybierz miejsce, by go rozsypać. Takie, które było dla niego ważne. Sama zdecyduj.

Dobrze, odpowiada Amor. To bez wątpienia znaczący gest, ale urna wydaje się jej bardzo ciężka. Zrobię to. Zanim wyjadę.

A teraz się rozgość. Przewidziałam dla ciebie sypialnię dla gości, bo niedawno została odmalowana. Teraz jest tam o wiele jaśniej!

Jeśli nie masz nic przeciwko, mówi Amor, chciałabym spać w moim starym pokoju.

To znaczy na górze? W tym, gdzie on zrobił sobie gabinet? U, tam jest straszny bałagan, nie możesz tam zostać! Niestety jeszcze nie dałam rady go ogarnąć, ale jeśli poczekasz do jutra, to przyjdzie dziewczyna i posprząta.

Nie, sama to zrobię. Chcę spać w tamtym pokoju.

W tonie jej głosu słychać, że to przemyślała i nie zmieni zdania, więc Desirée więcej nie naciska.

Można by pomyśleć, że w pomieszczeniu doszło do wybuchu, który zatrzymał się w połowie. Papiery, książki, artykuły, teczki, ubrania, kurz, papeteria, przepisy, notatki, zdjęcia, monety i pocztówki leżą w przypadkowych stertach. Stan jak zawsze, tylko znacznie gorzej. Pod tym wszystkim dostrzega zarysy swojego dawnego łóżka, biurka i krzesła, do których może się dokopać.

Masz ochotę na herbatę? proponuje Desirée, czym zaskakuje sama siebie. Albo coś do jedzenia?

Przywiozłam trochę własnych zapasów, odpowiada Amor, unosząc ciężką torbę. Zostałam weganką i nie chcę robić kłopotu. Ugotuję coś trochę później.

To wszystko jest całkiem nieoczekiwane. Nie nastawiałaś się na taki obrót spraw. Niesamowite, wiozła pół walizki warzyw, by mieć co jeść!

Ona wydaje się, sama nie wiem, miła, mówi Desirée Motiemu. Rozmawiają szeptem trochę później na dole w salonie. Mój mąż zawsze mi powtarzał, że po tym, co jej się przytrafiło, zwariowała. Ale wcale nie wygląda na wariatkę, wręcz odwrotnie.

Moti odpowiada mądrym, dźwięcznym śmiechem, wyginając się przy tym w kształt zbliżony do żółwia. Co jest odwrotnością wariactwa? Zdrowa psychika to także wariactwo, nieprawda? Och, te binarne podziały, te polaryzacje! Możesz mi przypomnieć, co jej się przytrafiło?

Trafiła ją błyskawica! Na szczycie pagórka. Oczywiście to było dawno temu.

Na pagórku! mówi, wychodząc z asany i patrząc wprost na nią. A nie mówiłem, że to miejsce obdarzone energią?

Z góry dobiega szuranie. Amor zaczęła sprzątać rzeczy Antona, przenosi je kolejno z różnych części pokoju w jeden róg. Najpierw starała się je jakoś porządkować, wreszcie się poddała i składa je byle jak na kupę. Odłącza nawet komputer i stawia w jakimś pustym miejscu. Spłachetki wolnej przestrzeni stopniowo pojawiają się w połowie pomieszczenia. Tak,

może żyć w tej połowie, Anton dostanie drugą. Widzisz, bracie, można się dzielić.

Naprawdę chciała zejść na dół i ugotować posiłek, ale skończyła sprzątać dopiero nocą i straciła apetyt. Zjadłam za dużo dzieciństwa, dzięki, jestem już pełna. Pokoju swojego dorastania nigdy się nie opuszcza i Amor żyje w nim od czterdziestu czterech lat. Bierze prysznic i kładzie się w piżamie na łóżku. Silnik umysłu pracuje i chyba nie pozwoli jej zapaść w sen.

Pamiętasz rytuał, który jako dziecko odprawiałaś każdej nocy, musiałaś w myślach dotknąć różnych przedmiotów, zanim mogłaś zasnąć. Byłaś taka niespokojna, dziś jest o wiele lepiej. Próbuje zrobić to teraz, sięga myślą do pewnej cegły w ogrodzie, specjalnego miejsca na parapecie, konkretnej płytki na patio… ale potrzeba rytuału znikła i Amor nieoczekiwanie zasypia.

Budzi się nagle, tak rozgrzana i spocona, jakby miała temperaturę. Noc jest gorąca, lecz ona jeszcze gorętsza, piec w jej wnętrzu buzuje na całego. Odkrywa się i podchodzi do okna, by zażyć świeżego powietrza. Błyskawica rozświetla horyzont, a dziwnie pofałdowany ląd wynurza się na moment z oceanu, po czym znowu niknie. Po kilku minutach robi się jej chłodniej, lecz jest już rozbudzona.

Włącza światło i siada przy biurku. Uprzątnęła z niego wszystko z wyjątkiem sterty kartek, które teraz przysuwa ku sobie. To ewidentnie powieść Antona. Często o niej wspominał, choć raczej tak, jakby jej pisanie było jakimś abstrakcyjnym stanem niż konkretną czynnością. Ale oto ona, opasła latami. Sama się nie napisała.

Pierwsza strona jest pusta. Tytuł wymyślę na samym końcu. Prawie słyszy to zdanie wypowiadane przez brata matowym, żartobliwym tonem. Przewraca stronę. Część pierwsza, czyta. Wiosna. Aaron był młodym mężczyzną, który dorastał na farmie pod Pretorią…

Gdy zaczyna lekturę, książka przybliża się ku niej z oddali, z jego umysłu do mojego przez przepaść czasu, i nagle Amor nie jest już w pokoju, znalazła się wewnątrz zdań, jedno połączone z drugim pod różnymi kątami, niczym sieć tuneli. Dokąd nimi dotrze? Aaron jest młodym mężczyzną dorastającym pod Pretorią, na farmie przypominającej naszą.

To silny, szczęśliwy młodzieniec, dobrze się zapowiadający i ambitny. Z pewnością dokona wielkich rzeczy. Wiele dziewczyn go pożąda, lecz on kocha tylko jedną, piękność z pobliskiego miasta.

Pierwsza część ma tylko około osiemdziesięciu stron. To solidny, dobrze napisany początek, nawet jeśli odrobinę sentymentalny. Można w nim wyczuć drobne zwiastuny ukrytego mroku, który powoli rozchyla się niczym kwiat. Anton/Aaron wierzy, że w rodzinie ma wroga, ktoś knuje przeciwko niemu, ale zagrożenie nie zostaje wyraźnie zdefiniowane… Pazerna ciotka? Podstępna siostra? A może długoletni służący, w którego lojalność należy powątpiewać? Lecz to nieważne, bo nie dzieje się zbyt wiele poza tym, że kraj pęcznieje i rozkwita, podobnie jak ciało Aarona, tak, wszędzie wybucha wiosna.

Dopiero w Części drugiej, zatytułowanej Zima, sprawy przybierają dla niego naprawdę zły obrót. Przypadkowo, w wyniku tragicznego wypadku, zabija z karabinu pewną kobietę, po czym ucieka, choć nie tyle przed prawem, ile przed samym sobą. Ukrywa się w bezimiennej dżungli, być może w środkowej Afryce, gdzieś, gdzie panują wilgoć, dzicz i korozja, a moralność i metal ulegają rozkładowi. Wszystko to zostaje opowiedziane szybko i intensywnie na zaledwie kilku stronach. Lecz w tym momencie, kiedy życie naszego tajemniczego bohatera powinno nabrać wagi i impetu, powieść się chwieje, waha, zbacza w niepewność. Aaron robi straszne rzeczy, jemu też robią straszne rzeczy. Jest młodym człowiekiem na skraju dorosłości, ale cały jego potencjał rozprasza się w okrutnej walce o przetrwanie. Problem w tym, że wraz z życiem Aarona załamuje się także narracja, imiona i szczegóły zmieniają się z akapitu na akapit, widać gorączkowe skreślenia i poprawki naniesione starą-młodą ręką Antona, mogłaby należeć do dziecka albo do starca.

Na marginesach są także autorskie notatki techniczne. Czy to saga rodzinna, czy opowieść o farmie? mówi jedna z nich. Inna: Pogoda nie ma znaczenia dla fabuły! Oraz: Czy to komedia, czy tragedia? Wtrącenia mnożą się stopniowo, aż historia się urywa i pozostaje tylko ogólny szkic dalszych zamierzeń autora. Część trzecia miała nosić tytuł Jesień i w niej Aaron powraca na farmę. Mierzy się tam z różnymi wyzwaniami oraz złymi siłami, pragnącymi jego upadku, ale ostatecznie, w Części czwartej,

zwycięża i nastaje Lato. Sceny z kolejnych etapów życia, oddzielone mniej więcej dziesięcioletnimi przerwami, miały w rytmie pór roku kreślić jego drogę, od obietnicy, przez upadek i powrót, po pełną dojrzałość.

Tak wygląda plan, książka jest jednak daleka od ukończenia. Po kilku stronach tekstu drugiej części zdania rozpadają się na kawałki, kropki i enigmatyczne zapiski. Uwagi do samego siebie. Amor wybiera kilka przypadkowych. Południowoafrykańczycy są głusi na ironię… W tym kraju nie da się mówić w czyimś imieniu, wyłącznie w swoim, a nawet wtedy… W sercu każdej południowoafrykańskiej historii jest Uciekinier… Zabić Czarowników/Wytępić całe to bydło…

Przewraca ostatnią stronę. Na dole pod zapiskami coś w rodzaju zakończenia. Ech, po co to wszystko? Tak brzmi to zdanie napisane dziwnym, chybotliwym pismem, lecz z pewnością ręką Antona. Być może wtedy powieść się ostatecznie rozpadła. A może runęło coś innego. Tak czy inaczej, są to jego ostatnie skierowane do niej słowa. W życiu mówił przeważnie obok niej, może z wyjątkiem jednej czy dwóch rozmów, a nawet wtedy się ze sobą nie zgadzali. To dlatego tu jest. Pamiętaj o tym, Amor.

Układa kartki z powrotem w równy stos. To tyle, jeśli chodzi o ten wielki projekt. Mocny start i zagubienie kierunku. Lecz głos wciąż do niej przemawia i nawet w swych ostatnich pomrukach opowiada o Antonie rzeczy, których on sam by jej nie wyznał. Tu i ówdzie Amor rozpoznaje oniryczną wersję życia swojego brata. Taką, którą umysł może stworzyć z surowca życia, kiedy jest pogrążony we śnie.

Rankiem opowiada o tym swojej szwagierce. Zbudziłam się w nocy i nie mogłam już zasnąć. Więc przeczytałam powieść Antona.

Desirée długo i powoli przyswaja sobie te fakty. Że powieść faktycznie istnieje i że ktoś śmiał… Ależ by się wściekł, gdyby się dowiedział! Choć ona oczywiście bardzo, ale to bardzo chce wiedzieć.

Tak? I co? Co w niej jest?

Podnosi głos, ponieważ potajemnie żywiła nadzieję, że dzieło życia jej męża okaże się wielką powieścią. Kto wie, może lepszą niż książki Wilbura Smitha. Wyobraźcie to sobie!

Lecz Amor kręci głową. Napisał tylko ćwierć. Reszta to notatki, coś w rodzaju dziennika. Dużo brakuje do zakończenia. Szkoda.

Wiedziałam! Jeszcze jeden zawód. Desirée jest wręcz zadowolona. Harował nad tą cholerną książką przez prawie dwadzieścia lat, utrzymywał wszystkich w przekonaniu, że jest geniuszem… Przeczuwa, że czekają ją długi i katastrofa. Polegać na Antonie, że przygotuje ich na przyszłość, to pewna klęska. Zostawiał po sobie wyłącznie bałagan. A ja go muszę posprzątać! Zaczyna płakać.

Dzieje się to na przedniej werandzie. Delikatne światło poranka, kubki kawy, tego typu rzeczy. Życie na farmie. Amor bardzo precyzyjnie układa stopy na barierce przed nią i wpatrując się w żółtą dal, cierpliwie czeka, aż druga kobieta przestanie płakać.

Jak mówiłam przez telefon, mam dla ciebie propozycję, mówi. Chciałabyś ją usłyszeć?

Desirée szybko osusza oczy rękawem podomki. Nie zatraciła się jeszcze w sprawach ducha na tyle, by nie usłyszeć, kiedy rzadka okazja pochrząkuje nad uchem. Gdy Amor mówi spokojnym tonem, słucha zdumiona, choć nie trzeba być szczególnie bystrym, by zrozumieć istotę jej oferty. To wszystko bardzo proste i wyłącznie głupek by odmówił.

Nie rozumie tylko jednej rzeczy. Obraca ją w myśli na wszystkie strony i nadal nie pojmuje. Co ty będziesz z tego miała?

Nic.

Ale w takim razie dlaczego…?

Bo mi na tym zależy, odpowiada. Czy takie wyjaśnienie wystarczy?

Cherise Coutts-Smith mruży już i tak małe oczy. Jej nie wystarcza. Muszę się po prostu upewnić, mówi ostrożnie. Nikt pani do tego nie zmusza?

Nie, mówi Amor. Nikt.

Wzdycha cierpliwie. Rozumie pani, skąd się biorą moje wątpliwości? To nie ma sensu. Rezygnuje pani ze spadku…

Amor potakuje. Tak, to właśnie robię.

Z biegiem lat prawniczka się powiększyła, podobnie jak jej praktyka zawodowa. Po drodze skonsumowała dwóch mężów i wciąż trawi ich

leniwie niczym zahibernowany pyton. Zrobiła się niemal zbyt wielka na swoje ciasne biuro, duszne w lutowym upale, wypełnione po brzegi książkami i ciałem. Jest bogata i zajęta, a ci ludzie, ci Swartowie, klienci jej ojca, którzy liczyli się w zamierzchłych czasach, są dla niej za mali. Nie potrzebuje się nimi zajmować, a zwłaszcza tą nową, najmłodszą, która narobiła sporo zamieszania i wygląda na pomyloną.

Latami próbowaliśmy się z panią skontaktować, mówi szorstko. Porządnie nas pani przegoniła.

Wiem. Nie odpowiadałam na wiadomości. Przepraszam.

Jak z taką postąpić? Nie sposób określić, co się dzieje za tą pustą twarzą. Może ma jakiś tajny plan, nie zdziwiłabym się, widziałam już takie osóbki, ale to się jej nie uda.

Cóż, skoro pani wie, na co się pani pisze, mówi prawniczka. Nigdy nie doradziłabym nikomu postępowania wbrew własnym interesom.

Rozumiem. Dziękuję.

Jest jeszcze jedna sprawa. Chodzi o spór, który pani brat toczył przed śmiercią. Pewna wspólnota twierdzi, że została przemocą wysiedlona z terenu farmy, i rości sobie prawa do ziemi. Zatem pani dar może się okazać zatrutym kielichem.

Rozumiem, powtarza Amor.

W porządku. W takim razie zlecę przygotowanie dokumentów i możemy działać. Powieki prawniczki stają się jeszcze cięższe. Tymczasem może zajęłybyśmy się kwestią, którą próbowaliśmy rozwiązać…

Chodzi pani o pieniądze.

Tak. Chyba zna pani problem. Ponieważ nie mogliśmy się z panią skontaktować, przelewaliśmy comiesięczne dochody uzyskiwane z majątku spadkowego po pani ojcu na konto powiernicze. Obawiam się, że nie mieliśmy innego sposobu, żeby…

Ile się tego zebrało?

Hm, całkiem pokaźna suma. Mogłaby być większa, gdyby przez ten czas mądrze nią zarządzać, ale na to już za późno. Jedną chwilkę. Poprawia brokatowe okulary, przesuwa papiery, następnie odczytuje liczbę. Całkiem

spora. Tak. Przybyło kilka zer. Co chciałaby pani, żebyśmy zrobili z tymi pieniędzmi?

Podam numer do przelewu.

Pani Swart. Prawniczka czerpie satysfakcję ze swojej obecnej wielkości, a gdy przybiera taki ton, czuje się jeszcze większa. Pani wybaczy cynizm. Jednak to samo powiedziała nam pani dwadzieścia lat temu, a potem słuch o pani zaginął.

Jutro podam numer konta, obiecuję.

Jestem prawniczką. Obietnice nic nie znaczą.

Ja swoje traktuję poważnie, odpowiada Amor. Na pewno jutro.

Następnego dnia rusza ścieżką wokół pagórka do domu, w którym mieszka Salome. Wolałaby jeszcze tam nie iść, poczekać, aż będzie mieć papiery w ręku. Lecz ponieważ na to jeszcze za wcześnie, powiedzmy, że je ma, że prawniczka rankiem sporządziła i przekazała jej dokumenty, i oto są, patrzy na nie, trzyma je w dłoni.

Gorące, niespokojne popołudnie, niebo zmącone ciemniejącymi chmurami. Nadciąga letnia burza. Wyschnięte trawy i krzaki sprawiają surowe wrażenie. Chrsz, chrsz, chrzęst deptanych kamyków. Domek Lombardów wyłania się przed nią z wolna. Malutki, pochylony, ledwie wart wszystkich cierpień, które wywołuje pragnienie jego posiadania. Często patrzyła na ten dach z pagórka, ale nigdy nie była wewnątrz. Pa zabronił im tam wchodzić i jego zakaz przetrwał. Nie nasze, niebezpieczne. Brudne i groźne.

Z bliska budynek faktycznie wygląda na brudny i groźny, podwórze jest twarde i gołe, wydeptane, wokół leżą porzucone przedmioty i kawałki mebli. Kilka kurcząt dziobie w kurzu. Mimo prób polepszenia jego wyglądu, takich jak postawienie geranium w puszce czy narzucenie płachty na krzesło, dom obwisł w stuporze, gapi się pusto ciemnymi oczami, rozdziawia frontowe drzwi. Halo? Nikogo nie ma.

A jednak ktoś jest. Nie Salome. Brzuchaty mężczyzna w spodniach od dresu i kamizelce, łysy, brodaty. Czuć od niego przetrawionym piwem. Wydaje się na wpół zrujnowany, podobnie jak dom. Gapią się na siebie

poprzez czas i gęste powietrze, aż roztarte rysy twarzy powoli nabierają ostrości.

Lukas!

Amor. To ty. Tak myślałem, ale nie byłem pewny…

Błysk uśmiechu albo przynajmniej obnażonych zębów, lecz nic więcej, nawet wyciągniętej dłoni. Rozgrywa to na chłodno. Amor ma ochotę podejść do niego, ale się wstrzymuje.

Jak się masz?

Ech, odpowiada. Zwyczajnie. Znów ten szybki nieprzyjazny uśmiech. Jestem zwyczajnym czarnym facetem w tej okolicy. Czyli niezbyt dobrze.

Przykro mi to słyszeć.

Chcesz wejść?

A jest twoja mama?

Potakuje w chwili, gdy Salome pojawia się w drzwiach za jego plecami. Skurczyła się jeszcze bardziej, choć już wcześniej była skurczona. Szura stopami, szeroko uśmiechnięta, i zagarnia Amor w ramiona. Tak się cieszę, że cię widzę! / To czemu płaczesz? / Ze szczęścia!

W domu kobiety siadają przy stole. Lukas ulokował się na krześle w rogu i sprawdza coś w telefonie. Dalej są jeszcze dwa niemal pozbawione mebli pokoje. Do ściany przyczepiono kitem wycięte z czasopism zdjęcia pięknych widoków przyrody i statków wycieczkowych w egzotycznych miejscach.

Wszystko, co wydarzyło się w pokoju, wszystkie czyny, wszystkie słowa już na zawsze w nim pozostają, niewidzialne. Nie może ich zobaczyć ani usłyszeć nikt poza nielicznymi, a nawet oni niewyraźnie. W tym konkretnym pomieszczeniu dochodziło zarówno do narodzin, jak i śmierci. Działo się to dawno temu, lecz w pewne dni, gdy powłoka czasu robi się szczególnie cienka, wciąż widać krew.

Amor rozgląda się, widzi odpadający tynk. Spękane betonowe posadzki. Brakujące szyby. Dla takich rzeczy. Dla takich rzeczy jej rodzina tak długo zwlekała.

Salome zauważa jej spojrzenie i błędnie je interpretuje. Wiesz, że kazała nam się wynieść. Żona twojego brata.

Nie wiedziałam, odpowiada Amor. Ale to bez znaczenia, możecie zostać.

Powiedziała mi, że mamy się wynieść do końca miesiąca.

Nie.

I wtedy Amor kładzie dokument, którego jeszcze nie może mieć, na blacie stołu. Rozprostowuje go dłońmi. Wskazuje go, a może, na wskroś niego, podłogę.

Salome spogląda na nie-dokument, albo na to, co Amor pokazuje, i z wolna zaczyna pojmować. Mój?

Tak. Albo bardzo niedługo, jeśli tylko poczekasz jeszcze odrobinę.

Salome czekała trzydzieści jeden lat i dopiero ostatnio straciła nadzieję, a jak sami być może zdążyliście się już przekonać, rezygnacja przynosi ulgę. Jest stara, w sierpniu skończy siedemdziesiąt jeden lat. W tym samym wieku byłaby Ma, gdyby. Wiek daje się rozpoznać po jej cerze, po chrapliwym głosie, po policzkach, po zwisających fałdach skóry pod ramionami. Dawniej była pulchna, miała okrągłą, pełną figurę. Tyle lat w jednym miejscu, a raczej w dwóch, w tej pokrzywionej chacie u stóp wzgórza i znacznie większym domu po drugiej stronie. Kursowała między nimi, a nie miała własnego miejsca w żadnym, i tak wyglądało jej życie. Nie spodziewała się zmiany.

Ostatnio myślała, że być może nie będzie niczym bardzo złym, jeśli wróci tam, skąd przybyła, i dożyje lat w swojej malutkiej wiosce. To zaraz pod Mahikengiem, zaledwie trzysta dwadzieścia kilometrów stąd, a jeśli do tej pory nie padło ani słowo na temat jej domu, to dlatego, że nie pytaliście i was to nie interesowało. Obracała ten pomysł w głowie tyle razy, aż się zupełnie wygładził, i zaczęła wyczekiwać chwili wyjazdu, opuszczenia tego miejsca, które nigdy nie przyniosło jej szczęścia. Teraz musi podjąć nieprzyjemny trud poukładania sobie myśli na nowo.

Jak to możliwe?

Mój brat nie żyje i zostałam tylko ja.

Powolne oklaski. Lukas odłożył telefon. Wstaje i podchodzi do stołu, cały czas wpatrując się w Amor. I mamy być ci wdzięczni?

Amor kręci głową. Oczywiście, że nie.

Moja matka miała dostać ten dom już dawno. Trzydzieści lat temu! Zamiast tego dostawała kłamstwa i obietnice. A ty nic nie zrobiłaś.

Salome próbuje go uciszyć, ale on mówi dalej.

Żyłaś ze swojej rodziny, brałaś ich pieniądze, nie chciałaś robić zamieszania. Teraz, kiedy oni wszyscy nie żyją, przychodzisz i dajesz nam prezent. Widziałem, jak patrzysz na ten dom. Ładny, co? Trzy rozpieprzone pokoje, cieknący dach. I my mamy być wdzięczni?

Burzowe popołudnie rzuca na niego smugę mglistego światła przez otwarte drzwi i mimo ostrych słów Lukas wydaje się jej niemal łagodny.

To niewiele, mówi. Wiem. Trzy pokoje i cieknący dach. Na mało wartym kawałku ziemi. Tak. Ale po raz pierwszy to wszystko będzie należeć do twojej matki. Jej nazwisko, a nie mojej rodziny, znajdzie się na akcie własności. To już coś.

Tak. Salome potakuje w języku setswana. To już coś.

To nic, odpowiada Lukas. Znowu wykrzywia usta w tym zimnym, pełnym wściekłości uśmiechu. To coś, czego już nie potrzebujecie, czego możecie się pozbyć. Resztki po was. Tyle właśnie dajesz mojej matce o trzydzieści lat za późno. To tyle, co nic.

Nie tak to wygląda, mówi Amor.

Właśnie tak. Zresztą wciąż nie rozumiesz, że dajesz coś, co i tak nie jest twoje. Już należy do nas. Ten dom, ale i ten, w którym mieszkacie, i ziemia, na której stoi. To jest nasze! Nie możesz tego nikomu podarować w prezencie, kiedy tobie przestało być potrzebne. Wszystko, co macie, biała pani, jest już moje. Nie muszę o nic prosić.

Biała pani? Amor patrzy na niego spokojnie, a nim wstrząsa dreszcz. Ja mam imię, Lukas.

Grzmot w dali niczym krzyk kruka w obcym języku. Lukas macha ręką, jakby odrzucał jej imię.

Co się z tobą stało?

Przebudziłem się.

Nie, mówi Amor. Ja mam imię. Kiedyś je znałeś. Powiedziałam ci o domu tamtego dnia, kiedy spotkaliśmy się na pagórku. Pamiętasz?

Lukas wzrusza ramionami.

Często wspominam tamten dzień. Rankiem zmarła moja matka. Zobaczyłam cię i powiedziałam ci o domu. Byliśmy tylko wałęsającymi się dziećmi. Wtedy znałeś moje imię.

Nie ma pojęcia, dlaczego to mówi, wspomnienie i słowa po prostu napływają. Ale widzi, że on także pamięta. Przez chwilę nie wie, co odpowiedzieć, choć prawie wypowiada jej imię.

Co ci się przytrafiło? pyta go ponownie.

Życie. Życie mi się przytrafiło.

Tak, widzę. Ma blizny na ciele, rozcięcie, rana, stare ślady bójek i wypadków. Częściowy zapis wydarzeń. Ból, walka i nieudane plany. Pasmo trudnych chwil.

Jego twarz blaknie. Odwraca się od niej i chwila dobiega końca. Dość krzyków, przynajmniej na razie.

Amor zwraca się do Salome. Nie będę cię okłamywać. Musisz wiedzieć, że do posiadłości roszczą sobie prawo ludzie, którzy twierdzą, że tu mieszkali i zostali przemocą wysiedleni. Być może dostaniesz tę ziemię, a potem znowu ją stracisz. To może się zdarzyć.

Salome przyjmuje tę wieść z podejrzliwością, a barwa jej oczu się zmienia. Jej syn parska śmiechem. A nie mówiłem. To tyle, co nic!

I jeszcze jedno, ciągnie Amor. Mówi teraz bardzo cicho, nie podnosząc wzroku. Lukas powiedział, że żyłam ze swojej rodziny i brałam od nich pieniądze. To nieprawda. Odkąd opuściłam dom, nie przyjęłam od nich niczego. Więc pod tym względem się myli.

Jednak też nie zrezygnowałam z tych pieniędzy. Mogłam powiedzieć Nie, ale tego nie zrobiłam. Dlatego co miesiąc wpłacano moją sumę na specjalne konto. Nie ruszałam tego. Powiedziałam sobie, że pewnego dnia spożytkuję te pieniądze na coś ważnego, choć nie wiedziałam, na co. Teraz chyba już wiem.

Pfff. Lukas znowu szyderczo się wykrzywia, choć w jego uśmiechu jest też coś w rodzaju obawy. Myślisz, że możesz nas kupić jakimiś drobniakami…

Ostatnio wypłaty zmalały i niedługo całkiem ustaną. Jednak na początku były wysokie. To nie są drobniaki.

Pfff…

Amor prawie wypowiada liczbę, ale się wstrzymuje. Niech sami się dowiedzą, kiedy przyjdzie przelew. Czy możesz mi napisać swój numer konta?

Salome wychodzi na zewnątrz, by się pożegnać. Wydaje się oszołomiona wydarzeniami, niemal niezdolna wydusić słowa. Przepraszam za Lukasa.

Jest wściekły. Ale na pewno ma powody.

Gdy po raz pierwszy wrócił z więzienia, nie był już sobą…

Czuć powiewy gorącego wiatru, a ze wschodu nadciągają czarne chmury. Grom bulgoce w gardle nieba. Czas się ruszyć i pośpiechem zakryć rosnącą szczelinę w sercu. Obie kobiety wiedzą, że już się więcej nie spotkają. Ale właściwie czemu ma to takie znaczenie? Są sobie bliskie, lecz nie bardzo. Połączone, lecz nie połączone. To jedna z tych osobliwych, prostych więzi, na których trzyma się ten kraj. Czasami ledwie, ledwie.

Obejmują się po raz ostatni. Kruchy koszyk kości, w którym płonie ogień. Delikatny rytm tętna pod dłonią.

Do widzenia, Salome. Dziękuję.

Do widzenia, Amor. Ja dziękuję tobie.

I tyle, a ty odchodzisz, zostawiasz to wszystko za sobą w każdym sensie tego słowa.

Oczywiście płacze. Pieką słone łzy. Widziany zza nich pagórek przybliża się i faluje. Nagle ogarnia ją szaleńcze pragnienie, żeby wejść na szczyt, zamiast go obchodzić, tylko czy ma czas? Burza nadciąga z hukiem, powietrze trzeszczy. Piorun nie trafia dwa razy w to samo miejsce, chyba że akurat trafi. Odejść w taki sposób.

Nim zdąży pomyśleć, już jest w połowie zbocza. Jej ciało sądzi, że nadal jest młode, więc rusza żwawo, ale chwilę potem dyszy, spocona. W dodatku ma złe buty. Zwykle wspinała się z drugiej strony, tutaj nie ma żadnej ścieżki. Nawet moje stopy mają własne nawyki. Lecz w końcu docierasz w to samo miejsce. Choć nie jest już takie samo.

Co się zmieniło, Amor? Raczej nie czarne gałęzie, skały czy widok. To ty się zmieniłaś, zmieniły się oczy, którymi patrzysz na świat. A on ma

inną skalę, nie przeraża. Rozległa perspektywa jest właściwie dość ograniczona. Ot, zwykłe miejsce. Miejsce, w którym coś ci się przydarzyło.

I z którego powinnaś szybko odejść, jeśli nie chcesz, żeby przydarzyło się znowu. Wszystkie linie świata kierują się w jedną stronę, w dal od tego, co nadchodzi. Te chmury są paskudne i sypią iskrami.

Usiądź jednak na chwilę, tylko na moment, pod tym martwym drzewem. Przypomnij sobie tamten dzień, gdy wszystko się zmieniło. Niewiele się różnił od dzisiejszego dnia. Bóg wskazał cię palcem i upadłaś. A potem, kiedy Pa zniósł cię na dół, do domu, Ma, Astrid, Anton i wszyscy inni natychmiast się zbiegli, powstało zamieszanie, okazywali ci miłość i zamknęli się wokół ciebie jak płatki kwiatu. Teraz oni nie żyją i zostałaś tylko ty.

Amor Swart, cztery i pół dekady na tej ziemi, i przez cały ten czas tylko raz, w wieku sześciu lat, gdy uderzył piorun, poczułaś bliskość śmierci. Zdarzenie z dawien dawna, nieustannie się oddalające, lecz zarazem jakby w niej zapieczętowane, bliskie i namacalne niczym blizna na stopie albo brakujący mały palec, który właśnie zaczyna pulsować. Zawsze tak się dzieje, kiedy myśli o śmierci. Twoje ciało wie, nawet jeśli mózg jest głupi.

Przez lata wiele razy rozmyślała o tym błysku białego gorąca wśród czerni. Że to mógł być koniec. Koniec mnie, czymkolwiek jestem. Reszta mojego życia nieprzeżyta, lecz mimo to wpleciona w tkankę rzeczywistości. Martwi odchodzą, martwi na zawsze pozostają z nami.

Ruszaj, Amor, ta błyskawica po ciebie wraca. Lepiej, żeby nie dokończyła niezałatwionej sprawy. Amor ledwie wyprzedza burzę, kiedy ni to zbiega, ni to zsuwa się po zboczu w stronę domu, a gdy dociera na płaski teren, pierwsze krople uderzają w pył. Tik, tak, tatap-tap. Rozstrojone pianino, pijany pianista.

Wtedy niebo się rozdziera i wszystko z niego wypada. W ciągu kilku sekund Amor kompletnie przesiąka wodą, więc po co biec? Lepiej rozłożyć ramiona.

Tak, deszcz leje jak symbol odkupienia w jakiejś taniej historyjce, pada ze wzburzonego nieba na zamożnych i biednych, radosnych i nieszczęśliwych. Pada zarówno na blaszane szopy, jak i bogactwo. Nikogo nie dyskryminuje. Pada bez osądzania na żywych i martwych, pada

godzinami przez całą noc. W bramie kościoła moczy bezdomnego, który musi wstać i poszukać schronienia gdzie indziej. Bębni delikatnie o dach nad Motim, wnikając w jego sen mruczanką kojarzącą się z ćwiczeniami chóru.

Stuka nad uśpioną głową Desirée, wywołując w niej obrazy szeregów maszerujących stóp.

Bębni o groby Rachel i Maniego, którzy tkwią w osobnych pojemnikach w poświęconej ziemi, a także o inne nasze groby, grób Astrid, Mariny i Ockiego, i o szybę przy urnie z prochami Antona. Tu żadnych snów nie ma.

Woda znajduje drogę przez kilka dziur w dachu domku Lombardów, przepraszam, w domu Salome, krople zamieniają się w strumień, aż w końcu stara kobieta wstaje, żeby przynieść wiadra i garnki.

Nie tylko ona nie śpi. Amor siedzi w łóżku swojego dzieciństwa i nasłuchuje. Inne dni, dawne dni przybywają na falach dźwięku, gdy woda omywa farmę, a jej wątki zaplatają się w rynnach i wirując przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, wsiąkają pod ziemię. Ale bulgocze, ale syczy! Jak płyta grzewcza na kuchence, lecz deszcz jest zimny i robi się wyraźnie chłodniej.

A gdy burza w końcu mija przed świtem, pozostaje po niej kapiący spokój. Ślimaki rozprostowują się w ściółce i ruszają naprzód, małe galeony na ciemnozielonym morzu, zostawiające za sobą srebrzysty kilwater. Macki piżmowych zapachów unoszą się znad ziemi i plączą w powietrzu.

Rankiem delikatny opar zaciera szczegóły świata i nic nie wydaje się zbyt oczywiste. Amor wstaje i ubiera się zaraz po wschodzie słońca. Musi zdążyć na lot, lecz wcześniej coś załatwić. Powinna zająć się tym wczoraj, ale miała ważniejsze sprawy na głowie. Poza tym nie była i wciąż nie jest pewna, czy dobrze robi. To dziwny pomysł, wie o tym, tylko czy dziwny w ten słuszny sposób? Żadne inne rozwiązanie nie wydaje się właściwe.

A co tam. Zrób to teraz albo zabierz te cholerne prochy ze sobą. Anton w bagażu podręcznym? Anton przycupnięty w urnie w rogu twojego pokoju? Nie, absolutnie. Już dość o Antonie. Trzeba go rozsypać na wietrze.

Najpierw jednak musi wejść na górę, a to okazuje się znacznie trudniejsze, niżby się zdawało. Wiele razy widziała, jak on to robił, i założyła, że jej także łatwo pójdzie, kiedy jednak staje na wąskim parapecie za oknem, nie widzi żadnego sposobu, by wspiąć się wyżej, zwłaszcza z jedną ręką zajętą.

W końcu udaje się jej ułożyć urnę w rynnie powyżej i opracowuje metodę wspinaczki. Dostrzega, gdzie się chwycić i jak podciągnąć, żeby wejść na niższy, płaski dach. Stamtąd kilka kroków, a potem pac, pac, pac w górę, po stromiźnie dachówek, aż na kalenicę, gdzie ogromne, puste niebo wciąga mnie siłą swojej grawitacji. Uch, trzeba się mocno trzymać. Można by spaść w górę i lecieć bez końca w tę błękitną otchłań. Widzi, dlaczego jej bratu się tu podobało, na szczycie rządził domową sceną, był panem farmy. Niech cię szlag, Anton, i niech ci się wiedzie, tęsknię za tobą.

Nie dzieje się to dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Wiadomo. Przechyla urnę w podmuchu wiatru, lecz w tym momencie bryza ustaje i większość prochów osypuje się długą szarą smugą na dach. Następny deszcz, kiedykolwiek nadejdzie, zmyje je do rynny.

Siedzi tam jeszcze i rozkoszuje się łagodnym słońcem poranka, lecz jej ciało wybiera właśnie ten moment na kolejne uderzenie gorąca. Najpierw mrowią palce, później przyspiesza serce, rozgrzewa się piec, otwierają kominy, naczynia krwionośne pęcznieją, by ochłodzić skórę, na szyi i twarzy wykwitają czerwone plamy… Ach… Już ma zejść na dół, ale zmienia zdanie. Jeszcze nie jest na to gotowa. Zamiast tego rozpina guziki i zdejmuje koszulę.

Amor w staniku na dachu. Amor w średnim wieku w staniku na dachu. Tak sobie siedzi w centrum własnej opowieści, nie będąc osobami, którymi była, ani tymi, którymi może się stać. Jeszcze nie stara, ale już nie młoda. Gdzieś pośrodku. W ciele, które najlepsze ma już za sobą, zaczyna skrzypieć i niedomagać.

Przypomnij sobie jego najlepsze lata, choć wówczas nie wiedziałaś, że je przeżywasz. Pierwsze krwawienie w dzień, gdy pogrzebali Ma. A teraz krwawienia chyba ustaną. Ostatni okres miałaś trzy miesiące temu, może kolejnego już nie będzie. Twoje kanaliki z wolna wysychają, kończy się sok. Jesteś tracącą liście gałęzią i pewnego dnia się odłamiesz. A potem co?

Potem nic. Inne gałęzie zajmą twoje miejsce. Inne opowieści nadpiszą tę twoją, wymażą każde słowo. Nawet te słowa.

Co ty tam robisz?

Desirée woła z trawnika. Wszędzie szukała szwagierki, ale tam się jej nie spodziewała. W dodatku półnagiej!

Po prostu oglądam świat, odkrzykuje Amor. Gotowa do drogi?

Za pięć minut.

Już idę. Kilkoma ruchami zakłada koszulę i zapina guziki. Znowu czuje się normalnie, może lepiej niż wcześniej. Zostawia urnę na dachu, nie ma sensu zabierać jej ze sobą, i kroczek po kroczu schodzi ku temu, co się jeszcze wydarzy.

Rabin Greg Alexander, Marthinus Basson, Alex Boraine, Fourie Botha, Clara Farmer, Mark Gevisser, Alison Lowry, Tony Peake, ojciec Rohan Smuts, Andre Vorster i Caroline Wood – DZIĘKUJĘ.

Od tłumacza

Za pomoc w rozwiązywaniu przekładowych zagadek i szlifowaniu zdań dziękuję gronu znajomych po fachu z zawodowego czata, zwłaszcza Natalii Zasadzińskiej, Aleksandrze Stelmach, Krzysztofowi Kietzmanowi, Paulinie Braiter, Martynie Plisenko, Barbarze Łukomskiej i Wojciechowi Cajgnerowi.

Parafraza cytatu z *Hamleta* Williama Szekspira za przekładem Stanisława Barańczaka.

Cytat z *Jądra ciemności* Josepha Conrada za przekładem Jędrzeja Polaka.

Parafrazy i zwroty z *Księgi dżungli* Rudyarda Kiplinga za przekładem Józefa Birkenmajera.

Cytaty i parafrazy z Biblii za Nową Biblią Gdańską.

Przypisy

[1] Payne wymawia się po angielsku jak *pain*, co oznacza ból, cierpienie (przyp. tłum.).

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl
Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne
Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2022
Wydanie I